

# Prolog

Magwer spieszył się. W oberży „Pod Trzema Wołami” czekali na niego przyjaciele i piwo, a Magwer uważał, że nie ma to jak pogawędka przy pełnym dzbanie. Gliniane kubki stukają o ławy, karczmiarne dziewczki kręcą się w pobliżu, czasem ktoś, podchmieliwszy sobie nieco, zaczyna snuć piękne opowieści. Bywa, że i inne ciekawe rzeczy przydarzą się w oberży - jakaś kłótnia albo bijatyka. Dawniej Magwer lubił te bójki. Potrafił walczyć, był silny i zwinny, nie bał się ani opryszków, ani grodowych. Teraz jednak unikał niebezpiecznych miejsc, bo Ostry zabronił rozrabiać” swoim ludziom.

Po porannym deszczu tarcica, którą wyłożono środek ulicy, stała się śliska, woda w rynsztokach wezbrała i śmierdziało bardziej niż zwykle. Magwer wciąż jeszcze nie przywykł do zapachu miasta, mimo iż przebywał w Daborze od miesiąca. Miał tu jeszcze przesiedzieć drugie tyle - cały jarmark i turniej. Magwer pochodził z klanu Asgów, wolnych kmieci, siejących pszenicę i chmiel. Co dzień rano musiał obejść wszystkich znajomych kupców zboża i piwowarów, zamienić z nimi kilka słów, czasem wręczyć jakieś podarunki. Tak nakazywał dobry handlowy obyczaj.

Popołudnia jednak miał Magwer wolne. Spędzał je przy kuflu, grając w kości, rozmawiając.

Nocami zakradał się pod pierzynę Gorady albo też opuszczał Daborę, by spotkać się z Szepczącym. A ostatnio

Ostry wzywał całą grupę coraz częściej. Zbliżał się turniej i lada chwila należało się spodziewać nadejścia Szerszeni.

Zmierzchało, lecz po ulicach wciąż kręciło się sporo ludzi. Magwer dostrzegł wyłaniających się zza zakrętu, dźwigających lektykę tragarzy. Płócienne zasłony oddzielały od świata siedzącego w środku człowieka - pewnie jakiegoś urzędnika lub bardzo bogatego kupca- Niosło ją czterech rostrych mężczyzn, a drogę torowało dwóch odpędzaczy. Za lektyką biegło jeszcze kilku strażników.

Magwer przezornie odsunął się na lewą stronę ulicy. To nic przyjemnego zarobić po karku kijem. Jednak idący przed Magwerem ludzie nie zdążyli się cofnąć na czas. Fala przekleństw i krzyków przetoczyła się po ulicy, lektyka zwolniła nieco. Ta zmiana rytmu sprawiła, że jeden z tragarzy zmylił krok. Lektyką zatrzęsło, na chwilę zawinęło się płótno zakrywające okna. Tragarz wyprostował się zaraz, naprawiając błąd, lektyka wróciła do swego zwykłego położenia.

Przez ten krótki czas Magwer zobaczył jednak jej wnętrze. W środku siedział niemłody już mężczyzna, odziany w bogate szaty. Nagłe zachwianie lektyki sprawiło, że stracił równowagę. Na jego twarzy malowała się złość i zdziwienie. Tyle zdążył dostrzec Magwer i uświadomił sobie, że zna twarz człowieka w lektyce, że widział go już na pewno, choć teraz nie potrafiłby przypomnieć sobie, kto to jest i gdzie się spotkali.

Magwer odprowadził wzrokiem oddalających się tragarzy i poszedł dalej, zapominając szybko o

całym wydarzeniu. Czekali na niego przyjaciele, dziewczki i piwo.

## 1. Musisz mnie zabić

Magwer siedział przy ławie stojącej w kącie oberży. Pod przeciwległą ścianą zebrała się spora grupa ludzi. Otaczali starszego mężczyznę, głośno rozprawiającego o Szerszeniach - straszliwych wojownikach zza wschodniej granicy. Magwer przysiadł się tam nawet na chwilę, ale szybko wrócił do swoich. Staruch opowiadał historie, które Magwer może tydzień wcześniej sam rozpuszczał po mieście. Tylko że on robił to tak, jak uczył Ostry, delikatnie i ostrożnie, niejako mimochodem przy okazji innych gawęd. Plotka szła w ludzi, przekazywana dalej, zwykle cichcem i w tajemnicy. A ten stary gadał głośno, choć w karczmie siedzieć mogli szpicle. Albo mu już lata tak pomieszały w głowie, że się nie bał, albo wypił za dużo, albo sam był szpiegiem bana.

Teraz opowiadał o zwyczajach Szerszeni. Magwer pamiętał swój strach i wzburzenie, gdy Ostry mówił o tym po raz pierwszy.

- Urządzają uczty - chrypiał stary. - Porywają na nie dzieci, niemowlęta, które jeszcze dni dwudziestu czterech nie mają - zawiesił głos, łyknął piwo. - A potem zarzynają je i jedzą surowe mięso.

- Bajdurzysz, dziadu - mruknął jakiś niedowiarek.

- Prawdę gadam! - zaperzył się staruch. - Przypomnicie sobie moje słowa, jak przyjdą!

Magwer nie widział jeszcze gwardzistów Gniazda, zwanych Szerszeniami. Trzy lata temu matka nie pozwoliła mu pójść do Dabory na turniej. Teraz był już dorosłym

mężczyzną, na jego policzku wytatuowano znak Asgów i sam decydował o swoich czynach.

- Masz - Berk trącił go ręką, podał drewniane kostki. W tym momencie drzwi karczmy otworzyły się. Do

środka wszedł niski jasnowłosy mężczyzna. Magwer podniósł rękę w geście powitania.

- Witaj, Rodam.

Rodam Sari chwilę stał w drzwiach, jakby nad czymś rozmyślając. Wreszcie ruszył w stronę stołu Magwera, nie zwracając najmniejszej uwagi na podsuwającego dzban karczmarza.

Stawiał stopy powoli, z jakąś dziwną ostrożnością, jakby był pijany. A przecież Rodam nie pił prawie nigdy.

Mężczyzna ciężko wsparł się dłońmi o blat stołu. Berk odłożył kości, Kolter przestał liczyć paciorki.

- Co się stało, Rodam? - spytał cicho Magwer.

Sari spojrział na niego, otworzył usta, chciał coś powiedzieć, zawahał się. Obliznął wargi. Wreszcie pochylił się, przytykając prawie usta do ucha Magwera. I cicho, tak, by nikt prócz nich dwóch nie mógł usłyszeć, powiedział:

- Dziś. Albo jutro. Musisz mnie zabić, Magwer.

Dabora szykowała się na przybycie Gwardii. Kupcy znosili swe towary do magazynów, karczmarze chowali co przedniejsze wina i wytaczali beczki podłych trunków, ojcowie zamykali córki w komorach, odbierali broń synom. Teraz panował w mieście dodatkowy tłok. Na turniej i jarmark zjechali możni z całych Leśnych Gór, mieszkańcy okolicznych wsi, kmiecie, wolni drwale, bobrownicy znad Strugi, no i przede wszystkim szklarscy mistrzowie z Uwegny. Ci ostatni nie mieszały się z tłumem. Uczniom i czeladnikom pozwolili szwendać się po mieście, sami zaś cały czas siedzieli w Gorczem, na dworze bana Leśnych Gór, Penge Afry.

W mieście, w czasie jarmarku, handlowano wszystkim - skórą i solą, drewnem i szlifierskimi głazami. Można tu było kupić szczenięta wilków i zwierzęta domowe. I broń. Piękne kamienne topory aż z Oltomar, skórzane

zbroje - jopy, tarcze i łuki. Wszystko to sprzedawano i wymieniano; na targowych placach kłębiły się tłumy ludzi; konwoje załadowanych wozów wjeżdżały do miasta. Nie po zboże i skóry jednak ciągnęli do Daborzy kupcy z odległych krain. Na daborski jarmark przybywali przede wszystkim poszklarscy. Mistrzowie z Uwegny, jak co roku, zjawili się na dworze Penge Afry, by złożyć mu dań - cudowne naczynia, przejrzyste tafle szyb, płatne paciorki, amulety, ozdoby. Padali przed banem na twarz, dziękując za to, że zechciał przyjąć dary, i prosząc, by otoczył Uwegnę opieką w następnym roku. W czasie, gdy mistrzowie przebywali w Gorczem, warowni strzegącej stolicy Leśnych Gór, szklarscy czeladnicy sprzedawali swe dzieła bogatym mieszczanom i kupcom.

Teraz jednak cała krzątana ucichła, handel zamarł, wszyscy bowiem wiedzieli, że po Szerszeniach spodziewać się można najgorszego.

Dabora szykowała się na nadejście Gwardii.

- Przyjmowałem zboże od pisarzy z Równin Hortel-skich. Nigdy nie zdarzyło mi się pomylić przy nacinaniu liczebnych patyków i nikt nie mógł mi dorównać w rachunku na abaku - jęczał Rodam. - I na co mi to było, na co?!

Magwer znał Rodama od dawna, choć ostatnimi czasy ich drogi nieco się rozeszły. Jednak czasem spotykali się, by wypić dębniaka i pogwarzyć. Rodam, starszy nieco od Magwera, też pochodził z rodu wolnych drwali - łążków. Dwa lata temu matka oddała go domowi Sarłów, kupców zbożowych, dzięki czemu Rodamowi udało się uzyskać pracę w spichlerzach bana.

Teraz potrzebował pomocy.

Wczoraj do domu Rodama przybył posłaniec w barwach władcy. Wręczył Sarłowi małą szklaną kulkę - Jarzębinę Przyzwania. Szkło kulki, kryształowe przy powierzchni, wewnątrz wypełniała pomarańczowa maź, jakby kłęb mgły, tętniący w powolnym rytmie. Lecz w miarę upływu czasu zgęstek ten rozpływał się, rzedniał. Tak naka-

zywała mu magia ujarzmiona przez mistrzów z Uwegny. Drugą taką kulkę zostawiał sobie zawsze wojewoda Dabo-ry - Aen Ideg. Jeśli Rodam uciekłby z miasta, obie Jarzębiny natychmiast by poczerniały. Zdarzało się tak czasem, że ludzie wezwani przez bana umykali w puszcze. Ruszał za nimi pościg, ich rodziny wybijano, a dobra przechodziły w ręce władcy.

W dniu, w którym kulka stanie się zupełnie przejrzysta, Rodam stanąć musi u wrót Gorczem.

Rodam nie wiedział, po co ban go wezwał. Tak jak nie potrafił tego przewidzieć nikt, komu wysłano jarzębinę. I bał się, z każdą chwilą ogarniało go coraz większe przerażenie.

Do banowych spichrzów co dzień jechały wozy ze zbożem, ciągnięte przez woły lub psy. Każdego dnia składano w magazynach setki worków. Wystarczyło z każdego ująć garść, nie, pół garści, by stać się bardzo bogatym człowiekiem. Wszyscy to robili, czasem kogoś złapano i wtedy kaci rozwlekali jego trzewia na Rynku Sędziów. A na ród spływała hańba.

Rodam bał się, że właśnie w tej sprawie wezwano go do Gorczem. I dlatego chciał umrzeć.

Nie wystarczy jednak, że popełni samobójstwo - skoczy do rzeki napchawszy sobie kieszenie kamieniami lub rzuci się na sztylet. Nie wystarczy. Aen Ideg domyśliłby się, że Rodam sam przyzwał śmierć, by ukłuła go kolcem Czarnej Róży. A wtedy nic nie uratowałoby Sarłów przed śmiercią i poniżeniem.

Poprosił więc o pomoc Magwera. Wiedział, że musi zginąć, ale chciał umrzeć tak, by na ród żony nie padł nawet cień podejrzenia.

## **2. Wojsko nadchodzi**

- Szepczący znów chodzą po ludziach - Gorada zakasała rękawy koszuli, spódnicę podciągnęła wysoko, do kolan. Nogi miała mocne, ręce silne, twarz okrągłą, piersi duże. Lecz mimo tej siły tkwiła w Goradzie jakaś łagodność; kiedy mówiła do Magwera, to jakby zwracała się do swego dziecka. Mąż Gorady umarł przed kilkoma laty, a drugiego na razie nie chciała brać. Jej dom stał w pobliżu Wielkiego Wału i w czasie dużych jarmarków trzy ciasne izby odnajmowała gościom.

Magwer chwalił sobie to miejsce - Gorada karmiła dobrze, nie wtykała nosa w nie swoje sprawy i już pierwszej nocy przysłała do jego izby. Miała wszystkie zęby, jędrne ciało i gładką skórę, a jej grube dłonie o spierzchniętej skórze potrafiły pieścić delikatnie i miękko.

- Tak? Szepczących zawsze było więcej przed turniejami - usiadł na zydlu, sięgnął po dzbanek z mlekiem.

- Ale dużo więcej ich teraz łązi. Tak gadają.

- Kto gada?

- Jak to kto? Baby na targu i dziady, co pod karczmami siedzą...

- A zdarzyło się tak, żeby przed turniejem Szepczący nie łązili po wsiach?

- Wiem przecież - mruknęła Gorada. - Ale nigdy tylu co teraz i nigdy nie opowiadali takich dziwności.

- Gwardia idzie. A ludzkie plotki szybciej rosną niż młody świniak.

- Jakby mówili tylko tyle, to by ich tak grodowi nie szukali. A znowu szła obława.

- W lesie grodowi robią więcej hałasu niż tur. Nikogo nie schwytają.

- Eee... Osiem lat temu złapali jednego Szepczącego. Tak go oprawili, że bez skóry trzy dni zdychał na palu. Ban sprowadził do tego mistrzów aż z Oltomar. Ci tak umieją ich otworzyć, że widać galaretę w środku, a człek oczami obraca i nic nie czuje...

Magwer kiwał głową, udając, że słucha słów Gorady. Musiał zobaczyć się z Ostrym. Niestety najbliższe spotkanie wyznaczono dopiero za dwa dni.

- Szepczący mniej nauczają - mówiła dalej Gorada. - Kiedyś objaśniali, co zrobić na puchliznę i jak czytać ru-ny, i jak wiatr zagadywać, żeby przy wyrębie niósł ogień we właściwą stronę. A teraz cięgiem bajają o dawnych czasach albo o banie, albo o Gwardii. Chłopy lubią tego słuchać...

- Tb przecież też nauka, taka o dawnych latach.

- Co mi z takiej nauki? Kaszy od tego nie przybywa. Gorada podeszła do okna, bo na podwórko wbiegł mały

chłopiec. Zatrzymał się przed domem. Zmęczony długim biegiem odetchnął głęboko kilka razy i spytał:

- Czy tu mieszka pan Asga?

- *To* ja - Magwer stanął przy oknie.

- Mam powtórzyć słowa: „Pamiętam, co mówiłeś, i myślę o tym. Będę czekał”.

Magwer kiwnął głową. Pogrzebał w sakiewce i rzucił chłopcu płatny paciorek. Malec odwrócił się i powoli poszedł ku bramie. Mnóstwo takich dzieciaków kręciło się zwykle po rynkach Dabory. Za niewielką opłatą roznosiły wiadomości, listy i drobne przesyłki w obrębie miasta, a nawet do okolicznych wsi.

Magwer zacisnął palce na framudze okna.

Ostry, jeden z najsłynniejszych Szepczących, wzywał go. Słowa, które powtórzył mały, to jedno z ustalonych przywołań. Ostry czeka na Ścieżce Arfanów i pozostanie tam, dopóki Magwer nie przyjdzie.

Właśnie teraz, gdy najbardziej go potrzebował, Ostry

zjawiał się jak na zawołanie. Czy to tylko przypadek, czy może w tajemny sposób Ostry usłyszał wykrzykiwaną w myślach prośbę o pomoc...

- Wychodzę, Gorada - Magwer odwrócił się od okna. - Nie wiem, kiedy wrócę, ale przyszykuj coś do jedzenia.

- Dobrze...

- I śpij. Może cię obudzę.

- Dobrze - uśmiechnęła się.

Odrzącił wyciągniętą rękę żebraka, klnąc pod nosem wszystkich gałganiarzy spod Koguciej Bramy. Starczyło się zatrzymać albo zwolnić tylko na chwilę, by obskoczyli człowieka - starzy i młodzi, z powykręcanyimi rękami, zgiętymi karkami, ślepi, beznodzy i ci z pomieszanyimi rozumami.

Ban od czasu do czasu kazał grodowym czyścić ulice miasta z żebraków. Uciekali wtedy, a ilu chromych odzyskiwało władzę w nogach, ilu ślepych przejrzało, a niemych przemówiło, tego nikt nie zliczy.

Krew większości tych, co naprawdę nie mogli uciekać, szybko wsiąkała w ziemię. Pod bramami robiło się luźniej, lecz nigdy na długo. Do Dabory ciągnął każdy, kto stracił zdrowie, a kogo krewni wygnali z domu.

Magwer rozejrzał się wokół. Gdzieś tu powinien czekać Ostry.

Przekupki zachwalały placki jęczmienne, gliniane świ-stawki, koraliki. Dwa psy warczały na siebie wściekle, szykując się do walki. Ścieżką Arfanów spacerowały dziesiątki ludzi.

- Jestem.

Młodzieniec usłyszał głos i odwrócił się gwałtownie.

- Wzywałeś mnie - pochylił głowę.

Nigdy jeszcze nie widział Ostrego w takim stroju -szarym zniszczonym płaszczu, zielonych spodniach z grubego płótna, skórzanych ciżmach. Tylko broda została taka jak zawsze, czarna, gęsta, zakrywająca usta, spleciona u dołu w mały warkoczyk. Włosy Szepczący wygolił zgodnie z pasterskim obyczajem - krótko, a na czubku głowy do gołej skóry.

- Chodźmy stąd - powiedział. Powoli ruszyli kii najbliższej oberży.

- Skąd wiedziałeś, że cię potrzebuję?

- Nie wiedziałem - Ostry pokręcił głową. - Co się stało?

- Długo by gadać. Siądźmy najpierw. W jakiej sprawie mnie wezwałeś?

- Gwardia już idzie. Wcześniej, niżli się wszyscy spodziewali. Czas zacząć robotę.

Oczy Magwera zabłyśły.

- Jestem gotów.

- Wiem.

- Ale - Magwer zawahał się - muszę zrobić jeszcze jedną rzecz. I nie wiem, czy mam się jej podjąć, czy nie.

Dotarli do karczmy. Panował tu zwykły tłok i zaduch, ale znaleźli ławę oddaloną nieco od innych. Karczmarz postawił przed nimi dzbanek piwa i odszedł uspokajać jakiegoś rozrabiakę.

- Niełatwo o tym mówić... - zaczął Magwer.

- *To* twój druh - Ostry ukrył twarz w dłoniach. - Musisz mu pomóc.

- On nic nie wie - Magwer mówił cicho. - Rzadko się ostatnio widywaliśmy, nigdy mu nic nie opowiadałem

o naszych sprawach. Nawet jeśli coś podejrzewa, to nie może wiedzieć wiele. Jego myśli to cienie chmur, płynące po liściach dębu.

- Gdy rozgrzeją ogniem jego trzewia, cień objawi się pełnym kształtem, Magwer - Ostry pokręcił głową. - Wiesz to, tak jak ja. Na mękach człowiek traci rozum

1 wtedy mówi wszystko. Rodam nie jest pewny swej siły, boi się słabości, on sam. Ty powinieneś

bać się stukrotnie.

- Wierzę mu,

- Wiara nic tu nie znaczy.

- Wiem. I jestem gotów. Ale ty wiesz, Ostry, że nie mogę go pchnąć nożem.

Ostry uśmiechnął się.

- Wiem.

Magwer patrzył na Szepczącego, na jego pobrużdżoną twarz, krzepkie, żyłaste ręce i leżącą obok sakwę, w któ-

rej kryło się zawsze tyle tajemniczych przedmiotów. Tylko on mógł pomóc.

- Wiem - powtórzył Ostry. - Kamrat poprosił cię

o śmierć. Tyś mu ją winien. Wszak to chwila, w której odda on swe kości Ziemi, Matce Wszechrzeczy. Godnie jest paść w boju, z ręki silniejszego od siebie przeciwnika.

1 szczęśliwy ten, kogo przygniecie drzewo. Wedle Olto-marczyków błogosławiony jest każdy, kto się na starość dochowa syna i syn ten nożem poderżnie mu gardło. Szczęśliwi oni wszyscy. Ale i śmierć z ręki druha też jest szlachetna, bo prawy człowiek byle jak umierać nie powinien.

Magwer patrzył na Ostrego szeroko otwartymi oczami.

Tak działo się zawsze, gdy Szepczący zaczynał nauczać. Jego twarz nabierała rumieńców, w oczach pojawiał się blask, pałce skrzywiały drapieżnie, głos potężniał. Zawsze. Każdy gotów był go słuchać i dzień, i dwa, zapomniawszy o strawie i trunku, o robocie w polu, o bano-wych siepaczach, a słowa brały w posiadanie rozum i duszę.

- Prosił cię, byś go zabił, więc musisz to zrobić. Ale nie pchniesz go nożem ani nie spalisz w domu. Wiem, jak to przeprowadzić. Wojewoda niczego się nie domyśli. Ale muszę mieć krew Rodam a.

Gwardziści weszli do Dabory szóstkami, maszerując w rytm bębna. Było ich siedemdziesięciu dwóch. Dawno już Miasto Os, zwane przez daborczyków Gniazdem, nie przysłało tylu wojowników.

Pierwsza szła ejenni, opiekunka oddziału. Niewysoka czarnowłosa kobieta o szarej twarzy i dużych dłoniach. Od Szerszeni odróżniał ją tylko niski wzrost i godło na tarczy - ejenni zawsze pochodziły ze szlachetnego rodu.

Za nią kroczył Przewodnik, młody, dwanaście lat może liczący chłopak. Przewodnik wodził po



tłumie daborczyków swoimi pustymi oczodołami, ani na chwilę nie przestając uderzać w przyczepiony do pasa bębenek i tańczyć w narzuconym przez siebie rytmie.

Szli szóstkami, równo, w wybijanym przez Przewodnika takcie, noga w nogę, patrząc wprost przed siebie. Jakby nie zważając na to, że mają za sobą długie dni wędrówki. Jakby nie zwracając uwagi na mrowie gapiów, na gniewny pomruk przepływający przez tłum, na zaciskających pięści mężczyzn. Czuli, bo czuć musieli, nienawiść Dabory.

Twarze zmęczonych wojowników pokrył brud i kurz, tatuaże zdawały się wyblakłym i startym wojennym malunkiem. Ale Doron wiedział, że gdy przyjdzie czas, gdy gwardziści nasmarują twarze olejem i napną mięśnie, wtedy znaki Miasta Os znów zaśnią w blasku słońca i biada tym, którzy staną do walki przeciw Szerszeniom.

Za oddziałem biegły psy bojowe prowadzone przez swych pasterzy, a za nimi posuwała się grupa niewolnych.

Gwardziści szli przez Daborę dumni i nie zwyciężeni, pozornie spokojni. W każdej chwili jednak gotowi mocniej schwytać styliska toporów i rozpocząć krwawy taniec.

Przybyli po okup - dań obciążającą każdego mieszkańca Dabory i całych Leśnych Gór. Więc witał gwardzistów pomruk nienawiści, gniewne błyski w oczach mężczyzn, przekleństwa wypluwane bezzębnymi ustami starych kobiet, krzyki dzieci. Przewodnik, tak jak to było w zwyczaju, prowadził cały oddział wprost do warowni Penge Afry.

Wzgórze, na którym stała forteca, opadało stromym zboczem ku rzece. Od strony miasta zaś wykopano w dawnych czasach fosę, dobywając ziemię, wynosząc żwir i piasek, rąbiąc skałę. Teraz gród, niczym wyspa, wznosił się ponad domami Dabory. Ostatni raz odbudowano Gorczem po pożarze, blisko pół wieku temu. Zabito wtedy wielu niewolników i z odrąbanymi głowami ułożono pod palami wału. Ich krew nasączyła dębowe kłocze, by połączyć ziemię i usypisko niczym najlepsze lepiszcze.

Most prowadzący do bramy Gorczem biegł środkiem fosy, wzdłuż wału. Idący nim ludzie przez długi czas pozostawali odsłonięci na strzały, którymi sypać mogli z góry wojownicy Penge Afry. Pomost skręcał przed bramą i ury-

wał się raptownie. Do twierdzy wchodziło się po zwodzonym moście, opuszczanym za dnia, podnoszonym o zmierzchu.

Dabora otaczała Gorczem od południowego zachodu, na północy i wschodzie opierając się o rzekę. Najbliższe twierdzy zabudowania znajdowały się w odległości dwóch strzałów z łuku od niej. Na Przedgrodziu - pustym placu oddzielającym Gorczem od miasta - wykarczowano wszystkie drzewa, zasypano doły, wyrównano pagórki.

Gwardziści wyszli spomiędzy domów i zwodzony most zaczął się opuszczać.

Przewodnik mocniej uderzył w bębenek, psy zawarczały wściekle, wojownicy zrównali krok - zbliżała się ceremonia powitania.

Na strażnicy nad bramą pojawiło się kilku wojowników Penge Afry. Trzech z nich wychyliło się ponad drewniany częstokół i obserwowało Szerszeni.

Rytm wciąż narastał. Przewodnik uderzał szybciej, nogi gwardzistów wybijały na wybrukowanej balami drodze równy rytm, psy jazgotały jak oszalałe.

Sylwetki wojowników na wieży zniknęły za blankami -wszyscy trzej niemal równocześnie pochylili się, by dźwignąć w górę coś ciężkiego i dużego.

Człowieka.

Cóż lepszego ofiarować może władca innemu władcy niżli krew? Nie ma dostojniejszej i bardziej prawdziwej ofiary, nie ma przyjaźniejszego powitania.

Przewodnik krzyknął.

Wojownicy przerzucili ciało przez częstokół i pchnęli w dół.

Teraz nastawa kolej gwardzistów. Złożono im hołd, więc musieli się godnie odwdzięczyć za powitanie.

Leżący na moście mężczyzna jęknął, lekko uniósł głowę, poruszył złamaną ręką. Miał wylupione lewe oko i piętno wypalone na policzku - znak, że złapano go, gdy kradł bydło. Zabrakło mu szczęścia. Złodziei, po naznaczeniu, zazwyczaj wypuszczano. On trafił do lochu akurat wtedy, gdy Gwardia zbliżyła się do Dabory.

Pierwsze szeregi Szerszeni weszły na most. Był szeroki, mogły się na nim minąć i dwa wozy - lecz gwardziści zaczęli przegrupowanie, szli już nie szóstkami, a parami, ani na chwilę nie zwalniając tempa.

Dłonie Przewodnika biły w bęben tak szybko, że nie słyszeli już pojedynczych uderzeń, tylko łoskot, gęstniejący, tężejący, wznoszący się ponad tupot ich butów.

Szli.

Ciało mężczyzny leżało coraz bliżej.

Szli.

Pierwszy wojownik był już o pięć kroków od złodzieja. Cztery.

Szli.

Krzyknął tylko raz.

Nogi podnosiły się szybko i szybko opadały, stopy uderzały o belki, stopa przy stopie, stopa za stopą, nogi w skórzanych butach, podbitych twardą jak kamień podeszwą.

Szerszenie przemaszerowali przez most i przez to miejsce, w którym jeszcze przed chwilą leżał człowiek. Ciągające tobogany psy spuściły nosy do ziemi, a gdy poczuły zapach krwi, rozchyliły wieczne głodne pyski. Krew ofiary pozostanie na moście do pierwszego deszczu. Ceremonii powitania stało się zadość.

Wnętrze warowni miało luźną zabudowę. Na wprost bramy stał dwór bana - solidny, dwupiętrowy budynek z sosnowych belek. Wszyscy wiedzieli, że jego piwnice sięgają w głąb skały na trzy poziomy. Wspomnienie najniższego przejmowało grozą tych, którzy stamtąd wrócili. Niewielu jednak żywych wyszło z lochów władcy Dabory.

Do wału przylegały spichrze i baraki niewolnych. Cały plac między budynkami wysypano żwirem. W samym środku stały dwie studnie. Ponad tym wszystkim unosiła się Wieża Dymów.

Szerszenie weszli na plac, znów zmienili szyk, zatrzymali się w trójszeregu, przed którym stał tylko Przewodnik i ejenni. Z tyłu skupili się niewolnicy pilnujący jucz-

nych psów. Na dziedzińcu nie było nikogo prócz nich, choć z wielu okien patrzyły zaciekawione oczy.

Dłonie Przewodnika wciąż uderzały w bębenek, lecz rytm uspokoił się, dźwięki ścichły. Jak nakazywał obyczaj - czekali. W końcu pomalowane na czerwono wrota dwo-rzyszczą otworzyły się.

Bębenek ucichł.

Ban szedł powoli, tuż za nim postępowało czterech przybocznych w barwach Dabory - z żółtymi tarczami, w zielonych kurtkach, w spodniach ze skóry łosia i hełmach z czaszek wilków.

Z jednej strony bana kroczył Harko Afra, jego brat, jedyny spośród siódemki rodzeństwa, któremu Penge Afra pozwolił przeżyć. Po prawej dreptał syn władcy, mały Bald Afra. Ręce miał wykręcone do tyłu, związane w nadgarstkach rzemieniem na znak, że jeszcze nie sprawuje władzy.

Ban zatrzymał się w odległości pięciu kroków od ejenni. Opiekunka położyła dłoń na brzuchu i pochyliła głowę.

- Matka widzi światło nad twym domem, słyszy plusk kamienia wrzucanego do twej studni, czuje drżenie Ziemi Rodzicielki pod stopami twych wojowników. Bądź pozdrowiony.

- Moje oczy, uszy i stopy należą do Matek Zewnętrznych Kręgu.

### 3. Próby

Doron przeszedł na drugą stronę ulicy, minął kramy piekarskie i ruszył w stronę Bramy Zachodniej. Nie zrobił jednak dziesięciu kroków, gdy usłyszał za sobą cichy głos.

- Liściu...

Zatrzymał się i powoli odwrócił. Rzadko zaczepiano go na ulicy. Pomimo że ludzie zdążyli już przyzwyczać się do obecności Liścia, wciąż się go bali.

Mężczyzna był stary, średniego wzrostu, ubrany raczej ubogo - w lnianą koszulę i spodnie, na nogach miał łapcie, a na głowie słomiany kapelusz. Doron nie potrafił odczytać klanowego tatuażu na policzku starca.

- Niech dłonie twe będą mocne - mężczyzna powitał Dorona pozdrowieniem wolnych drwali. Liść pochylił głowę z szacunkiem należnym wiekowi.

- Panie, pochodzę z rodziny Orni, tniemy drzewa na wschód od Hoewl - mężczyzna mówił szybko, jakby bał się, że Doron zaraz odejdzie. - Mój wnuk, najstarszy, Illo-mi, przyszedł na turniej. Czy mógłbyś, panie, popatrzeć, jak on walczy?

Doron milczał. Człowiek szybko odpowiadający na zadane pytania i spełniający w mig życzenia innych traci ludzki szacunek. Jednakże człowiek odmawiający prośbom też nie ma zbyt wiele poważania.

- Gdzie ćwiczysz twój wnuk?

- Niedaleko, mistrzu. Razem ze swym bratem. On też zgłosił się do turnieju, ale to jeszcze młodziak. Siostra mojej żony ma na ulicy garncarzy dom, tam jest podwórko...

Kiedy ruszyli, drwal szedł nieco z przodu, jakby nie chcąc drażnić Dorona swoją bliskością.

Doszli do Bramy Chmielnej. Wał otaczający Daborę w zasadzie nie miał znaczenia obronnego. Wojna nie dotarła tu od dziesięcioleci. Nasyp oddzielał od reszty miasta kwartały zamieszkałe przez najlepszych rzemieślników i najbogatszych kupców. W jego obrębie znajdowały się place targowe, na których w czasie jarmarku wolno było handlować. Przyjezdni kupcy zostawiali co roku wielkie myto przy czterech bramach Daborzy. Za dwa dni, gdy zacznie się turniej, mincerze nie nadążą z robotą. Teraz mieli dość czasu, by pozdrowić Dorona. Pobór myta w Daborze należał do obowiązków wojska, a wojownicy zawsze okazywali Liściowi wielki szacunek.

Doron odkrzyknął słowa powitania, a starzec dumnie się wyprostował. Bo choć to nic takiego podejść do Brata Drzew i poprosić go o radę - jednak strach. Ten sam lęk, który czuje człowiek powierzający budowę swego domu cieśli. Cieśla, wiadomo, posiada dary, może uczynić zacios na progu domu i zesłać śmierć lub chorobę na mieszkańców. Albo garncarz. Palcem wyciśnie swój tajemny znak od środka dzbana i jeśli ktoś uwarzy sobie strawę w takim naczyniu, to jakby jad gotował. Tyle że domy trzeba budować, garnki kupować, a z Liściem gadać nie trzeba. Więc mało kto się z nim zadaje, bo on przecież po stokroć mocniejszy od tych wszystkich cieśli, garncarzy i jadowni-ków. Stary kroczył więc dumnie, a Doron szedł za nim

Zwarta zabudowa Daborzy ustąpiła miejsca luźno rozrzuconym chatom podgrodzia. Tu nie stały już drewniane budynki - znak bogactwa i władzy - a i niewiele było domów z kamienia. Większość chat miała ściany z wysuszonej na słońcu cegły albo z plecionek z wikliny obłożonych potem gliną.

Na ziemi przynależnej do miasta zwykle żyło pięć tysięcy ludzi. Teraz, gdy na jarmark przybywali mieszkańcy okolicznych osad i przybysze z odleglejszych krain, mogło ich być w Daborze i trzy razy tyle.

- To tu - powiedział stary, wskazując ręką rząd ziemianek, pokrytych płaskimi słomianymi dachami. Każde

z domostw miało nieduże okno, w które wprawiono szybę z zakopconego i chropowatego co prawda, a jednak prawdziwego szkła z Uwegny.

- Zechcesz się napić, panie, albo coś zjeść? - spytał stary. Doron potarł dłonią policzek.

- Nie. Pokaż mi swoich wnuków.

- Tędy, Mistrzu... - wskazał Doronowi wąskie przejście między ścianami domów.

Od razu można było poznać, że chaty należą do garncarzy. Na małej przestrzeni między ziemiankami nie rosła ani kępa trawy. Ziemię pokrywała warstwa zeschniętej gliny, wyrzucanej tutaj przez pokolenia rzemieślników i tworzącej teraz twarde klepisko. Doron poczuł coś dziwnego, jakiś niepokój sprawił, że jego serce zabiło szybciej. Trwało to tylko chwilę, bo zaraz uwagę Liścia przyciągnęło dwóch młodzieńców walczących na środku podwórka.

Obaj, ubrani tylko w przepaski biodrowe, zgodnie z rytuałem walki zdjęli też wszystkie swoje amulety. Twarz pierwszego, mocno zbudowanego, czarnowłosego, od kącika ust po lewe ucho znaczyła brunatna szrama. Drugi był niższy, szczupły, jednak wprawne oko docenić mogło siłę jego mięśni prężących się pod skórą.

Gdy tylko zobaczyli starca i Dorona, natychmiast przerwali walkę.

- Witaj, Liściu, nazywam się Ułan - przedstawił się czarnowłosy.

- Witaj, Mistrzu, nazywam się Illomi - powitał Liścia drugi.

- Zwycięstwo niech znaczy waszą drogę - odpowiedział Doron - przyszedłem zobaczyć, jak walczyacie.

- Pokażcie, co potraficie - stary machnął ręką. Doron kiwnął głową. Młodzieńcy stanęli naprzeciw siebie, ich karoggi skrzyżowały się.

Pierwszy zaatakował Illan. Opuścił pałkę i uderzył od dołu, starając się sięgnąć nadgarstków brata. Jednak Illomi odskoczył błyskawicznie. Karoggi kilka razy uderzyły o siebie z jękiem.

Karogga - broń wodzów i bohaterów. Drewniana pałka o długości czterech stóp, u jednego końca zwężona tak, by

można ją było chwycić dłonią. U drugiego rozszerzona w płaskie pióro o ostrych krawędziach, nabijana kamieniami, częstokroć zakończona rogowym szpicem. Pałek turniejowych nie wysadza się krzemieniem, nie ostrzy ich krawędzi ani czuba. Mimo to często się zdarza, że z placu boju trzeba znosić ciężko rannych bądź zabitych wojowników.

Doron szybko spostrzegł, że Dian jest lepszym szermierzem i że mniej wysiłku kosztuje go powstrzymanie naporu brata. W końcu sam zaczął atakować - pałka sięgnęła torsu Illomi, uderzyła w dłonie, wytrącając ka-roggę.

- Dość - powiedział Doron. Na turnieju walkę tę zakończyłby znacznie wcześniej. Tu jednak wiedział, że żaden z braci nie wyrządzi drugiemu krzywdy.

Oddychali ciężko, pot spływał po ich piersiach i ramionach. Illan odgarnął włosy z czoła.

- Jesteście dobrymi wojownikami - powiedział Doron. - Myślę, że wielu chciałoby mieć takich jak wy rębaczy u swojego boku. Ale na turniej przybywają żołnierze z całych Leśnych Gór, wojownicy z Oltomar, pasterze z Gor-nau-Hemi, drwale z Ziemi Os, no i gwardziści. Myślę, że ty, Illomi, musisz jeszcze dużo ćwiczyć. Pokonasz jednego lub dwóch przeciwników, a potem przegrasz. Bacz, by nikt ci nie zrobił krzywdy. Wielu dobrych wojowników nie zwraca w ogóle uwagi na słabszych, chcąc pokonać ich jak najszybciej. I dlatego co roku ginie najwięcej takich jak ty, Ulomi, silnych, lecz nie tak dobrych, by przeciwstawić się prawdziwym mistrzom karoggi.

- Ciebie, Illan, będę obserwował bacznie - Doron zwrócił się do drugiego mężczyzny. - Ale w tym roku nie zdobędziesz tego, czego pragniesz. Pamiętaj, że każda walka z dobrym przeciwnikiem przybliży cię do celu -Doron skończył i odwrócił się do starego.

- Dziękuję, Mistrzu. Mamy najlepsze miody z okolic Wróblego Potoku, może...

- Nie chcę od ciebie miodu. Chcę natomiast, abys wyjaśnił mi pewną zagadkę.

- Tak, Mistrzu? - stary najwyraźniej się stropił. Obaj bracia podeszli bliżej, także zaciekawieni.

- Wy tłumacz mi, dlaczego mnie oszukałeś?

- Ja? Ciebie?! - głos starca drżał. - Mistrzu...

- Dlaczego powiedziałeś, że ci dwaj są braćmi. Widziałem ich ruchy, słyszałem głosy. Nie zrodziła ich jedna kobieta ani nie spłodził ten sam mężczyzna.

Twarz starego rozjaśniła się.

- Twe oko, panie, nie może się mylić. Ale mimo to są braćmi, a połączyła ich siła mocniejsza od więzów krwi. Otóż, panie, choć ja jestem drwalem, to ci dwaj należą do bartniczego rodu i zawarli przymierze patoki.

- A cóż to za znak?

- Otóż zdarza się czasem, że gdy jeden z bartodziejów draży nową barć, a u innego bartnika pszczoły zaczynają się roić, to ten nowy rój osadza się w ulu zrobionym przez pierwszego. To znak, Mistrzu, pszczoły łączą ich i pszczelarze stają się braćmi. Kiedy rój Ulana zajął barć T-omi, ten przyjął rodowe imię 111 i obaj pokłonili się sobie, składając u granic lasu miód zmieszany z krwią.

- Wiem, co oznacza braterstwo z przeznaczenia - powiedział Doron po chwili namysłu. - Sam z woli Świętego Gaju przyjąłem na braci wszystkich Liści. Przyjdę na turniejowe pole w ten dzień, gdy twoi wnukowie staną do walki - odwrócił się i ruszył przed siebie wolnym krokiem.

Nie gonili go, nie powiedzieli choćby słowa, bo byłoby to nietaktem, skoro on już nie chciał rozmawiać.

Teraz zrozumiał, skąd wzięło się to dziwne uczucie na początku spotkania i dlaczego odważyli się prosić o radę. Byli bartnikami, a pszczelarze posiadali dar nie mniejszy niż władza cieśli nad stawianym domem. Na dodatek obu młodych bartodziejów naznaczyły pszczoły i każdy z nich władał siłą swoją i swego brata. Stąd też mniej niż zwykli ludzie bali się Dorona. Liścia.

Strażnicy przy bramie pokłonili mu się powtórnie. Ulice Dabory już się uspokoiły po przejściu Szerszeni, ludzie wrócili do swych zajęć.

Doron spojrzał w górę. Ponad miastem wznosiła się Wieża Dymów - znak panowania banów z Gorczem, władztwa rozciągającego się na całe Leśne Góry. Znak ich poddaństwa Matkom Miasta Os.

Doron ruszył w stronę Zachodniej Bramy.

- Ty głupcze! - twarz Magwera poczerwieniała ze złości. - Przeklęty głupcze, teraz pijesz?! Mógł

ktoś iść za tobą, mógł...

- Piję - Rodam popatrzył na niego poważnie. - Muszę... Rodam stał na nogach pewnie, ale jego oczy nieprzytomnie patrzyły na Magwera.

- Ja...? - wymruczał, jakby mu się nie chciało otwierać ust, kiwnął głową. - Piłem.

- Chodźże tu! - Magwer popchnął go lekko. Na szczęście Rodam nie opierał się za mocno, szedł posłusznie.

- Gdzie ty mnie...? - spytał tylko.

- Idźże! Łeb ci muszę wsadzić w wodę, żebyś trochę ochłonał. Nie masz krzty rozumu.

- Magwer... - wybełkotał Rodam. - Ja muszę ci coś...

- Dobra, dobra...

- Magwer... ja nie potrafię.

- Rozumu nie masz! Pić teraz!

- Musiałem, Magwer.

- Musiałeś?

- Rzecz ci muszę... ale... coś mnie... — Rodam potknął się, a Magwer nie zdołał go utrzymać. Mężczyzna upadł.

- Wstawaj! Już niedaleko!

- Co niedaleko?

- Studnia. Podnoś się!

- Magwer... On kazał... Ja...

Zeszli w boczną uliczkę, wąską i krótką. Drzwi i okiennice domów o tej porze już pozawierano. Z dała dobiegały jakieś krzyki i ujadanie psa. Zapowiadała się ciemna noc, chmury pokryły całe niebo.

U wylotu uliczki stała studnia, a obok niej napełnione do połowy koryto. Magwer pchnął Rodama.

- Muszę ci powiedzieć... słów brakuje.

- Dobra - Magwer przygiął Rodama do ziemi, chwycił go za kark. - Pochyl łeb.



- Słuchaj, ja...

Magwer przytrzymał chwilę głowę Rodama, puścił. Ro-

dam poderwał się, kaszląc i parszając, odgarnął mokre włosy z czoła. Jego oczy patrzyły już trzeźwo.

- Chciałeś coś powiedzieć - uśmiechnął się Magwer.

- Ja? Nie... - Rodam pokręcił głową.

- Co się stało? Nigdy nie lałeś w gardło za dużo piwa i łeb masz mocny.

- Nigdy nie miałem umrzeć. Zresztą... chciałem. To nieważne teraz. Więc jak?

- Dobrze, wszystko będzie dobrze - Magwer uspokajał się. - Jutro pójdziesz do Gorczem. Wtedy to się stanie.

Rodam wykrzywił twarz w grymasie, który miał być uśmiechem.

- Jak?

- Tego ci nie powiem. Sam jeszcze nie wiem. Nie wiem! Zresztą ty też nie możesz poznać tej chwili. Tb musi być prawdziwa śmierć. I będzie.

- Wiesz - odezwał się Rodam po chwili milczenia. -Boję się.

- Tb dobra rzecz: strach. Człowiek, który się boi, żyje dłużej. Ale... potrzebna mi jest...

- Tak?

- Twoja krew. Dwie miski, Rodam. Mężczyzna zaczął podwijać rękaw bluzy.

- Po co?

- Nie wiem. Ale potrzebna. Na pewno.

## **4. Krew na wargach**

Zmierzchało już, gdy Doron dotarł do swojego domu, stojącego w samym środku Leszczynowej Doliny. Mieszkał w dużym, solidnym budynku o czterech izbach, z belek kładzionych na zrąb. Najbliżsi sąsiedzi postawili ziemianki dopiero na zboczu Wzniesienia Oprawców. Doron żył sam i nie pragnął niczyjego towarzystwa. Ród jego matki należał do zamożnych, władał ziemiami na

Zagrzebanych Polach. Połonna wyszła jednak za mąż na męskim prawie dziedzicznym i musiała wyjechać z tamtej okolicy. Ojciec, Faagon, był sędzią klanów drwali. Gdy umarł, matka wróciła na północ, do swoich, wkrótce i jej kości połączyły się z ziemią. Kiedy Doron skończył lat dwadzieścia, wziął sobie kobietę z rodu Honów. Gdy miał dwadzieścia dwa lata, wygrał turniej i został Liściem. Ban podarował mu sześć włók ziemi z dwudziestoma rabami. W rok później żona Dorona urodziła martwą córkę, sama zmarła dwa dni po położeniu. Liść odbył wtedy pielgrzymkę do Świętego Gaju, gdzie otrzymał przepowiednię. Od tamtego czasu nigdy nie stanął z bronią przeciw człowiekowi, nigdy nie ruszył na łowy, przestał uczyć sztuki walki karogga.

Ale sam ćwiczył codziennie.

Wróciwszy do domu zsuł buty, zdjął koszulę i spodnie, czoło obwiązał opaską. Miał czterdzieści lat, a od siedemnastu nie walczył z przeciwnikiem.

Księżyc przesłaniał chmury, jego nikły poblask nie potrafił wydobyć z ciemności kształtów wojownika. Gdyby

ktoś podszedł do otaczającego dom płotu, usłyszałby głośny oddech mężczyzny, świst rozcinanego karogga powietrza, trzask pękających pod stopami gałązek.

Brzask dnia spłynął na wzgórza i Leszczynową Dolinę, gdy Doron przestał ćwiczyć.

Świtało.

Wiatr przepędził mgły znad Stawów Czarnego Tataraku, rozgonił chmury kryjące nocne niebo. Słońce wychynęło zza Krawędzi Świata. Powietrze mroziło zwykłym chłodem poranka, lecz Magwerowi zdawało się stokroć zi-mniejsze.

Siedział w kucki, wpatrzony w pęd młodej lipy, odnalezionej poprzedniego dnia przez Ostrego. Lipa - śmiertelne drzewo. W Oltomar zmarłym dzieciom wkładają w usta lipowe kulki. Podobno w dalekich krajach grzebie się ludzi w lipowych skrzyniach. A w Daborze na lipie wieszano przestępców.

Magwer, ubrany tylko w przepaskę biodrową, dygotał z zimna. Nogi mu już zdrętwiały, zgięty kark rozboleł, oplecione lipowymi witkami palce straciły czucie.

Ostry stanął za plecami Magwera. Mówił powoli i cicho, tak że młodzieniec, słysząc szept, nie potrafił pojąć słów.

Chrupnęło szkło zgniecione w dłoniach flakonu, krew Rodoma zmieszała się z krwią Ostrego, a potem Szepczący dotknął zimnymi, lepkiemi palcami pleców Magwera.

Ostry zaczął gwizdać. Dźwięk - zrazu cichy - z każdą chwilą stawał się coraz głośniejszy, z początku niepewny, łamiący się - wciąż potężniał. I wtedy Magwer poczuł mrowienie przebiegające wzdłuż

kręgosłupa, dreszcze przemieniające się w drobne ukłucia, coraz głębsze, boleśniejsze. Coś dziwnego, przerażającego wpełzło w myśli Magwera, coś, co sprawiło, że jego oczy przestały widzieć, uszy słyszeć, że stracił poczucie czasu. Obca siła wtargnęła w jego umysł, chciała nim zawładnąć, a Magwer nie potrafił się jej przeciwstawić.

I nagle wszystko zamarło.

Szepczący obszedł Magwera i stanął przed nim, choć młodzieńcowi wciąż się wydawało, że czuje na plecach dłoń Ostrego.

Szepczący urwał jeden z lipowych listków. Z woreczka wyjął kawałek surowego mięsa, owinał go liściem i podał Magwerowi.

Młodzieniec otworzył usta, zmrużył oczy. Jego zęby zacisnęły się na węzlastym mięsie, rozgniotły liść, język zlizwał krew z warg.

Magwer był gotów.

Dorona obudził dobiegający z daleka krzyk.

- Panie! Panie!

Liść zdążył wstać i otworzyć drzwi, nim tamten wbiegł na podwórko.

- Panie! - mężczyzna oddychał ciężko, zmęczony długim biegiem. Salota szanowano w całej okolicy nie tylko dla jego zręcznych palców, ale i dlatego, że najlepiej potrafił rozmawiać z Doronem.

- Co się stało?

- Panie... przybiegł dzisiaj mały Konta, on nocował u babki w Daborze, ale stara wysłała go skoro świt, bo ponoć w mieście działy się straszne rzeczy - Salot wyrzucił z siebie jednym tchem.

- Co się stało?

- Panie, była pono straszna walka. Wieczorem gwardziści wyszli na miasto, wiesz, panie, jacy oni są, czy to kobiety, czy mężczyźni. A takiej baby to już zupełnie nie sposób odróżnić od chłopca. I tak, w dziesiątkę chyba, weszli do karczmy. I tam zaczęli zaczepiać i obściskiwac dziewczki służebne. No a te, jak to dziewczki, trochę się ze-strachały, ale zaczęły im służyć. No, ale to jeszcze nic straszego, bo one przecież temu zwyczajne i za to im jeść dają. Lecz oto się okazało, że wśród gwardzistów same baby i że to baby się do służebnych dziewczek dobierają...

Doron uśmiechnął się lekko, ale Salot tego nie zauważył.

- No i tu się przebrała miarka. Bijatyka się zaczęła straszna, bo za dziewczkami ich chłopcy stanęli.

Wszyscy wyszli na ulicę, a tam dołączyli nowi. Dwóch gwardzistów jest ponoć rannych, a naszych trzech zabitych. Oj, nie będzie pojednania, oj, nie będzie. A grodowi całe to zbiegowisko rozpędzili, kilku młodziaków schwytali i powlekli do twierdzy. Ban jeszcze ich nie osądził, ale ludzie gadają, że srogi będzie, by nikt się przeciw Szerszeniom nie ważył poruszyć. Jak myślisz, panie, daruje im życie czy też nie?

Doron wygodnie usiadł na ławie.

- Myślę, Salot, że wszystko od ludzi zależy. Będzie spokój, puści ban młodych. Zacznie się zamieszanie... pójdą na szafot.

- Szafot... - jęknął sługa. - Szafot... Pierwsza krew już się polała.

Psy nie zwracały uwagi na panujący na rynku harmi-der. Mieszkały tutaj, więc były przyzwyczajone. Teraz, korzystając ze słonecznego blasku, wygrzewały się - leniwe i powolne. Przechodnie omijali je, nie przeszkadzając w drzemce. Pies - sługa i przyjaciel człowieka - zasługiwał na szacunek.

Magwer szedł ulicą, nie rozglądając się na boki. Słońce świeciło mu prosto w twarz, lecz chłopak nawet nie mrużył oczu.

Za nim, dziesięć, może piętnaście kroków, podążało trzech młodych mężczyzn. Mieli pomóc.

Ostrego już nie było. Rankiem, gdy Magwer zerwał z palców lipowe włókna, Szepczący pożegnał się i odszedł. I tak poświęcił Magwerowi wiele czasu.

Doszli do placu. Magwer przystanął na chwilę, idący z tyłu mężczyźni zwolnili kroku. Rozejrzał się. Jego wzrok spoczął na psach.

Słońce paliło skórę.

Jeden z psów, wielki czarny kundel, otworzył oczy i podniósł głowę z ziemi. Wyciągnął szyję w stronę Magwera, na chwilę zastygł w bezruchu.

Mężczyzna ruszył dalej.

Pies znów się położył. Jednak nie zamknął oczu.

Koło studni siedziało kilku grodowych. To tu właśnie, jak nakazywał obyczaj, zgłaszali się ci, którzy otrzymali znak od bana, okazywali Jarzębinę Przyzwania. Potem grodowi prowadzili więźniów do Gorczem.

Magwer minął studnię, zatrzymując się dopiero przy rosnących na placu topolach. Usiadł w ich cieniu, opierając się o chłodny pień.

Towarzysze Magwera rozdzielili się. Jeden usiadł obok chłopaka, drugi stanął przy straganach, trzeci ruszył ku studni. Tak, jak ustalili wcześniej.

- Połuuudnie!

- Połuuudnie!

Krzyk głosicieli wzbił się ponad gwar tłumu, równocześnie od strony Gorczem dał się słyszeć jednostajny, przeciągły jęk trombit. Ban zaczynał obchód wałów.

Ten dźwięk zaniepokoił psy, poderwały się gwałtownie, rozglądając i węsząc, któryś zaszczekał, jednak po chwili znów położyły się na gorącym piasku.

Tylko czarny kundel stał dalej, patrząc na Magwera.

Chłopak też patrzył na psa. Sięgnął ręką do przewieszanej przez ramię sakwy, wyjął mały, pomalowany na czarno kamyk. Włożył do ust, kryjąc pod językiem.

W tej właśnie chwili, daleko, u wylotu przeciwległej ulicy, pojawił się Rodam.

Szedł powolnym, niepewnym krokiem człowieka pijanego.

Pies gwałtownie potrząsnął łbem.

Rodam wypił dużo, więcej chyba niż poprzedniego dnia. Szedł jednak prosto, choć całym ciałem walczył o utrzymanie równowagi.

Magwer dalej siedział nieruchomo, zmrużył oczy, potem je zamknął. Dłonie mocno zacisnął na kolanach.

Rodam zmierzał prosto ku studni.

Pies zrobił kilka kroków, stanął, zakręcił się wokół własnego ogona.

Magwer poruszył wargami, wyszeptał kilka słów.

Rodam stanął, rozejrzał się po placu. Znów ruszył, nie

ku studni jednak, a ku kilku siedzącym pod drzewami gońcom. Doskoczyli do niego natychmiast, ale gdy coś powiedział, większość wróciła pod drzewo. W końcu został jeden. Patrzył na Rodama uważnie, choć z lekkim uśmiechem. Ciałem mężczyzny wstrząsnął dreszcz, zaczął machać rękami, kręcić głową, przestępować z nogi na nogę. Kamień pod językiem rozgrzewał się. Magwer czuł ciepło i wiedział, że wkrótce stanie się ono żarem. Pies zaszczekał. Cicho. Żałośnie.

Rodam pochylił się, położył dłoń na ramieniu gońca, drugą jakby pokazywał jakiś kierunek. Potem sięgnął do kieszeni bluzy, wyjął garść płatnych paciorków i podał je chłopcu. Malec wytrzeszczył oczy, z niedowierzaniem patrząc na tak wielką zapłatę. List, tak jak i paciorki, wcisnął do zawieszzonego na szyi woreczka. Rodam odwrócił się i znów ruszył ku studni.

Gruźłowata twardość kamienia paliła język. Pies znów zaskomlał, lecz jego jęk powoli zmieniał się w warczenie.

Zbielałe palce Magwera zacisnęły się na kolanach. Oczy miał zamknięte. Zaciśnięte do bólu. Widział. Obraz niepełny, zamglony, oblaźły pleśnią i kurzem, bez barwy i przestrzeni.

Słyszał. Miarowy szum, jednostajny chrobot ludzkiego tłumy, przytłumiony, zgaszony.

Węszył. Ten nowy świat otworzył się jego nozdrzom jak krajobraz pełen znaczeń i wskazań, których ludzki umysł nie potrafił ogarnąć. Kłębiły się te zapachy, mieszały, podawały tropy.

Magwer doświadczał też obecności psa - strachu i zdziwienia, niepokoju i wściekłości. Dotykał umysłu odmiennego, prostszego, lecz mimo to niepojętego, wypchniętego ze swego siedliska, przerażonego gasnącymi dlań zmysłami. Magwer czuł, jak stworzenie walczy, szarpie się, słabnąc z każdą chwilą.

Za to pełniejszy okazywał się świat widziany - ludzki umysł przywykł do nieczłowieczego obrazu i dźwięku, uczył się pojmować zapach, wydobywał z najtajniejszych zakątków pamięci pragnienia i instynkty przedwiecznych

przodków. Coraz pełniej przejmował we władanie obce ciało: kończyny przeznaczone nie do trzymania narzędzi i główny swój oręż - szczękę pełną lśniących kłów.

I tylko żar Czarne Orzecha pod językiem przyprawiał o okrutną mękę, której nie da się pozbyć. Czarny Orzech dotknął wcześniej krwi, skóry i włosów Magwera, poznał jego pot i ślinę. Teraz zadawał ból będący jedyną ścieżką, po której człowieczy umysł mógł wrócić do swego ciała.

Rodam stanął już przed grodowymi. Chwiejąc się, zaczął grzebać w kieszeniach. W końcu wyciągnął znak przyzwania.

Czarny pies patrzył na niego, pochylając łeb,

Rodam na otwartej dłoni pokazał grodowemu Jarzębinę. Żołnierz obejrzał ją uważnie, krzyknął coś do swego towarzysza. Tamten kiwnął głową. Grodowy lekko pchnął Rodama i ruszył za nim.

Oczy psa widziały zbliżających się mężczyzn, ich zapach gęstniał z każdą chwilą. Pies odsłonił zęby.

Zbliżają się.

Zapach Rodama znajomy, choć nigdy nie nazwany. Teraz dopiero Magwer czuje go, wie, że czuł zawsze. Lecz jest w tej woni coś, czego nie było nigdy. Piwo, pot, strach, zmęczenie mieszają się, ale głębiej, dalej, tkwi coś niepojętego - woń ledwie uchwytna, nawet dla czulego psiego nosa.

Obok zapach strażnika. Pieczona baranina, piwo, pot, pył placu, spokój. Większość ludzi tak tu pachnie, choć żadnego z nich nie czuć tak samo.

Zbliżają się.

Są nie dalej niż o krok. Pies skacze, wpada im pod nogi, jakby nagle obudzony, przerażony.

Strażnik klnie z wściekłością, kopie. Czubek buta sięga brzucha, ból nie jest silny, ale Magwer otwiera usta. Pies odsłania kły.

Warczy i z ujadaniem zaczyna obskakiwać mężczyzn. Grodowy ogania się, chwyta pałkę, bierze zamach, ale pies umyka przed ciosem.

- Dawaj go! - wrzeszczy Rodam. Chrypi, głos ma przepity, gardło ściśnięte. Dużo piwa było, prosto ze schłodzonych piwnic.

Też usiłuje kopnąć psa, z trudem utrzymuje równowagę.

Już inne psy, zaciekawione walką, zaczynają ujadać, choć nie ruszają się z miejsc. Obserwują tylko szarpiących się ludzi i tańczącego wokół pobratymca.

Pies chwyta zębami nogę strażnika. Magwer czuje w ustach szorstkość wełnianej nogawicy, miękkość ciała, ciepło krwi. Pałka trafia w jego kark. Pies odskakuje ze skowytem. Znów rusza do przodu, tym razem na Rodama. Skacze. Mężczyzna chce go chwycić pod uszy. Tak należy walczyć z psami. Chwycić za sierść, gdy lecą w górę, obrócić, cisnąć na ziemię i przygnieść. Tak to powinien zrobić. Ale jest pijany i powolny, zawsze zresztą brakowało mu szybkości.

Kły sięgają gardła Rodama. W nozdrza psa uderza fala zapachu krwi, jej lepkości i gorąca, woń uciekającego życia. Strażnik okłada psa pałką, kopie, drugi grodowy biegnie mu z pomocą.

Krew bucha na nozdrza i pysk. Na policzki i czoło. Ból w miażdżonym pałką kręgosłupie. Palce zaciśnięte na kolanach. Przedśmiertny skowyt psa. Jęk człowieka. Żar kamienia pod językiem. I powrót. Powrót. Powrót...

Magwer otworzył oczy. Sto kroków przed nim ludzie pochylali się nad martwym Rodamem i martwym psem, który go zabił.

## **5. Wiewiórcze ogony**

Kilkudziesięciu wojowników stanęło pierwszego dnia na placu, jednak tylko ośmiu mogło zejść z niego zwycięsko, by przystąpić nazajutrz do ostatecznej rozgrywki.

Mimo że pojedynki toczyły się od świtu, na trybunach wciąż siedziało wielu ludzi. Po to wszak przeszli i po cztery tuziny wiorst, by teraz móc podziwiać walczących. Jak do tej pory turniej przebiegał dość łagodnie, nikt nie zginął i tylko kilku mężczyzn trzeba było znieść z pola walki.

Doron przyszedł na plac już rano, usiadł na swoim miejscu i, tak jak obiecał, obejrzał wszystkie walki braci pszczelarzy. Uomi wygrał dwa pojedynki, w kolejnym uległ Szerszeniowi.

Szerszenie byli bez wątpienia najlepszymi wojownikami we wszystkich okolicznych krajach. Rodzili się, rośli i umierali jako żołnierze. Stanowili odrębną kastę bezwzględnie posłuszną rozkazom Matek. Mężczyźni i kobiety. Kobiety bez piersi, o kanciastej budowie ciała, muskularnych ramionach i nogach, ostrych rysach twarzy, twardych ruchach. Dwa razy w życiu zachodziły w ciążę i zawsze rodziły bliźniaki - dwójkę chłopców lub chłopca i dziewczynkę. Po porodzie wracały do armii, silne jak mężczyźni i jak oni bezwzględne. Brzemiennymi uczynić je mogli tylko gwardziści, którzy zresztą nie potrafili spłodzić potomstwa z innymi niż gwardzistki kobietami.

Tak żyli zawsze, odkąd istniało Miasto Os, odkąd Matki władały Zewnętrznym Kręgiem. Gwardziści - rasa ludzka, choć obca innym ludziom. Nie potrafili nic prócz

walki. Ich pieśni były proste i monotonne, język ubogi, obyczaje dzikie. Lecz w boju nikt nie potrafił dotrzymać im pola.

Tb oni, nasyceni mocą Ziemi Rodzicielki i Zewnętrznego Kręgu, zapewniali Gniazdu bezpieczeństwo. Co roku urządzali krwawe łowy na pograniczne ludy. Pod ich ciosami padła przed wiekami potęga Dabory i Kręgu Mchu, zginęły Matki Leśnych Gór. To oni osadzili na tronie pierwszych banów, a potem, gdy Leśne Góry próbowały zrzucić jarzmo Gniazda, dusili bunty w potokach krwi.

Tak opowiadali Szepczący.

Główna trybuna wciąż pozostawała pusta. Jutro, gdy wzniesiona zostanie Pięść Gaju - nagroda dla zwycięzcy turnieju - przybędzie Penge Afra oraz ejenni. Zejdą się komesi wszystkich prowincji Leśnych Gór i mistrzowie szkła z Uwegny. Dziś siedział na niej tylko Doron i kilkunastu gwardzistów. Szerszenie milczeli, mało ze sobą rozmawiali, czasem tylko jakiś gniewny pomruk wydobywał się z ich gardeł. Jak zauważył Doron, huczeli wtedy wszyscy. Nawet gdy na plac wstępował któryś z ich braci, nie podnosili się z miejsc, nie krzyczeli - patrzyli tylko nieco uważniej. Oczy Szerszeni nie miały tęczęwek.

A tłum wiwatował. Ludzie przychodzili tu całymi rodzinami, gromadami, klanami. Gdy w kwadracie stawał ktoś z ich bliskich, wszyscy podrywali się z miejsc, wrzeszczeli, pluli. Czasem, gdy poplecznicy dwóch rywali siedzieli zbyt blisko siebie, zaczynały się bójki. Wtedy wkraczali grodowi, rozdając razy na prawo i lewo, szybko przywracając porządek.



Doron uśmiechał się lekko. Lubił siedzieć na placu turniejowym, patrzeć na walczących. Czasem powracał żal, że on się już z nimi nie sprawdzi. Po otrzymaniu wróżby złożył przysięgę, że nie stanie nigdy przeciw człowiekowi, bo w walce łatwo o śmierć. Nie pojedynkował się dawno, lecz mimo to i tak pokonałby tych wszystkich młodych wojowników.

Kiedyś proszono go, by sędziował na turnieju, ale od wielu lat odmawiał. Rozjemca musiał pilnować, aby walczący przestrzegali reguł pojedynku. To on przerywał wal-

kę w chwili, gdy jeden z wojowników dostatecznie udowodnił swoją przewagę, lecz jeszcze zanim zdążył zrobić prawdziwą krzywdę swemu przeciwnikowi. Dziad Dorona opowiadał, że kiedyś nie było sędziów. Dwaj przeciwnicy walczyli dopóty, dopóki jeden nie poprosił o łaskę lub nie miał siły podnieść się z ziemi. Wielu dzielnych mężczyzn ginęło albo wracało do domów okaleczonych. Kto by się tam jednak przejmował, ilu młodzieńców traciło zdrowie na daborskich turniejach w czasach, gdy dziad dziada Dorona był jeszcze małym chłopcem. Tb wtedy w Leśnych Górach trwała krwawa wojna domowa, w której kilka odłamów rodu Afrów starało się zdobyć pełnię władzy. Bracia zabijali braci, synowie padali z ręki ojców, córki mordowały matki. A każdy nowy ban składał pokłon stróżującym w Kręgu Mchu gwardzistom i słał ofiary do Miasta Os. Gdyby tego nie zrobił, straciłby władztwo w ciągu dwóch miesięcy. Tak było zawsze od czasów wielkiej wojny. Moźni Dabory mogli walczyć ze sobą o władzę, mogli występować jedni przeciw drugim. Armia Gniazda nie wspierała nigdy żadnego z nich, ale od każdego zwycięzcy żądała hołdu i posłuszeństwa. Kilku ośmieliło się zbuntować: Hapor Wielki, Mon Ijasz, Grau Kovakann. Mówią o nich pieśni powtarzane przez Szepczących, śpiewane przy ogniskach przez drwali i rolników. Pierwszy zginął na krzyżu. Drugiego nadziano na pal. Trzeciego złożono w ofierze Zewnętrznemu Kręgowi. Uprzednio wyłupiono im oczy, wyrwano języki, poobcinano palce u rąk i nóg, zdarto skalpy. Tb zdarzyło się dawno, bardzo dawno. Od pokoleń nikt się nie buntował. Żaden władca.

Illan pokonał kolejno trzech przeciwników. W walce o wejście do ósemki najlepszych wojowników turnieju jego rywalem był wysoki muskularny młodzieniec w czerwonej przepasce na biodrach. Jego skóra lśniła od potu, a plecy i piersi pokrywały tatuaże rybaków znad Czarnych Jezior. Walka nie trwała długo. Illan cały czas atakował, lecz rybak odbijał każde uderzenie. Nagle zakręcił pałką, wytrącając broń z ręki Ulana. Przyłożył ostrze do jego szyi.

- Stój! - krzyknął sędzia, a jego głos zniknął w ryku tłumu.

Czarnowłosa odwrócił się ku głównej trybunie i spojrzał wprost w oczy Dorona.

Magwer odpoczywał.

Ciężko wsparł się łokciami o blat stołu. Obok postawił kubek piwa.

Gwar wypełnionej ludźmi sali jadalnej docierał do Magwera jakby z daleka. Młodzieniec nie zwracał uwagi na przeciskające się między ławami dziewczki, nie przeszkadzały mu wrzaski pijaków.

Siedział więc w leniwym otępieniu, wciąż rozważając popołudniowe wydarzenia. Chwilami

wracało wspomnienie smaku krwi, ludzkiego mięsa i wtedy rozszerzały mu się nozdrza, schło gardło. Strach mieszał się z dziwną gorączką.

Udało się.

Ostry wezwał do pomocy Krogga, Wagrana i Pozma -mieli ubezpieczać Magwera, tak jak osłonią go jutro, na targowym placu w czasie akcji. Udało się.

Dwie rzeczy dziwiły Magwera. Rodam nigdy nie wlewał w siebie zbyt dużo piwa czy gorzałki, nawet się z tego ludzie śmiali. Tymczasem ostatnimi dniami wciąż chodził pijany. Magwer rozumiał strach przyjaciela, lecz mimo to ta nagła przemiana wydała mu się dość dziwna. Tym bardziej, iż Rodam wciąż obiecywał, że więcej wódki do ust nie weźmie, a na każde kolejne spotkanie przychodził pijany jak bela.

No i to dziwne wspomnienie. Magwer nie odtworzyłby w myślach najwyraźniej szych zapachów z tamtej mieszaniny, którą przed nim otworzył zwierzęcy umysł. Co tu więc mówić o woni nawet psim nosem ledwie postrzeganej. Co oznaczała? Skąd przypląnęła? Magwer nie mógł znaleźć odpowiedzi. Czuł jednak, że to ważne.

Był zły, że wciąż myśli o tamtych sprawach. Wszak już wieczorem przyjdzie posłaniec i przyniesie wiewiórcze ogony. Śmiertelny znak, symbol zemsty. Od jutra Magwer i ludzie z jego grupy rozpoczną pracę w Daborze. Koniec z opowiadaniem bajęd przestraszonym wieśniakom, dość

rozpuszczania plotek po oberżach i ćwiczeń w leśnych zakamarkach. Zaczynała się prawdziwa robota.

Wypił piwo, stuknął kubkiem o stół. Karczmarz już szedł w jego stronę.

Magwer sięgnął po rozrzucone kości, potrząsnął nimi w dłoniach. Musiał szybko zapomnieć o krwi Rodam a. O ciepłe miazdzonego zębami gardła. Rzucił kości w chwili, gdy oberżysta stawiał na stole nowy dzban piwa.

Kości poturlały się po mokrym blacie i zatrzymały w układzie Zimnej Śmierci.

Wieczorem w mieście pojawiły się pierwsze znaki. Wiewiórcze kity powiązane po trzy, zatknięte na ścianach domów, na drzwiach. Ogony wiewiórek pomalowane były na dwa kolory - żółty i czarny. Barwy Gniazda. Dabora witała gwardzistów symbolem nienawiści. Wyzwaniem i przekleństwem.

Z twierdzy ruszyły na miasto patrole żołnierzy, zaroilo się od grodowych. Kilku mieszczan, którzy zbyt opieszale ściągali znaki, wybatożono.

Lecz wiewiórcze ogony przyczepiano nadal, w miejscach rzadko odwiedzanych przez strażników i na głównych ulicach miasta. Choć wisały krótko, to wielu ludzi mogło je zobaczyć.

Na drugi dzień kita pojawiła się na wale Gorczem, mniej więcej w połowie wysokości. Zdjęto ją zaraz, a na częstokół zatknięto dwie głowy pełniących w tamtym czasie wartę strażników.

Salot wiedział, jak się podlizać. Na ławie postawił talerz z serem i miodem, w dzbanie czekało zimne piwo. Doron bardzo je lubił, bardziej nawet niż trunki przyrządzane przez piwowarów z miasta.

Dzban z piwem wniosła Solla - córka Salota. Spojrzała na Dorona i uśmiechnęła się. Nie była bardzo ładna, choć twarz miała łagodną, a włosy miękkie - szerokobiodra, wąska w pasie, o dużych piersiach, teraz wypełnionych mlekiem. Podobała się Doronowi i nim wzięła sobie męża, często przychodziła do chaty Liścia. Zresztą Kule, mąż

Solli, jeszcze przed zrękowinami poprosił Dorona, by wzywał ją dalej. Obiecywał, że nie dotknie żony na tydzień przed tym, jak Liść jej sobie zażyczy.

Ale Doron nie przywoływał męzatek. Były zmęczone i często się spieszyły, nawet jeśli starały się to ukryć. Sa-lot miał jeszcze jedną córkę, nie brzydząca wcale od Solli, a dorastającą już piętnastego roku i mającą wejść w dorosłe życie. Doron wiedział, że Salot, jak wszyscy okoliczni chłopcy, jego - Liścia - poprosi o odebranie córce dziewictwa w czasie wiosennej równonocy.

Doron nie ożenił się po raz wtóry. Nie potrzebował potomka. Jakże by żył ten chłopak - zwykły śmiertelnik, niczym się nie różniący od ludzi - obok swojego ojca, dzierżącego moc Świętego Gaju? Jaka więź mogłaby ich łączyć? Co dać by potrafiło wzajemną miłość i zrozumienie? Nic. Byliby jak dwa owoce na dwóch gałęziach drzewa, niby wyrastające z jednego pnia, a przecież sobie obce, odległe. A więc i żony Doron nie potrzebował. Niewolnicy zajmowali się domem pana, ich córki umilały mu noce.

- Panie - Salot usiadł naprzeciw Dorona.

- Co?

- Panie, ja... ja widziałem posłańca od Ostrego - Salot powiedział to cicho, prawie szeptem.

- Tutaj?

- Nie, panie, na wzgórzu, w Trzecim Lesie.

- Co żeś tam robił?

- Poszedłem razem z Kuternogą, wiesz, panie, to ten znad Głuchego Potoku, on powiedział, że tam będzie się spotykał z Oстрыm, a ja strasznie chciałem zobaczyć Szepczącego. A czasu zabrakło wtedy, żebym mógł ci o tym powiedzieć, panie.

- I widziałeś tego posłańca?

- Jako ciebie, panie, teraz, blisko, bliżusieńko. Tylko twarzy żem się nie dopatrzył, bo miał na łbie taki biały worek z dziurami na oczy i gębę.

- Cóż tam takiego opowiadał?

- Dużo, panie. O wszystkim. Choćby o szkłe, o cudow-nościach, które robią co roku mistrzowie i które zabiera Gwardia, o wiecznych ogniach w głębi Gór Szklanych, co przy nich Uwegna stoi. I nauczał, panie, nauczał...

- Nie gadaj, stary, żeś się jeszcze czegoś chciał nauczyć.

- Ja? - Salot spojrział na Dorona ze zdziwieniem. - Ja nic, panie. Ja już dziad jestem, po co mnie nauki, ale mądrości opowiadał, że ho, ho... I o tym, co jaka litera znaczy i jak się ją mówi, i jakie to zioła najlepsze na brzu-chaciznę, a jakie na odciski. I jak ustrzec się uroczeo wrzосу i co zrobić, jak się w domu cmentarny kostaluch zalęgnie...

- Ale chyba nie o tym chciałeś gadać - przerwał mu Doron.

- Tak, panie - Salot zmieszał się, milczał chwilę, bębniąc palcem po stole. - Panie, on mówił także o tym, co było dawniej.

- O historii - odpowiedział Doron.

- Tak, o historii. A, panie, jak cudownie on gadał. Jak się tak siedziało, gębę rozdziawiło, to by i chałupa mogła zgorzeć albo i grodowi by na plecocy siedli. A jak się jeszcze ślepią zamknęło, to się wszystko w myślach układało, tak jakby człowiek te wszystkie przeszłe wypadki sam oglądał. Pięknie gadał.

- Ty też pięknie gadasz - Doron pociągnął łyk piwa. - Tyle, że długo.

Salot znów się speszył i zamilkł. Doron tak naprawdę bardzo lubił go słuchać. Sługa zawsze mówił z przejęciem, przeżywał wszystko, a przy tym potrafił opowiadać ładnie i ciekawie. Spośród Doronowych ludzi nikt nie umiał przegadać Salota. Pewnego razu Liść widział nawet, jak niewolnik odszczekuje się banowym wojownikom, a robił to z takim kunsztem, że ci dwaj, zamiast go stłuc i skopać, odeszli, na dodatek Salota przepaszając. Tym większą przyjemność miał Doron, gdy od czasu do czasu usadzał niewolnika jednym, dwoma słowami. Sługa czuł respekt do swego pana i Liść wyczuwał w tym coś więcej od należnego mu posłuszeństwa. W ogóle niewolnicy darzyli Dorona głębokim uczuciem, wiedział o tym. Traktował ich inaczej niż większość wolnych swoje sługi. Może dlatego, że nie musiał skąpić - wrywać ziemi każdego ziarna, każdego jej owocu. Wszak kupcy z Dabory poczuwali so-

bie za zaszczyt dostarczanie żywności do domu Liścia. A może dlatego miał dla rabów wiele łaskawości, że za sprawą swego ojca, sędziego klanu drwali, poznał trud ciężkiej pracy i rozumiał swych poddanych. Może... Ale tak naprawdę, rzecz polegała na czymś innym i Doron zdawał sobie z

tego sprawę. Po prostu był mądrzejszy od większości ludzi. Znał prawdy dla nich niedostępne. I dlatego pozwalał niewolnikom na więcej niż inni właściciele, dlatego starał się o nich dbać, pomóc w czasie nieurodzaju czy choroby. Często bywał w chatach swych poddanych, a czasem nawet, ku zgorszeniu ludzi, sam pracował w polu.

- No, dobrze już - zanurzył kulkę sera w miodzie, złociste krople spłynęły po palcach, gdy podniósł słodką bryłkę do ust - opowiadaj jak chcesz.

- Może jeszcze piwa, panie?

- Czysto - syknął Pozm.

- Cisza - to Wagan.

Krogg wyskoczył na środek ulicy, zakręcił trzymaną w rękach liną, do której końca przywiązano trzy wiewiórcze ogony. Ponad nim, między dachami domów przerzucona była belka, wyraźnie znacząca się na rozgwieżdżonym niebie.

Krogg rzucił. Kita przeszła może o sążen od belki. Lina, mimo że ściągana gwałtownymi ruchami, z głośnym plaśnięciem upadła na ziemię.

- Żeby to... - mruknął Krogg, ponownie zwijając sznur. Rozejrzał się wokół.

- Spokój - dał znak Pozm. Wagan znowu machnął ręką.

- Sięgniesz? - spytał Magwer, gdy Krogg rozkręcał linę. Wyciągnął rękę. - Jak nie...

- Sięgnę - warknął Krogg. Tym razem machnął liną tak, że choć przeleciała ponad belką, to jednak nie okręciła się wokół niej. Mało ich nie uderzyła, spadając. Krogg znów zaczął ją ściągać.

- Grodowi - syknął Pozm. - Idą tu.

- Zwiewamy - dał znak Magwer.

- Rzucę jeszcze - Krogg rozbijał linę.

- Nie! Idziemy. - Magwer pobiegł w stronę Wagrana. Zatrzymał się, odwrócił - Krogg!

- Już! - Krogg rzucił linę. Jej koniec z przyczepionymi ogonami okręcił się wokół belki.

- Biegną! - Pozm już krzyczał. Stał na rogu dwóch przecinających się ulic, patrząc raz po raz to na zbliżających się grodowych, to na swoich kolegów.

Krogg pochylił się nad leżącym na ziemi końcem liny. Magwer dopadł do niego.

- Zostaw! - chciał go odepchnąć, ale zobaczył, że Krogg już krzesze ogień.

Wtedy rozległy się gwizdki strażników. Dźwięk zimny, przenikliwy. Zaraz zjawia się następni.

- Ju...u...uż - wystękał Krogg. Nasączona wcześniej palnym olejem lina zajęła się od razu.

Pozm rzucił się do ucieczki. Żołnierze wybiegali zza zakrętu.

Magwer pchnął Krogga, minął ich Pozm. Popędzili wzdłuż ulicy, jeden po drugim niknąc w bocznych dojsciach, bramach domów, między warsztatami.

Żółty ognik powoli pełził ku górze, poruszany wiatrem, targany wahnięciami rozhuśtanej liny. W końcu dotarł prawie do samej belki i tam, natknąwszy się na odcinek sznura nasycony wodą, zgasł. Ponad ulicą Dabory wisiała kita z trzech wiewiórczych ogonów. Dwa pomalowane na czarno, jeden na żółto. Znak wyzwania. Znak nienawiści.

Doron zatrzymał się na chwilę, by popatrzeć na niewolników pracujących przy naprawie wodociągów, potem skręcił ku straganom. Stał przed kramem joparza. Sprzedawca, trzynastoletni może chłopak, pokłonił się nisko.

- Witaj, Mistrzu.

- Witaj, Ate Szucs.

Doron sięgnął po leżący na wierzchu kaftan. Jopy nie zrobiono zbyt pięknie, za to starannie i mocno. Pięć warstw jeleniej skóry, przekładanej wełnianymi płatami,

najpierw sklejono, a potem przepikowano. Ścieg szedł równo, dziury po szydle były małe i niepostrzępione. W pracowniach Bor Szucsza nie zdobiono jop bojowych. Za to jego uczniowie robili także zbroje paradne, cienkie, obszyte muszelkami i łuskami morskich ryb. Malowano na nich sceny bitewne, portret właściciela, sylwetki zwierząt i wodnych stworów. Bor Szucs stawiał na tych jopach swój znak i sprzedawał je najbogatszym daborczykom. Zaopatrywał też dwór bana.

- Twój ojciec w domu? - spytał Doron.

- Pracuje, Mistrzu, od rana dziś pracuje. Waleczny Hor Ara ze skalnego Żlebu przysłał niewolników z zamówieniem na szesnaście bojowych jop i już wczoraj zaczęła się praca.

- A ty, Ate Szucs, jeszcze nie szyjesz? Chłopiec spuścił głowę.

- Szyję, Mistrzu, ale ojciec powtarza, że wciąż muszę się uczyć. Ale - jego twarz rozpogodziła się tak bardzo, jak przedtem posmutniała - mogę już sprzedawać swoje jopy w jego kramach, razem z kaftanami czeladników.

- Masz tu jakąś swoją jopę?

- To ta, Mistrzu, którą trzymasz w ręku. Doron spojrzał na chłopca, potem na kaftan.

- Myślę, Ate, że twój ojciec chce uczynić z ciebie najlepszego joparza, jaki żył w Daborze.

Chłopak znów poczerwieniał, tym razem z radości.

- Kupię od ciebie tę jopę, bo jest dobrze zrobiona.

- Mistrzu... - westchnął chłopak - ja nie mogę... mój ojciec...

- Twój ojciec obiecał zaopatrywać mnie i moich ludzi w jopy, ale z tobą nie zawierałem żadnych umów. Kupię więc od ciebie tę jopę, a jutro spotkać się mam z sędziami turnieju i wtedy założę ją na siebie. Ile kosztuje twoja skórznia, Ate?

- Dwadzieścia jeden Inianek, Mistrzu - Ate Szucs próbował się uśmiechać, ale głos mu drżał. Doron zaczął oglądać kaftan, sprawdził dłonią rzemienie, przesunął palcami po drewnianych osłonkach.

- Mogę ci dać dziewiętnaście, Ate Szucs - powiedział

wreszcie. - Dwadzieścia jeden biorą czeladnicy z Gor-czem, a ty nie jesteś nawet czeladnikiem.

Chłopak już chciał się zgodzić, gdy zobaczył uśmiech Dorona i powstrzymał się w ostatniej chwili.

- To dobra jopa, Mistrzu, nie mogę jej oddać taniej jak za dwadzieścia Inianek - wyrzucił z siebie jednym tchem i zamilkł przerażony tym, co zrobił; próbował wszak targować się z Liściem.

- Będzie z ciebie i kupiec - Doron wyciągnął zza pazuchy lniane płatki, odliczył dwadzieścia i wcisnął w dłoń Ate Szucsowi.

Plac Kasztanów zdawał się bardziej tłoczny niż zwykle. Na tym targowisku handlowano głównie drobnym towarem - przy kramach siedzieli garncarze i szewcy, tkacze i krawcy, tu sprzedawano też szklane błyskotki.

Na placu, na niewielkim wzniesieniu, rosły cztery kasztanowce o smukłych pniach i brunatnoszarej, spękanej korze, stare drzewa, które przetrwały liczne pożary miasta. Doron stał właśnie pod jednym z nich, wsparty plecami o pień. Żuł oscypek, patrząc na tłoczących się przy straganach ludzi. Nagle w ten monotony potok wdarł się ruch obcy, mącący leniwy przepływ niczym kamień rzucony w wodę. Nie mógł dostrzec tego nikt z przepychających się ludzi ani też żaden z pilnujących swego straganu kramarzy. Lecz Doron nie stał w tłumie, widział więc wszystko lepiej i dokładniej.

Chłopak posuwał się znacznie prędzej niż reszta ludzi. Czasem kogoś popychał, kilkakrotnie spojrzał za siebie, jakby z niepokojem. Za nim szło jeszcze czterech młodych mężczyzn. Trzymali się w

pewnej odległości od chłopaka, na tyle blisko jednak, żeby szybko móc go dogonić.

Liść zdawał sobie sprawę, że żaden inny człowiek nie zauważyłby tego. Nawet stojąc tu, gdzie on stoi, nawet patrząc tam, gdzie i on patrzy, nie dostrzegłby nic. A choćby i zobaczył chłopców, nie zwróciłby na nich uwagi. Lecz Doron czuł, że coś się stanie. Jego wzrok i zmysły pozwalały wyłonić z gromady ludzi tych kilku, którzy zaraz

mieli zrobić coś, co zburzy spokój tego miejsca i czterech potężnych drzew.

Chłopak wydostał się z tłumu, stanął przed kasztanowcem, na wprost Dorona.

Patrzyli na siebie.

Chłopak zbladł, zawahał się, jego sięgająca pod kaftan ręka zamarła w pół ruchu. Tamci czterej zwolnili, rozdzielili się, obstawiając najbliższe stragany.

Jasnowłosey spojrział prosto w oczy Liścia. Zaciśnął wargi. Doron wciąż żuł ser. Przełknął kęs, sięgnął do torby po następny, nie spuszczając wzroku z twarzy chłopaka. Wreszcie wyciągnął do niego rękę, podając kawałek oscypka.

Oczy jasnowłosego zalśniły. Zdecydował się. W jednej chwili wyciągnął to, co trzymał pod kaftanem - drewnianą kulę nabijaną krzemiennymi ostrzami, do której przywiązano trzy wiewiórcze ogony. Chłopak wziął mocny zamach i rzucił. Krzemiennie zadry wbiły się w korę drzewa kilka sążni nad ziemią.

Doron odskoczył od drzewa w tej jeszcze chwili, gdy jasnowłosey rzucał. Teraz stał o pięć kroków od kasztanowca, patrząc na pofarbowane wiewiórcze ogony - zapowiedź śmierci.

Chłopak nie uciekł od razu. Popełnił błąd, powinien natychmiast wziąć nogi za pas i zniknąć w tłumie. Jednak czekał. Może chciał chwilę popatrzeć na swoje dzieło, może pragnął jeszcze raz zajrzeć w oczy Liścia. Popełnił błąd.

- Stój! - ku chłopakowi ruszyli grodowi. Stali blisko i choć nie dostrzegli samego rzutu, zauważyli znak wyzwania, a potem wpatrującego się w drzewo młodzieńca. To im wystarczyło.

- Stój! - krzyknął jeden z nich, a drugi dmuchnął w gwizdek, przywołując resztę krążących po placu strażników.

Jasnowłosey nie czekał. Zanurkował w tłum.

- Jazdaaaa! - zawołał jeden z opiekunów. Huk przewracanego kramu, krzyk kupca, trzask pękających garnków, fala ludzi pchnięta między chłopaka a ścigających go strażników. Spiskowcy znali się na swojej robocie.



Uciekinier co chwila znikał Doronowi z oczu, lecz za każdym razem, gdy Liść go dostrzegał, chłopak znajdował się coraz dalej od kasztanowców. Strażnicy utknęli w tłumie, przerażeni ludzie ściskali się i gnietli, teraz to oni byli głównymi sprawcami zamieszania rozpoczętego przez czterech młodzików.

Gdy przywołane wściekłymi gwizdami grodowych posiłki dotarły na miejsce, mogły co najwyżej uspokajać tłum. Poszły w ruch pałki i pięści. Krzyki bitych utworzyły jedną melodię wraz z wściekłymi przekleństwami strażników, lamentami kupców i ujadaniem psów.

Pięciu młodych chłopaków w końcu zniknęło z placu, a ponad targowiskiem furkotały na wietrze wiewiórcze ogony.

## 6. Turniej

Kolejny dzień rozpoczął się krwawo.

Warsztaty daborskich kuśnierzy stały niedaleko od Gorczem. Zbudowano je przed dwudziestu laty, po pożarze, który strawił ten kwartał miasta. Dlatego też wszystkie domy wyglądały tak samo. Za to po wyglądzie stojących na ich tyłach warsztatów można było łatwo odgadnąć, jak wiedzie się każdemu z rzemieślników.

Wpadli tam wczesnym rankiem.

Kolumny żołnierzy wbiegły z obu krańców ulicy niemal równocześnie. Pierwsze szeregi zaczęły wlewać się na podwórka i do domów, a z tyłu napływały następne. Równocześnie oddziały straży miejskiej obsadziły wejścia budynków wychodzące na sąsiednią przecznicę.

Krzyki dziesiętników i łomot wywalanych drzwi. To było pierwsze. Tupot butów po posadzkach, klepiskach, schodach. To drugie. Krzyki wyrwanych ze snu ludzi. Trzecie.

Żołnierze wypędzali wszystkich; rzemieślników, ich rodziny, służbę i niewolnych. Daborczycy klęczeli teraz w ciągnącym się wzdłuż całej uliczki szeregu tak, jak kto poderwał się z posłania - w gieźle, koszuli, nago. W tym czasie wojownicy przeszukiwali warsztaty i domy.

Jakaś kobieta, stara i pomarszczona, otoczona gromadą dzieci, zaczęła wymyślać strażnikom.

Pałka strzaskała jej szyję.

Poszukiwania trwały dalej. Wojownicy wyrywali deski

z podłóg i ze ścian, wyłamywali zamki skrzyń, rozbijali garnki, szarpali bele mter. Pruli sienniki i rwali kosze.

Niewinni czekali cierpliwie. Klęczeli z pochylonymi nisko czołami, widząc, prócz szarej ziemi, tylko stopy wojowników. Ale nie musieli się obawiać. Jeśli rzeczywiście nie popełnili żadnego występku przeciw prawu, nic im nie groziło. Ba, po wszystkim mogli udać się na banowy dwór i otrzymać wynagrodzenie za szkody.

To prosty sposób sprawowania władzy i zagwarantowania sobie posłuchu. Tym, którzy starannie wypełniają rozkazy, pozwól żyć bezpiecznie, bogacić się, w spokoju oczekiwać sprawiedliwości. Lecz nie miej litości dla tych, którzy popełnili najmniejszy nawet błąd albo nie donieśli ci, że ktoś inny popełnił błąd. Niech lęk opanuje ich myśli, niech zrywa wszelki sen, uniemożliwi zwykłe życie. A gdy ich schwytasz - nie miej litości.

Kuśnierze wiedzieli, że ludzie bana szukają farb i wiewiórczych skórek bez ogonów, ale mogli wszak znaleźć przy okazji i inne rzeczy. Futra bobrów i niedźwiedzi, na które to zwierzęta polować mogli tylko dworscy myśliwi. Cielęce skóry znakowane poza miastem, kupione od złodziei trzebiących banowe stada. O tak, wiele można było stracić.

Najbardziej bali się ci, którzy popełnili zbrodnię naj-straszniejszą - pomagali Szepczącym. Kiedy klęczysz z karkiem zgiętym do ziemi i nie widzisz nic prócz trawy, nie wiesz, czy zaraz przyjdzie wybawienie, czy na plecy spadnie ci kij. Gdy trwasz tak w niepewności, powoli stajesz się gotowy, by wszystko powiedzieć i zdradzić każdego. Wiedział o tym setnik i jego wojownicy. Nie spieszyli się więc wcale. Dziesiątnicy powoli kroczyli wzdłuż szeregu ludzi, bacznie ich obserwując.

Wreszcie żołnierze cisnęli do stóp dziesiątników pęki wiewiórczych skórek. Po chwili przyprowadzono też winowajcę, młodego, ciemnowłosego mężczyznę.

- Gdzie ogony - dziesiątnik uderzył go w twarz. -Gdzie ogony?!

- Sprzedałem, sprzedałem, panie. Kupcom z Hawru, tam zdołają nimi czapki.

- Gdzie mieszkają ci kupcy? - znów uderzył.

Mężczyzna przyłożył dłoń do rozbitego nosa. Przesunął palcami po twarzy, rozmazując krew na policzkach i czole.

- Nie wiem. To oni byli u mnie.

- Dlaczego tylko u ciebie? A u innych z tej ulicy nie...

- Nie wiem.

Dziesiątnik uderzył nad wyraz starannie. Tak, by wybić zęby, a nie złamać nosa.

- Pójdiesz do Gorczem. I wszyscy twoi. Kuśnierz pluł krwią.

Grodowi składali meldunki. We wszystkich pozostałych domach wiewiórcze futerka znaleziono takie jak należy, z ogonami.

- Jestem niewinny - powiedział czarnowłosey.

- Każdy jest winny - dziesiętnik uśmiechnął się i wybił mu następne dwa zęby.

Zadęły rogi. Dobosze uderzyli w bębny. Wzmógł się klekot kołatek i warkot werbli. Ban ze swoją świtą wkroczył na plac turniejowy.

Ubrany był dostojnie. Założył buty z czerwonego safianu haftowane kolorowymi nićmi, spodnie z zielonego sukna, lnianą białą koszulę. Jego pierś zdobił naszyjnik ze Szklanych Łez, rodowy klejnot panów Leśnych Gór. Włosy ostrzygł krótko. W prawej dłoni trzymał młot bojowy, oznakę władzy, w lewej małą drewnianą lalkę.

Doron poruszył się niespokojnie. Niewielu na tym placu mogło doświadczyć tego co on. W lalce trwały uwięzione dusze wszystkich przeciwników zabitych przez Penge Afrę i jego przodków. I będą tkwić tam do chwili, gdy wygaśnie linia Afrów. Zwyczajny człowiek, który dotknąłby kukły, padłby trupem. Doron znów się wzdrygnął. Lalka krzyczała tysiącem głosów.

Obok Penge Afry szedł jego syn. Kroczył powoli, ręce związane miał za plecami, zgodnie z odwiecznym zwyczajem panów Dabory.

Za nimi szło dwoje ludzi - ejenni Gwardii i wojewoda Dabory, Ker Pajzas. Potem postępowali inni dostojnicy -kormilec młodego Afry, komornik, łowczy i horodnik, za nim katepani, którzy przyjechali do Dabory na turniej.

Wszyscy, oprócz ejenni, ubrani byli w proste stroje, a we włosy wpięte mieli kogucie pióra w rodowych barwach. Nieśli broń - karoggi, topory lub włócznie.

Za dostojnikami na plac igrzysk weszło pięćdziesięciu przybocznych, najlepszych wojowników banowej armii. Wysocy, muskularni, w czarnych jopach i spodniach z jeleniej skóry, z dużymi okrągłymi tarczami, na plecach nieśli łuki, a w dłoniach karoggi.

Gdy tylko dostojnicy usadowili się w ławach, a ban zajął swoje miejsce na tronie, żołnierze ustawili się wzdłuż głównej trybuny, zastygając w bezruchu.

Na placu pozostała tylko ejenni.

Jopę miała żółtą, spodnie i buty czarne. Doron z uwagą patrzył na jej strój. Rzadko widywało się w Daborze tego rodzaju zbroję. Na pikowany kaftan naszyto rzemienną plecionkę, w węzłach której znajdowały się małe kamyczki. Hełm z hartowanej skóry osłaniał głowę.

Wojownicza stała sama na środku pustego placu.

Scichły bębny i grzechotki. I stadion też zamarł w niemym oczekiwaniu. Ta chwila, co trzy lata taka sama, zawsze dziwiła Dorona. Pięć tysięcy milczących ludzi... Rzadko widywało się naraz taką masę - dorosłych mężczyzn i otroków, możnych wojowników i kmieciów, bogatych kupców i ich czeladź. A każdy przyprował ze sobą żonę i dzieci. Siedzieli teraz na dębowych ławach albo stali słoczeni przy niskim płotku oddzielającym trybuny od pola walki.

Wszyscy milczeli, patrząc w jedno tylko miejsce.

Wejście na stadion znajdowało się naprzeciw głównej trybuny. Tam pojawi się ośmiu najlepszych. Ale to później.

Cisza.

Tylko wiatr targał gałęziami rosnących wokół placu drzew, a gdzieś daleko szczekał pies.

Cicho, bardzo cicho, a potem głośniej i głośniej z każdą chwilą warczał bębenek Przewodnika.

Gwardia wchodziła na stadion.

Szli szóstkami. Przewodnik tańczył w takt wybijanego przez siebie rytmu. Cały czas poruszał głową, jakby się rozglądał, obserwował zebranych na stadionie ludzi,

chciał wszystkich zapamiętać - ich twarze, losy, życie wbić w rytm werbla, zamknąć wszystkie naraz w szaleńczym takcie.

Puste oczodoły patrzyły na ludzi.

Jakaś kobieta zaszlochała, gdy Przewodnik zatrzymał na niej spojrzenie zarośniętych jam ocznych.

Lecz on nie zważał na ten krzyk. Przyprował sotnię, tak jak wiódł ją zawsze od chwili, gdy wylupiono mu oczy i nauczono magii.

Gwardziści przynieśli Pięć Gaju.

Tam, daleko, gdzie nie chodzą już daborscy kupcy, a dotarł Doron i nikt chyba więcej z Leśnych Gór, rośnie Gaj. Święte drzewa.

Tam stoi Dąb Mocarz dający siłę. Tam rośnie Jawor

0 Miękkim Sercu, rozdzielający błogosławieństwa. Tam pnie się w górę Wyniosły Jesion, który odbiera moc jadam. I Olcha o Ludzkich Rękach, i Lipa Błogosławiąca Młodym,

1 Prawieczny Kasztan o brunatnej korze zrytej bruzdami starości.

A potężne te drzewa rodziciele, stoją otoczone innymi -zwykłymi i niezwykłymi zarazem, bo każdego z nich dotyka dłoń Piastunki; i na każde pada cień Dębu; i wiatr ten sam igra w ich gałęziach, co pomiędzy konarami Lipy; i deszcz je ten sam rosi, co spływa po liściach Jaworu. Więc choć zrodzone z nasion, są te drzewa błogosławione dzięki bliskości swych świętych towarzyszy i tkwi w nich potężna moc.

Co roku Piastunka sadi sześć maczug. Rosną powoli, wiele lat tkanka drzewa musi porastać ułamki krzemienia. Lecz w końcu kora bliźni się na okruchach wbitych w konar żywego drzewa przez Piastunkę. Po sześciu latach drzewo gubi taką gałąź, którą potem dłonie Piastunki i Nadającego Kształty przysposabiają do ludzkiej ręki. Co roku wysłannicy Miasta Os zabierają sześć karogg, zwanych Pięciami Gaju. Broń tę mogą nosić tylko najgodniejsi, bo tkwi w niej moc Gaju. Jedna maczuga trafia do domu Łowcy Ziemi - Atalla. Cztery następne dostają najlepsi z gwardzistów. O losie ostatniej decyduje Czarna Pani. I co trzy lata właśnie ta Pięć Gaju trafia tu, do Dabory, by stać się nagrodą dla zwycięzcy turnieju.

Karogga wyhodowaną w Gaju może walczyć tylko jej właściciel. Po jego śmierci maczuga rozsypuje się w proch, a krzemienne odłamki zamieniają w grudki piasku.

A czasem - jeszcze - zdarza się cud i nic więcej nie może się przytrafić wolnemu człowiekowi, jak doświadczyć tego cudu.

Czasami...

Doron znów widział tamten dzień przed dwudziestu laty, gdy stał tu, na środkowym kwadracie turniejowego pola, obok siedmiu takich jak on wojowników. Każdy z nich marzył o cudzie. I błogosławieństwo nadeszło... Wtedy...

Teraz gwardziści złamali szyk, na czoło wyszła wysoka, czarnowłosa kobieta, do tej pory otoczona innymi wojownikami. Przed sobą trzymała owinięty cielecą skórą, podłużny przedmiot. Karogę - Pięć Gaju. Szerszenie wciąż się przegrupowywali, w końcu stanęli twarzami do głównej trybuny.

Przewodnik podszedł do kobiety trzymającej karogę, położył się u jej stóp i znieruchomiał.

Na stadionie podniósł się wielki gwar, jakby wszyscy naraz zaczęli mówić i to tak głośno, by przekrzyczeć innych.

Lecz oto znów zagrały rogi i bębny, a na stadion weszło czterech mężczyzn. Dwóch daborczyków, rybak z Niżnych Osad i pasterz z Gornau-hemi. Z szeregu gwardzistów również wystąpiły cztery osoby, trzech mężczyzn i jedna kobieta. Doron odróżnił ją po sposobie noszenia broni, dla mniej wprawnych oczu wyglądali identycznie.

Stanęli przed główną trybuną, naprzeciw bana i ejen-ni. Penge Afra dał znak. Pachołkowie wnieśli na środek placu drewniany trójnóg. Ustawili na nim misę wytoczoną z bryły czarnego bazaltu i napełnili ją wodą.

Ban powstał. Podniósł ręce ku niebu, zamknął oczy. Krzyknął, wydobywając z głębi gardła przeciągły skowyt, sprawiający, że skóra cierpnie, powieki drżą, a w myśli wkrada się dziwny niepokój. Magia...

Pierwsza przyleciała jaskółka. Przemknęła nad stadio-

nem tak szybko, że nie każdy zdołał ją dojrzeć. Za to czarne pióro opadało powoli, wprost do misy z wodą. Jaskółka - sługa swej woli.

Drugi był gołąb. On leciał wolno, okrążył turniejowy plac, nim strzepnął swe pióro do kamiennego naczynia. Gołąb - sługa swego miejsca.

Sokół przybył trzeci, zszedł z podobłocznego szlaku, zanurkował w dół i już uciekał w górę, a jego pióro wciąż sphywało z nieba. Sokół - sługa swego pana.

Gdy trzecie pióro wpadło do misy, ban umilkł. Chwilę stał jeszcze, patrząc w dół na ośmiu zawodników, wreszcie usiadł.

Woda w misie wzburzyła się, podniosła, wystrzeliła w górę strumieniem, obryzgując ludzi, widać było, jak pulsuje, podnosi się i opada. Podchodzili kolejno do naczynia i wkładali do bulgoczącej wody zwiniętą w pięść prawą dłoń. Gdy już wszyscy dopełnili ceremonii, podnieśli prawe ręce i rozwarli palce. Dwóch miało na dłoni smugę czerwonej farby. Będą więc walczyć ze sobą, a zwycięzca tego boju zmierzy się z Hemitą lub gwardzistą. Ich dłonie były bowiem żółte. Trzecią parę tworzyli czarnowłose rybak, który pokonał Ulana, i jeden z żołnierzy bana, czwartą ostatni Szerszeń i drugi daborczyk.

Ptaki wybrały.

Pachołkowie zabrali kocioł, w którym nie było już ani łyżki wody. Na środku placu zostali żółci: Hemita i gwardzista, a w narożach środkowego kwadratu stanęli sędziowie.

- Akohorod mai, a Hemi, allane Torward - pasterz powitał gwardzistę w swoim języku, a jeden z sędziów krzyknął:

- Torward syn Tbrnwarda, dzaun! Pasterz!

- Witaj, nie walczę, by cię zabić, ja, Twau.

- Twau syn Smukłej! Gwardzista! Ban podniósł rękę.

Rzucili się na siebie jak wściekłe psy. Od razu, bez żadnych obserwacji, bez czekania. Musieli napatrzeć się na siebie już w walkach wstępnych i teraz obaj postanowili zaskoczyć przeciwnika nagłym atakiem.

Ludzie zaczęli gwizdać. Walka się podobała.

Nie lubili ani gwardzistów, ani Hemitów. Tu, w Dabo-rze, niechęć do pasterzy była może trochę mniejsza niż na pograniczu Leśnych Gór, ale przecież i do stolicy docierały wieści o krwawych napadach koczowniczych band na wsie leżące wzdłuż Rzeki Psów. W zwykłym czasie Hemi-tę zabito by natychmiast po przekroczeniu granicznej rzeki. Jednakże wojownicy Gornau-hemi chcący walczyć w turnieju przywozili zawsze bogate dary i Penge Afra dawał im proporce pokoju. Ludzie nie lubili Hemitów, a mimo to wszyscy trzymali stronę pasterza. Hemita nie spełnił jednak ich marzeń. Szerszeń końcem karoggi trafił go w skroń i powalił na ziemię. Sędziowie krzyknęli i podnieśli do góry ręce, gwardzista powstrzymał opadającą do następnego ciosu pałkę.

W drugim pojedynku jedyna pośród Szerszeni wojowniczką biła się ze swym ziomkiem. Stoczyli piękną walkę, a ludzie z ciekawością obejrzeliby kobietę, obracającą ka-roggą lepiej od wielu mężczyzn.

Kobietę pokonującą mężczyznę.

Wrzawa przycichła, gdy na placu stanął ostatni z gwardzistów i pierwszy z daborczyków.

- Nie walczę, by cię zabić, ja, 01-mon.

- 01-mon, syn To-mona. Kupiec. Wolny!

- Nie walczę, by cię zabić, ja, Grot.

- Grot, syn Sześciopalcej, dziesiętnik. Gwardzista! Ban podniósł rękę. Stali naprzeciw siebie, mierząc się

wzrokiem.

Czekali na błąd.

I błąd ten popełnił gwardzista. Rzadko starcie kończyło się zaraz po rozpoczęciu. Gawieź tego nie lubi, ludzie wolą dłużej podziwiać walczących. Ale mistrzowie, tacy jak Doron, z wielką przyjemnością oglądali krótkie pojedynki - kiedy w jednym uderzeniu skupia się cała siła, w skoku - wewnętrzne napięcie, a w głośnym okrzyku - złość.

Gwardzista rzucił się do przodu, chciał przemknąć pod opadającą pałką 01-mona i pchnąć go w bok czubkiem swej karoggi. Ale 01-mon uchylił się. Potem uderzył. Grot jęknął i zwałił się na ziemię. Sędziowie podnieśli ręce.

Tłum oszalał. Ludzie wstali z miejsc, wrzask kobiet mieszał się z piskiem dzieci, z pohukiwaniem mężczyzn. Przybysz z Gniazda został pokonany.

Rzadko zdarzają się chwile takiej radości. Za dni trudu, karki przygięte do ziemi, za dłonie prawie przyrośnięte do radła, za plecy pocięte batogami zarządców. Teraz

O tym nie pamiętali. Czeladź bez żadnych praw, przyprowadzona na turniej przez swych panów. Kmiecie, wolni, chód ciężko pracujący, by odrobić daninę dla bana i Miasta Os. Kupcy płacący wielkie podatki, rzemieślnicy pracujący dla dworu. Nienawidzili Gniazda i Szerszeni. Nie znosili najemników bana zabierających im zboże, miód

i skóry, zajmujących najlepsze pola, chciwych i okrutnych. Bana się bali, bana szanowali, bana kochali. Ban był gdzieś daleko, ponad nimi, ponad tym wszystkim. Ponad ich nędzą i głodem, cierpieniem i śmiercią. Teraz mogli przeklinać gwardzistów, których się bali, namiestników, przed którymi drżeli, najemników, którzy zawsze napawali ich trwogą. Krzyczeć.

Radowali się, że jeden z nich, ot syn kumy, dziewierz, znajomy z sąsiedniej ulicy, ten, o którym gadali ostatnio w karczmie albo którego widziało się czasem na Starym Targowisku, ten oto chłopak, który ganiał kiedyś w płóciennych portkach po ulicy Rzeźnej, on to właśnie złożył skórę wojownikowi Gniazda, człowiekowi-nieczłowiekowi, od dziecka hodowanemu do walki.

Ich radość trwała jeszcze, gdy Olgomar rybak rozprawił się z Ho-memem. I trwała dalej, gdy dwóch gwardzistów stanęło naprzeciw siebie już w następnej rundzie i długo wodziło się po placu, aż w końcu jeden drugiemu łeb rozwalił, tak że potrzebni byli znachorzy.

Potem radość zmieniła się w zdziwienie, gdy pierwszy cios Olgomara wyrwał 01-monowi karogę z dłoni, a następny powalił go na ziemię. I w tej chwili 01-mon przestał być ulubieńcem tłumu. Wszak największym bohaterem gawiedzi jest zawsze ten, kto pokonał poprzedniego bohatera.

Myśli Dorona krążyły daleko. Wędrowały ku puszczy, która przed laty napełniła go swą mocą.

## 7. Liść

Zostało dwóch.

Zadęty rogi i rozklekotały się kołatki. I ucichły.

Olgomar przewyższał rywala o pół głowy, wydawał się jednak chudszy, drobniejszy. Miał mocne nogi i węzłaste ramiona. Bił się tak, jak większość przybyszy z północnych rubieży Leśnych Gór. Nogi przesuwiał ostrożnie, ledwie odrywając stopy od ziemi. Sztynno wyprostowany, kontrolował każdy mięsień swego ciała. Chwycona pewnymi dłońmi maczuga nie drżała nawet. Ten sposób walki wymagał wielkiej szybkości i odporności na zmęczenie. Olgomar czekał na atak, na jeden fałszywy ruch przeciwnika, na jedno niebaczne odsłonięcie.

Szerszeń poruszał się inaczej. Niższy, bardziej krępy, podobny był do większości gwardzistów.



Karogga w jego dłoni zataczała łagodne ruchy, z których każdy mógł się przerodzić w błyskawiczne uderzenie.

Doron patrzył na nich z przyjemnością. Dla prawdziwego znawcy ważny jest nie tylko fechtunek, ale i to, co dzieje się przed pierwszym uderzeniem pałek. Próbowanie sił, wyczekiwanie okazji do ataku, obserwowanie przeciwnika, cały teatr, który się odgrywa po to jedynie, by zmylić wroga. Tylko nowicjusze albo przeciwnicy dobrze znający swoje sztuczki rzucają się na siebie od razu. W tym starciu żaden z wojowników nie był nowicjuszem.

Pierwszy uderzył Olgomar. Jego karogga opadła, tnąc powietrze tuż obok twarzy gwardzisty, nie czyniąc jednak krzywdy. Olgomar od razu przyjął dawną postawę. Szer-

szeń wyszczerzył zęby w uśmiechu. Zdążył z unikiem. Był równie szybki co przybysz z północy.

Znów przez pewien czas krążyli wokół siebie.

Olgomar zaatakował po raz wtóry. Wyprowadził błyskawiczny cios, odskoczył, pchnął ponownie. Szerszeń zrobił unik, sam uderzył. Pałki stuknęły o siebie. Nacierali raz za razem, zadawali ciosy, blokowali, znów uderzali. W końcu, obaj zmęczeni, zrozumiałwszy, że siłą nic nie wskórają, znowu odeszli od siebie. Przyjęli pozycje takie, jak na początku walki. Tyle, że oddychali szybko, ruchy gwardzisty stały się mniej płynne, a Olgomar nie potrafił już utrzymać tułowia w idealnym bezruchu. Olgomar ciął od góry, gwardzista przyjął uderzenie, a potem uskakując w bok, pochylając się, wyprowadził pchnięcie trzonkiem karoggi prosto w brzuch Olgomara. Wojownik jęknął, zgiął się, Szerszeń już brał zamach do drugiego uderzenia, jednak rybak zdołał umknąć. Oderwał się od gwardzisty na kilka kroków, by zdobyć choć chwilę na odpoczynek. Szerszeń oczywiście nie czekał. Runął do ataku. Olgomar odbił kilka ciosów, niepewnie jednak, jakby każdy ruch sprawiał mu cierpienie. Lecz nagle ból minął - wojownik wyprostował się, stanął mocniej na nogach, zmęczenie zniknęło z jego twarzy. Pociągnął pałką mocno, szerokim łukiem, zawinął drugi i trzeci raz tak, że gwardzista musiał się wycofać. Znów przez chwilę czaili się, krążąc wokół siebie.

Tym razem pierwszy ruszył Szerszeń. Olgomar pociągnął swoją karogę w dół, uchylając się jednocześnie przed opadającą pałką przeciwnika. Samym końcem maczugi musnął palce gwardzisty. Szerszeń nie jęknął nawet, przerzucił tylko pałkę do lewej dłoni. Olgomar nie dał mu czasu na odpoczynek. Przypadł do ziemi, gwałtownym przewrotem minął opadające ostrze, a sam, jeszcze się podnosząc, wyprowadził cios. Czubek karoggi uderzył gwardzistę w brzuch i pozbawił oddechu. Na chwilę. Jedną chwilę. Drugi cios wytrącił pałkę z ręki Szerszenia, trzeci powalił na ziemię.

Sędziowie podnieśli ręce.

Wrzaskom i krzykom nie było końca. Tb prawda, Olgomar nie pochodził z Dabory, to prawda, nie wstawił się dotąd żadnymi czynami, to prawda, łowił cuchnące ryby i zapewne klepał biedę, lecz jego imię zapamiętają pieśni. Pokonał gwardzistę! Trzeba się cieszyć, radować bez opamiętania. Niektórzy już zapomnieli, a inni w ogóle nie widzieli, jak po Pięść Gaju sięga wojownik bez żółto-czar-nych znaków Gniazda. Wszak to już piętnaście lat minęło od dnia, gdy zwycięzcą turnieju został

Hart-on, który już nie żyje. A dwadzieścia cztery od chwili, gdy Pięść Gaju zdobył Doron. I został Liściem.

W tej wrzawie nie od razu dało się słyszeć rogi. Po chwili dołączyły do nich bębunki i kołatki.

Ban powstał z tronu. Niemal równocześnie podniosła się ejenni i obydwójce - ban z przodu - zaczęli schodzić z trybuny.

Sędziowie krążyli wokół Olgomara, sypiąc na niego proszkiem ze zmielonych żołądździ, śpiewając cichą pieśń, czasem zatrzymując się, stawiając kroki ostrożnie i miękko, tak jak czynią to walczący wojownicy.

Jednakże w chwili, gdy ban stanął na ziemi, zamarli w bezruchu, po czym usiedli, zwracając się twarzami na zachód.

Ban podszedł do Olgomara, położył mu dłonie na ramionach. Był wysokim mężczyzną, przerastał zdobywcę Pięści Gaju o pół głowy, a kaftan i futro, które założył tego dnia, dawały Penge Afrze posturę niedźwiedzia.

Trzy ptaki spadły z nieba, trzy razy okrążyły mężczyzn, szybując może o łokieć nad ich głowami, by rozlecieć się w trzy strony świata.

Ban powoli wrócił na swoje miejsce. Teraz ku Olgomara-rowi postąpiła ejenni i gwardzistka niosąca Pięść Gaju zawiniętą w skóry.

Opadł pierwszy zawój.

Doron drgnął. Poczł gorąco - w rękach, brzuchu, lędźwiach.

Ejenni odwinęła następną warstwę skóry.

Drżenie ogarnęło całe ciało Liścia. Próbował nad tym zapanować, zacisnął dłonie w pięści, napiął mięśnie, ale nic nie pomogło. Szarpały nim skurcze, pojawił się ból, ale dziwny ból, taki, którego człowiek pragnie, chce coraz więcej...

Ejenni sięgnęła po ostatni płat cielej skóry.

Doron krzyknął. Wszystkie oczy zwróciły się ku Liściowi, a on trwał w niemym otępieniu, choć czuł dygotanie rąk i nóg, drżenie mięśni, skurcze w brzuchu, choć jego głową miały fale bólu. Człł. Wiedział. Widział.

Podniósł się szum, cichy zrazu, miękki, lecz wzbierający, potężniejszy. Ponad jęk rogów wzbiły się pojedyncze okrzyki, było ich coraz więcej i więcej, aż szum przerodził się w ryk wydobyty z tysięcy gardeł.

Olgomar patrzył na trzymaną przez gwardzistkę maczugę i na mały zielony listek wyrastający z czarnej głowni. Jakby wciąż nie dowierzał temu, co się stało. A potem podniósł wzrok na Dorona. Przyłożył dłonie do policzków i po bratersku pokłonił się przed Liściem.

## 8. Wezwanie

Krzyk dobiegł od Bramy Wschodniej. Ludzie przerwali zajęcia - przekupki zgarnęły lnianki i płatne paciorki, zlazły ze stołków i stanęły przed straganami; kupujący odłożylizymane w rękach towary; grodowi wyprostowali się natychmiast, bacznie obserwując ulicę.

Krzyk powtórzył się. Zagrały gwizdki strażników.

Ktoś uciekał.

Ktoś gonił.

Na ulicach nie było tłoczno. Dwaj chłopcy biegli więc ile sił w nogach, a ludzie ustępowali im z drogi. Mieli po dziesięć, może dwanaście lat. Pewnie złodziejaszki, więc w zasadzie należało ich złapać. Ale każdy łapserdak mógł w rękawie ukrywać nóż, więc nikt nie kwapił się, by pomóc strażnikom.

Chłopcy byli zmęczeni, biegli jednak uparcie, zacisnąwszy pięści, nie próbując nawet skrócić ku drzwiom domów stojących wzdłuż ulicy. Nikt by ich nie wpuścił. Kierowali się więc ku rynkowi, licząc, że w tłumie zgubią pościg. Jednakże i tam, na ich drodze, stali strażnicy.

Chłopcy wypadli z zakrętu, zrobili jeszcze kilka kroków i wtedy grodowi ruszyli w ich stronę. Chłopcy odwrócili się błyskawicznie i popędzili z powrotem. Rzucili się w bok, do bramy, jednak w drzwiach domu stanął właściciel, trzymający w rękach gruby kij. Nie przestraszyli się, zresztą nie mieli innej drogi ucieczki. Skoczyli na niego, lecz było już za późno. Grodowi dopadli ich, powalili na ziemię, zaczęli okładać pięściami, kopać.

Ludzie podeszli bliżej, śmiejąc się i pokazując chłopców palcami, jakaś babina złorzeczyła, wymachując sękatą pięścią. Dla złodziei nie było w Daborze litości.

Strażnicy w końcu zostawili chłopaków, stanęli nad nimi w milczeniu. Ludzie rozchodzili się powoli, widowisko dobiegło końca. Teraz grodowi zawloką smarkaczy do lochu, jutro kat utnie im prawe dłonie, a pojutrze, o ile przeżyją, wyrzuci złodziejaszków poza obręb wałów Dabo-ry. Jeśli wrócą tu, nim rany się zabliznią, zostaną zabici. Tak zwykle postępowano z młodymi przestępcami, a tych w czasie jarmarku i turnieju pełno kręciło się po mieście.

Już tylko kilka osób stało obok strażników, gdy u wylotu ulicy pojawiło się trzech gwardzistów.

Szli obok siebie, jednego wzrostu, ubrani tak samo, w jednakowych maskach zakrywających twarze. Ich włosy były czarne tak jak kaftany, spodnie i buty, tak jak połowa tarcz. Maski mieli żółte, osłaniały one czoło, nos, policzki, sięgały ust.

Maski.

Gwardziści wyszli dziś na miasto, by zabijać.

Dzień Krwi.

Każdy z nich siedem lat temu powalił swego pierwszego wroga. Zapewne razem brali udział w jakiejś bitwie i tam po raz pierwszy ostrza ich kamiennych toporów zakosztowały ludzkiej krwi. Po siedmiu latach ta krew wezwała Szerszeni ponownie. Tego dnia musieli zabić, a dwaj chłopcy stanęli widocznie na ich drodze. Dwaj.

Szerszeni było trzech.

Szli powoli, sprężeni, gotowi do walki w każdej chwili i w każdym miejscu, w rękach trzymali topory o gładkich ostrzach z szarego krzemienia, szerokich obuchach i długich trzonach.

Chłopców było dwóch, a gwardzistów trzech. Brakowało ofiary.

Ludzie zaczęli się cofać, coraz szybciej, w końcu większość pobiegła, byle tylko znaleźć się jak najdalej od przeklętych wojowników w czarnych jopach i żółtych maskach.

Strażnicy podnieśli malców i pchnęli w stronę nadchodzących Szerszeni. Chłopcy poszli bezradnie, jeden płakał, po twarzy drugiego płynęła krew.

Ciekawość jest równie silna co i strach. Niektórzy z gapiów, którzy jeszcze przed chwilą podawali tyły, zawrócili, by z bezpiecznej odległości obserwować dalsze wydarzenia.

Szerszenie szli w stronę chłopców.

Grodowi, zbici w ciasną gromadę, patrzyli, jak jeden z malców zasłania twarz dłońmi, drugi pada na kolana, przyciska czoło do ziemi, błagając o litość...

Gwardziści rozstąpili się nieco, minęli chłopców. Nie zawahali się, ich zaciśnięte na styliskach toporów dłonie, nie drgnęły nawet. Skierowali się wprost ku strażnikom.

Trzech.

Wojownicy bana cofnęli się niepewnie.

Chłopcy patrzyli na plecy gwardzistów ze zdumieniem, chwilę stali nieruchomo, by odwrócić się

nagle i rzucić do ucieczki.

Nagle ruchy gwardzistów stały się szybkie, dwóch odwróciło się w pół kroku, bez wahania ciskając toporami. Kamienne ostrza, niemal równocześnie, dotknęły pleców chłopców. Małe ciała padły na ziemię i znieruchomiały.

Trzeci Szerszeń doskoczył do grodowych. Było ich kilku - on sam. Lecz żołnierzy bana paraliżował nie tylko strach. Wiedzieli, że zabije tylko jednego z nich i każdy łudził się, że to nie będzie on. Jak stepowe jelenie zaatakowane przez wilki zbijają się w stado, tak i wojownicy bana poddali się wyrokowi i czekali, na kogo z nich ten wyrok padnie.

Topór Szerszenia musnął ramię jednego z nich, przemknął koło twarzy drugiego, zahaczył o pierś trzeciego.

Gwardzista zaśmiał się ochryple, śmiechem przypominającym bardziej warczenie psa niż ludzki głos. Lewą ręką sięgnął po zatknięty za pasem sztylet. Dłoń mocno zacisnęła się na drewnianej rękojeści. Wciąż się śmiejąc, wbił sobie nóż w brzuch, śmiejąc się padł na kolana i śmiał się jeszcze, gdy jego maska uderzyła o ziemię.

Wtedy śmiać się także zaczęli jego towarzysze.

- Bracie...

Doron podniósł głowę. Słońce oślepiło go na chwilę tak, że na początku ujrzał przed sobą jedynie kontur człowieczej postaci.

- Przyszedłem złożyć ci pokłon.

- Witaj, bracie.

Naprzeciw niego stał Olgomar. Wysoki, barczysty, ciemnoskóry. Na jego policzku, niczym wykonany mistrzowską ręką tatuaż, zielenił się mały liść. Znamię, które pojawiło się w chwili, gdy spadała ostatnia warstwa cielejącej skóry osłaniającej Pięść Gaju.

- Witaj.

Przez chwilę trwali w bezruchu, patrząc sobie prosto w oczy. Potem Doron położył dłonie na ramionach Olgo-mara, sam poczuł ciężar jego rąk.

Pulsujące ciepło przenikało palce Dorona. Gorącym dreszczem płynęło wzdłuż rąk, wypełniało brzuch i głowę, spęzało do nóg, mrowiło stopy.

Zamknęli oczy.

Dmuchał wiatr, ogarnął ich, podnosząc piasek i żdźbła trawy. Gdzieś zakrzyczały ptaki, rozjazgotał się pies.

Doron widział.

Dwa nakładające się na siebie obrazy. Oba równie wyraźne, jednako ważne, rozdzielone przestrzenią czasu, a jednak mieszające się ze sobą w jakiś niepojęty sposób. Dwa nieba, dwie ziemie, dwa tłumy, dwa turniejowe place, dwie karoggi. To o nim. To do niego podchodzi wojownik trzymający owiniętą w cielece skóry maczugę. I nie o nim - widział wszak młodego ciemnoskórego szermierza, który wyciągał ręce po karogę. To on. I nie on. Wszak to tamten młody człowiek stoi daleko, na dole, wpatrując się w maczugę...

Skóry spadają, jedna po drugiej. W końcu ostatnia leży już na ziemi.

Oczy gwardzisty rozszerzają się w zdumieniu.

Krzyk sędziów. Padają na ziemię, uderzają czołami o trawę, wyciągają przed siebie ramiona. Szloch targa ich cia-, łami.

Ban prostuje się. Trzy ptaki kołują nad jego głową.

Pierwsi ludzie też już widzą. Już mówią swoim sąsiadom, pokazują palcami, już krzyczą. Wrzask wznaga się i potężnieje.

A on podnosi maczugę w górę. Podnosi Pięść Gaju - cudowny oręż, dar żywego drzewa, dzieło rąk Nadającego Kształty, broń, która zawsze daje swemu właścicielowi sławę i siłę.

Czasem zaś go naznacza.

Drzewce jest brunatne, krzemienne zadry tkwią w nim mocno, wszak Piastunka wbiła odłamki w żywą gałąź, pozwoliła drzewu obrosnąć je, spoić na zawsze.

Lecz maczuga nie jest martwa. Puściła listek, mały, delikatny, trzepoczący na wietrze. Nie sposób go jednak zerwać. Święty Gaj dokonał wyboru, sprawiając, że ten oto człowiek, który zdobył żywą Pięść, został Liściem.

Co roku sześć maczug oddaje Piastunka Matkom Miasta Os. Czasem raz na sześćdziesiąt albo raz na sto dwadzieścia lat Gaj wybiera swego sługę. Jedna z maczug puszcza liść.

Moc Gaju przechodzi na człowieka.

Wadzą Gaju staje się jego władzą.

Poprzedni wybraniec, Biały Jastrząb z Miasta Os, zmarł na siedem lat przed urodzinami Dorona.

Dwadzieścia cztery lata temu został naznaczony Doron. Teraz Gaj wybrał Olgomara.

- Sądzę, że powinieneś wyruszyć zaraz - powiedział Doron zdecydowanym głosem. Siedzieli na ziemi przed jego domem i rozmawiali już od południa. - Przed zimą dotrzesz do Gaju.

- Nigdy nie byłem dalej niż w Komie - Olgomar westchnął. - A może pójść z Gwardią?

- Nie trzeba. Nie potrzebujesz ochrony, nikt cię z pewnością nie tknie palcem. A tobie trudno się będzie do nich dostosować. Dziwnie chodzą, słuchają nie nóg własnych, a bębenka Przewodnika.

- Warto by mieć do kogo gębę otworzyć.

- Z gwardzistą nie pogadasz. Rozmawiają tylko ze sobą. Kiedy wędrują, nie mówią w ogóle, by nie tracić sił.

Opowiadają dziwne rzeczy, straszne dla zwykłego człowieka, trudne do pojęcia. To już lepiej zabierz się z kupcami.

- Rusza ktoś?

- Chyba Rosłan Oltomarczyk szykuje kilka wozów. Jak się z nimi załadujesz, to ci jeszcze zapłacą, bo przecież będą z tobą bezpieczniejsi.

- Pojadą wszak traktem, co im grozi?

- Ponoć nic. Ale różne wieści przysły do Dabory. Ruszają się Szerszenie. Mówi się o wielkim buncie w kopalniach krzemienia na Wzgórzach Szarych. Dużo pojedynczych ludzi i zbrojnych oddziałów może kręcić się po lasach, a ci będą łupić kogo popadnie i gdzie popadnie. Może to i nawet lepiej, żebyś się jednak z kimś zabrał.

- Nie boję się.

- Tb dobrze. Ale tamci najpierw zabijają, potem dopiero oglądają trupa. Sprostasz trzem, może pięciu. Ale jeśli dziesięć strzał wystrzela w twoją pierś, to jedna dojdzie celu. Mało która strzała może cię zabić, ale zawsze...

- Mało która... - powtórzył Olgomar. - Nie rozumiem tego wszystkiego. Gdy trzymam karogę w dłoniach, czuję coś, pojmuję wtedy wiele, ale wystarczy, że ją odłożę i na powrót staję się głupcem.

- W Gaju pojmiesz wszystko. Staniesz tam, dotkniesz dłońmi kory drzew i zrozumiesz. Ale to proste. Wszak to | wszystko naprawdę łatwo ogarnąć myślami. Las cię chro- J ni. Drzewa dbają o ciebie, opiekują się tobą, służą ci. Gdy będziesz przed kimś uciekać i skryjesz się za pniem drzewa, to pościg cię minie. Każdego innego by zobaczyli od razu, koło ciebie przejdą na krok i nie dostrzegą. Drzewce i topora, które twój wróg trzyma w dłoniach, tak naprawdę *I* służy tobie, a nie jemu.

Oczywiście on zadaje ciosy, ale; ostrze topora nigdy nie sięgnie twego ciała. Drewnianym trzon odchyli jego ruch. Rzecz jasna, gdy staniesz przeciw' wielu rębaczom... zabiją cię. Trudno to wszystko wyjaśnić słowami. Gdy dotrzesz do Gaju, zrozumiesz.

- Liść...

- Tak, dostaniesz wróżbę, tak jak ja ją otrzymałem.

Doron zamyslił się,

Wróżba. Wtedy, przed laty, w Gaju położył swoją ka-

rogę u stóp Dębu i wtedy trzy liście Mocarza opadły na ziemię. Płynęły równo nad głowami Dorona i Piastunki, powoli, dostojnie, po trzykroć okrążyły drzewo, nim dotknęły ziemi. Piastunka podniosła je i pokazała Dorono-wi. Były zeschnięte. I uschnął też listek z Doronowej ka-roggi, przybierając barwę zakrzepłej krwi.

Piastunka objaśniła mu te znaki.

Trzy liście to trzy święte ptaki Daborcy. Liść z karoggi to on sam.

Następną noc spędził w Gaju, krążąc między świętymi drzewami i pragnąc zrozumieć przepowiednię. Nad ranem zapadł w krótką drzemkę. Nie zapamiętał jednak ze swego snu nic więcej prócz słów wróżby, tętniących w czaszce niczym górskie echo:

*Póki ty żył będziesz, żywym pozostanie ten, co Daborą włada, choć nie włada Kręgiem. Lecz gdy umrzesz, Liściu, krwią zraszając kamień, śmierć go w cień zabierze, kładąc kres potędze.*

Objaśnienie przepowiedni było proste. Dopóki on, Doron, pozostanie przy życiu, dopóty żył będzie Penge Afra, władca Daborcy, który nie rządzi jednak Kręgiem Mchu, świętym Pierścieniem Leśnych Gór. Po zwycięskiej wojnie Gniazdo obsadziło krąg Szerszeniami i nie dopuszczało do niego prawowitych właścicieli - mieszkańców Leśnych Gór. Już od dziesiątków pokoleń moc Pierścienia służyła Miastu Os i Matkom, wspomagając potęgę Czarnej Pani. Dwadzieścia trzy lata minęły od dnia, gdy Doron otrzymał przepowiednię. Przysiągł wtedy, że nigdy nie będzie walczył, że nie zanurzy się w wodzie głębiej niż do pasa, że nie zejdzie do kopalnianej sztolni i nie będzie polował na grubego zwierza. Miał unikać wszystkich niebezpiecznych sytuacji - jego los spiał się wszak w jedno z życiem Penge Afry. Jakie znaki objawia Święte Drzewa Olgoma-rowi? Jaka to tajemna przyczyna sprawiła, że Gaj pozwolił dwóm swym sługom żyć równocześnie na ziemi, że wskazał na miejsce ich narodzin i spotkania Leśne Góry? Wszak to na Ziemi Os rosły Drzewa. To w Gnieździe żyli ludzie naznaczeni przez Ziemię Rodzicielkę, urodzeni

na głazach Kręgu. Tam wszak mieszkali Szlachetni z wielkich i potężnych rodów. Pod plecy ich matek, gdy rodziły, podłożono garść ziemi nie tylko z kręgu Ziemi Os, nie tylko grudy ziemi z kręgow krain podbitych przez Szerszeni, takich jak Leśne Góry, Marke-Dib czy Dolina Niedźwiedzi. Przecież Atall Łowca Ziemi wyprawiał się do miejsc tak odległych, że nikt prócz niego i jego przodków tam



nigdy nie dotarł. Przywoził woreczki z ziemią z kręgów, których nazw nawet nie znano. I Ziemia Rodzicielka podłożona pod plecy rodzących kobiet przekazywała noworodkom siłę i moc tych odległych Kręgów. I cóż z tego? Czy któryś z owych ludzi mógł się równać z nim, Liściem, czy był od niego silniejszy? Chyba jedynie Matki, Łowca Ziemi, Piastunka, Nadający Kształty. W Leśnych Górach nie było nikogo, kto posiadłby choć część tej mocy, którą on wziął od Drzew. Nawet ban...

Patrzył więc na wszystkich ludzi tak, jak dorosły patrzy na bawiące się dzieci. Oni go nie rozumieli, on nie potrafił przejąć się ich sprawami. Stał ponad ludźmi, ponad prawem i obyczajem, lecz ta wolność okupiona została po stokroć sroższą niewolą - samotnością. I oto teraz narodził się brat. Połączyło ich braterstwo mocniejsze niż więzy krwi, niż przymierze pszczelarzy czy prawo drużby. Każdy, kto podniósłby rękę na Olgomara, stawał się wrogiem Dorona, każda uczyniona Olgomarowi krzywda zostawała przez Dorona pomszczona. Byli Liśćmi.

- Schwytali go i powlekli do Gorczem. Już tam się nim zajmą - Gorada opowiadała Magwerowi zasłyszane na targu wieści. - Też głupiec, trzymać takie coś w domu, to lepiej już chyba sobie samemu łeb urznąć.

- Na pewno - Magwer pokiwał głową.

Plotła coś dalej, głównie o Białym Pazurze, najstłynniejszym z Szepczących. Biały Pazur działał na południu Leśnych Gór, nie tylko nauczając, ale i napadając zbrojnie na poborców bana. Często też występował przeciw oltomar-skim najemnikom służącym Miastu Os, a i zdarzyło się ponoć, że jego żołnierze walczyli z Gwardią. Wśród ludu

uchodził za bohatera, największego spośród Szepczących. Śpiewano o nim pieśni i snuto wspaniałe opowieści.

- I to na pewno ten kuśnierz?

- Ten jeleniarz, jego wzięli.

Magwer nigdy nie wiedział, kto przygotowywał dla nich wiewiórcze ogony. Oczywiście nie raz się nad tym zastanawiał, ale jeleniarz Korfan nijak Magwerowi do tak niebezpiecznej roboty nie pasował.

I teraz, gdy zastępy grodowych rozsypały się po ulicach Dabory, gdy krążył po niej człowiek, który znał jego, Ma-gwera twarz, gdy w banowych lochach siedział mężczyzna, który też mógł wiele wiedzieć o sprawach Szepczącego, Magwer poczuł strach. Uczucie delikatniejsze zrazu niż muśnięcie skrzydła motyla, stopniowo ogarniało myśli chłopaka. Magwer bał się.

Wieczorem zjawił się Wagan.

Pierwsze, co Magwer usłyszał, to puknięcie we framugę okna. Potem drugie. Uchylił okiennicę.

Wagran stał na dworze, kilka kroków od ściany domu.

- Wyłaż szybko! - syknął.

- Już idę! - Magwer zamknął okiennice i zaciągając sznurki kaftana, wyszedł z izby.

- Na długo idziesz? - Gorada stanęła w drzwiach kuchni. Drgnął. Odwrócił się w jej stronę.

- Tak. Nie wiem, kiedy wrócę.

- Coś się stało?

- Nic.

Wagran czekał skryty w cieniu drzew rosnących między domami. Kiwnął na Magwera palcem.

Musiało się stać coś złego. Nigdy nie planowali spotkań w Daborze, a gdy przypadkiem natknęli się na siebie w mieście, odchodzili bez słowa. Tak uczył Ostry. Magwer wiedział mniej więcej, gdzie mieszkają jego towarzysze, ale żeby odnaleźć ich domy, musiałby zużyć wiele czasu. No i nigdy nie zrobiłby tego bez rozkazu. Więc to Ostry przysłał Wagrana. Coś się stało i Magwer nie wątpił, że ma to związek ze schwytaniem kuśnierza.

- Co jest?

- Spotkanie przy głazie - wyszeptał Wagran. - O zwykłej porze.

- Co się stało?

- Nie wiem - Wagran pokręcił bezradnie głową. - Ostry dziś przed południem wezwał mnie przez posłańca. A potem kazał odszukać was wszystkich i zwołać na wieczór. Wydarzyła się straszna rzecz.

- Jaka?

- Tyle mi jeno Ostry rzekł, że... - Wagran zawiesił głos. - Ktoś zdradził, ktoś musiał tego jeleniarza wydać. I Ostry wie, kto to jest, ktoś z innej grupy. Więc myślę, że nas szybko ściąga, żeby tamtego ukatrupić i zdecydować, co dalej robimy. *Tyle* miałem rzec.

- Dobra. Wszystkich już żeś widział?

- Pozna jeszcze nie. Ale wiem, gdzie siedzi - uśmiechnął się Wagran. - Dziewkę ma taką jedną, czarniawą. Gadał kiedyś, że może jej użyczyć. Pamiętasz?

- Tak.

- To ja już idę.

- Dobra.

Wagran odwrócił się i szybkim krokiem ruszył w stronę Północnego Kwartалу. Magwer patrzył za nim, wreszcie, spuściwszy nisko głowę, wszedł do domu. Zdrajca. Więc jednak i Ostry może się pomylić i wziąć do roboty człowieka, co okazuje się niegodny.

- Już wracasz? - zdziwiła się Gorada. Spódnica opinała się na jej biodrach, kubrak prężył na piersiach.

- Wracam. Ale zaraz wychodzę.

## 9. Zdrajca

Magwer minął trzy dębczaki, przeszedł wzdłuż błotnego kanału, aż w końcu znalazł się poza zabudowanym obszarem Dabory. Tu miasto niemal graniczyło z lasem. Dwudziestoletni młodniak miał żyć jeszcze drugie dwadzieścia lat. Potem znów runą na niego zastępy drwali, smolarzy, cieśli, by rąbać drzewa, wrywać kamienie, zdzierać mech. Cała ziemia między Dolną Rzeką, Wzgórzami Pojatty i południowymi bagniskami należała do Gorczem i była obsadzona przez niewolników bana. Przed wiekami podzielono ją na trzy wielkie części, z których każda żywiła twierdzę przez dwa dziesięciolecia. Potem niewolnicy wyprowadzali się i przenosili do nowych siedzib, zabierając wszystkie cenne sprzęty, pędząc bydło.

Magwer zmierzał ku jednej z takich opuszczonych wsi, niewielkiej, skrytej między łagodnymi wzgórzami. Często się tam zbierali na radę.

Spomiędzy ciemniejącej w wieczornym mroku gęstwiny błysnęła biel głazu. Magwer skręcił przy nim, wszedł w brzezinę. Jak zwykle nagle wychynął z ciemności kształt domu. Magwer, odgarniając rękami gałęzie, przeszedł wzdłuż ściany i stanął na biegnącej niegdyś przez osadę uliczkę.

Ciemno i pusto.

Odejście ludzi przetrwały tylko trzy domy - chaty z drewnianych bali, na jakie pozwolić sobie mogli najbogatsi. Mniej zamożni wyplatali ściany swych domów z wikliny. Po takich chatach pozostały jedynie grube belki

ram, obleczone gdzieś spleśniałą wikliną niczym szkielet strzępami skóry. Porośnięte krzakami i trawą, oplecione powojem i pajęczymi sieciami, zdawały się być żywymi roślinami. Las szybko przejmował we władanie ludzkie siedziby. Ale ludzie powrócą tu przecież tak, jak wracali zawsze.

Magwer podszedł do dużej cembrowanej studni. Gwizdnął. Krzaki zaszeleściły, spomiędzy nich wynurzyły się trzy ciemne sylwetki. Ostry, Wagan i Pozm.

- Brakuje jeszcze Krogga - bardziej stwierdził niż spytał Magwer.

- Tak - Ostry kiwnął głową. - Cofajmy się. Wszyscy razem ukryli się w krzakach. Krogg przybył niedługo potem. Byli wszyscy. Ostry. Jeden z Szepczących. Nauczyciel. Zabójca. Pozm. Kortau Oge, ze szlacheckich władców Szczytowych Żeremi. Najdawniejszy uczeń Ostrego.

Wagan. Wolny, z biednego, drwalskiego klanu. Najmłodszy.

Krogg. O nim nie wiedzieli wiele, prócz tego, że żył w lesie, kryjąc się przed banowymi siepaczami.

I on. Magwer. Rolnik z wolnej, choć niebogatej rodziny.

Spotkali się dzięki Ostremu. Od tamtej chwili minęły prawie dwa lata.

- Kto idzie? - spytał Pozm, ale Ostry pokręcił głową.

- Dziś nie wystawiamy czat, potrzebuję was wszystkich.

Milczeli zdziwieni. Zwykle w czasie spotkań jeden z nich wlaźił na drzewo, by obserwować okolicę. Co prawda, w tej części lasu mało kto się kręcił nocą, ale ostrożności nigdy dość.

- Wiecie o tym, co stało się w mieście. Kiedy was wezwałem tutaj, powiedziałem, że wiem, kto zdradził. I że musimy ukarać zdrajcę. Ale oszukałem was, przyjaciele, i wybaczcie mi to kłamstwo.

Ostry zawiesił głos, przebiegł spojrzeniem po twarzach czterech mężczyzn.

- Albowiem zdrajcą jest jeden z was.

Magwer jęknął z wrażenia. Kto!? O Ziemi, który z nich?

Czy młody, roztrzepany Wagan? Czy Pozm? Milczący, ponury, nigdy nie mówiący więcej jak trzy słowa, szybki w strzelaniu z łuku, silny. On!? Krogg może? Ponoć już dużo krwi spłynęło na jego dłonie, już się bił z banowymi ludźmi. Miał celne oko i mocną rękę. Czy mógł to być on?

Kto?!

I teraz Magwer patrzył na nich tak, jak oni patrzyli na niego i na siebie, jakby szukali nagle wykwitającego na czole piętna, które wskaże zdrajcę.

Ostry trwał nieporuszony. O, Ziemi, niech powie, że to okrutny żart, że kłamał przed chwilą, że chciał tylko sprawdzić, jak przyjmą takie słowa. Niech powie, o, Ziemi...

- Kto? - to głos Wagrana.

Ramię Ostrego uniosło się tak szybko, że chłopak zobaczył dopiero wycelowany w siebie palec.

- To ty, Magwer.

Było już zupełnie ciemno. Gwiazdy skryły się za chmurami, mgła rozmazała księżyc, w ciemności migotały tylko punkciki pochodni zatkniętych na wałach odległej Da-bory.

Dróżka kręciła między drzewami, wąska i zwodnicza, lecz gałęzie zdawały pochylać się i wskazywać Doronowi kierunek marszu.

Olgomar miał wyruszyć nazajutrz. Przed opuszczeniem ziemi swoich przodków chciał jednak złożyć pokłon Kamieniowi Ptaków. Oczywiście Olgomara wpuszczono by do Kręgu - przed Liściem otwierały się wszelkie zapory -ale Olgomar nie wierzył w siłę Pierścienia. Ufał za to potędze trzech ptaków miasta, objawiających się w mocy ba-nów. I właśnie przy Kamieniu Ptaków chciał pożegnać Dorona.

Zanosilo się na ciepłą noc, w zastygłym powietrzu ciążył zapach wilgoci i bagien. Jutro Olgomar będzie miał dobrą pogodę. Doron przyspieszył kroku. Zbyt długo się zbierał i prawdopodobnie Olgomar już czeka przy kamieniu. Ścieżka rozszerzała się wyraźnie, przecięty ją dwie

inne leśne drożyny, nagle pomiędzy drzewami błysnęły białe skałki, wyłoniła się z mroku, zasłonięta dotąd listowiem, grań Skały Straceńców. Teraz ścieżka lekko się wznosiła, wiła między wielkimi głazami i skalną ścianą. Doron piał się pod górę, wiedząc, że zaraz dojdzie do najwyższego jej punktu i stamtąd będzie już mógł spojrzeć na Kamień.

I wtedy usłyszał krzyk. Daleki, stłumiony i złamany przez kamienne ściany. Krzyk.

Zabolało. Zabolało potwornie, przygięło do ziemi.

I ten krzyk.

Doron przemógł się, w kilku skokach stanął na szczycie wzniesienia.

Przed sobą miał szarą ścianę Skały Straceńców, pod nią Kamień Ptaków, potężny głaz poharatany przez deszcze i wiatry. Mędrcy widzieli w nim trzy święte ptaki Dabory, z rozłożonymi skrzydłami wzbijające się ku niebu.

Teraz pod głazem walczyli ludzie.

Wspartego plecami o kamień mężczyznę osaczyło czterech napastników. W dłoniach ściskali noże albo pięściami-ki, z tej odległości trudno to było dostrzec.

Doron czuł ból Olgomara. Krzyknął i biegiem rzucił się w dół ścieżki.

Olgomar ciął przez pierś jednego z napastników, lecz nie zdołał powstrzymać pozostałych. Chwycili go, chcieli przycisnąć do ziemi, powalić. Olgomar szarpnął się, odepchnął, na mgnienie odskakując od prześladowców. Pochwycili go jednak, znów ściągnęli w dół.

Doron był za daleko, by móc to usłyszeć, a jednak słyszał. Miękkie plaśnięcie ciała o trawę, krzyki napastników i jęk brata. A potem przeraźliwy skurcz serca, bolesny spazm rozrywający płuca i żyły, żar piekący oczy, ból wyginający w łuk całe ciało.

Olgomar nie żył.

Doron biegł dalej. Biegł i krzyczał. Odrzucił przygotowany dla brata tobolek, ściągnął z pleców karogę.

Atakował ludzi.

Usłyszeli bojowe zawołanie. Przez chwilę stali niepewni, coś do siebie mówili, wreszcie jeden wskazał Dorona

palcem. Wtedy rzucili się do ucieczki. Liść był zbyt daleko, by ich dogonić. Zwolnił wreszcie, schodził z góry powoli, oddychając ciężko, wciąż ściskając trzonek karoggi w dłoniach.

Zabili go. Zabili!

Przeklęte ich głowy i głowy ich dzieci, przeklęte łona matek, które ich narodziły, przeklęte ich psy i ten, kto wydał im ten rozkaz. Podnieśli ręce na Liścia i ręce te zostaną im odjęte. Patrzyli na jego śmierć, więc trzeba im wyłupić oczy. Krzyczeli coś do niego, więc wyrwie się im języki. Przeklęci!

Już schodząc z góry, ku temu miejscu, ku tej ziemi, po której spłynęła krew Olgomara, wiedział, że musi dokonać pomsty. Wróżda. Krew za krew. Życie za życie. A wiele trzeba śmierci, by okupić śmierć Liścia. Wiele.

Przez dwadzieścia lat nie stanął do walki przeciw człowiekowi. Stracił już młodzińczy wigor, szybkość i siłę. Ale trwała w nim moc Gaju, która nakazywała cisnąć precz złożoną banowi przysięgę, bo wierność drzewom po stokroć od niej ważniejsza.

Podszedł do ciała Olgomara. Brat leżał z szeroko otwartymi oczami, jego włosy zlepiała krew. Koszula była poszarpana i wilgotna, krwawe szramy przecinały pierś i brzuch.

Nieważna przysięga ani czystość, nieważne słowa wróżby, gniew Penge Afiy! Wszystko przestaje się liczyć.

Tylko krew. Krew za krew.

Doron pochylił się nad ciałem. Przez chwilę patrzył na zastygłą twarz zmarłego, a potem zaczął przeszukiwać jego ubranie. Nie znalazł jednak żadnego znaku, amuletu, pisma. Nawet broni, widocznie tamci ją zabrali. Niczego, co mogłoby powiedzieć, kim byli napastnicy. No bo kimże być mogli? Na pewno nie zwykłymi rzezimieszkami, jakich sporo kryje się po lasach. Zbyt dobrze przygotowali się do tego ataku. Ale kto mógł pragnąć śmierci wybrańca Świętego Gaju? Kto?

Maczuga leżała trzy kroki od ciała brata. Doron pochylił się nad nią, wyciągnął rękę.

Listek z Olgomarowej karoggi zsechł się, zwinął, za-

drzał lekko i oderwał od maczugi. Palce Dorona wyczuły w jego wnętrzu twardość, jakiś gruzłowaty kształt. Rozwinął liść ostrożnie, tak by go nie skruszyć. Dziwne. Znał wszystkie drzewa, odróżniłby ich liście, nasiona, pędy. Potrafił wyczuć imię drzewa, dotykając kory, wsłuchując się w śpiew poruszanych wiatrem gałęzi, wciągając w nozdrza powietrze przesycone zapachem liści. Potrafił nazwać i opisać wszystkie drzewa, nawet te, które rosły w odległych krainach. Lecz to nasionko było obce.

Znów pochylił się nad Olgomarową karoggą. Poczł nagle falę palącego skóre ciepła. Maczuga rozpadła się w proch. Nawet on, Liść, nie mógł wziąć do ręki karoggi należącej do innego Liścia.

Nasionko włożył do wiszącej na szyi kaptorgi. Wstawał właśnie, gdy usłyszał dobiegający zza pleców szelest krzaków. Jednym ruchem sięgnął po broń.

.

- Nieceee!

Krzyczał głośno, jego wycie rozszarpało sen lasu, poruszyło uspięone drzewa, wzburzyło nocne stworzenia.

- Weźcie go! - Ostry rzucił się w stronę Magwera. - Stul pysk.

Wciąż nie mogli pojąć, że on, najlepszy druh, okazał się wiarołomcą. Jeszcze trwali w osłupieniu.

Magwer skoczył do tyłu, wyszarpując zza pasa sztylet.

- Ostry - w głosie chłopaka więcej było prośby niż rozkazu, więcej pokory niż wściekłości, mówił szybko, ciężko przy tym dysząc. - Pomyliłeś się, Ostry! Co ty mówisz!? Przecież... jak ja...?! Ostry, nawet go nie znałem, skąd ci to przyszło do głowy? Ostry, dlaczego to powiedziałeś.

Jego trzech towarzysze już się ocknęli, sięgnęli po noże. Powoli zbliżali się do Magwera.

Cofał się ostrożnie, badając stopami ziemię za sobą.

- Co wy!?! Naprawdę, o, Ziemio, znacie mnie przecież, Wagan, bracie, znasz mnie, i ty, Pozm...

- Bierzcie go! — znów krzyknął Ostry.

Skoczyli do przodu, ale Magwer nie czekał na nich. Odwrócił się i popędził w las, przed siebie...  
Pnie drzew

wyskakiwały z ciemności, trawa chwyciła stopy, gałęzie tłukły twarz.

- Tu jest! Tu! - to krzyk Pozma.

Skręcił w prawo. Ześlizgnął się po stoku, uderzając kolaniem o kamień, aż syknął z bólu. Podniósł się z ziemi, znów rzucił do ucieczki.

- Widzę go! - teraz Wagan.

Ziemio, Ziemio, czego oni chcą? Nic nie zrobił, Ziemio, czemu Ostry, skąd te słowa, dlaczego, Ziemio, czemu oni tak, nie jest zdrajcą, nie jest!

Rzucił się ku krzakom, które porastały dno rowu. Wpełzł między nie, skulił się, objął kolana ramionami.

Ziemio, nie pozwól, przecież nic złego nie zrobił, służył wiernie jak tylko można, nic nie zrobił, więc czemu, czemu?!

Trzask gniecionych butami patyków. Idzie ktoś, jest bliżej, coraz bliżej. Jeśli zobaczy Magwera, to wezwie pozostałych, a są pewnie niedaleko, tuż-tuż.

Cicho, to musi się odbyć bez hałasu.

Pozm, tak, to on, to jego krok, jego sylwetka majająca w ciemnościach. Biel jego kościanego sztyletu.

Magwer mocniej zacisnął dłoń na trzonku swego noża, przykucnął, wspierając zaciśnięte pięści o ziemię.

Pozm był o dwa kroki. Szedł wprost na Magwera.

Chłopak skoczył. Wyrzucił ramiona do przodu, uderzył Pozma w pierś, walnął pięścią w twarz. Docisnął do ziemi, lewą dłonią zakrył usta.

Pozm patrzył na ostrze zbliżające się do swojego gardła, na twarz Magwera.

- To nie ja, naprawdę, uwierz mi, nie zdradziłem nikogo, przecież byliśmy razem tyle czasu, po co...?



- Magwer puścił Pozma, wstał. Zaczął się znów tłumaczyć, mówił szeptem ledwie słyszalnym pośród gniewnego szumu obudzonych ludzkim niepokojem drzew. - No powiedz...

Pozm podnosił się powoli, patrząc to na twarz Magwera, to na zaciśniętą na nożu dłoń.

- Powiedz...

- Tutaj! - krzyknął Pozm, odskakując. - Tu jest! Magwer wypuścił nóż z ręki. Nie chciał już uciekać, nie

mógł. Po co uciekać, o, Ziemi, gdy nic już nie znaczy sło-

wo, a najserdeczniejszy druh staje się w jednej chwili wrogiem, po co?

Widział, jak podchodzą, patrzy! na opadającą maczugę, oglądał świat, który stał się nagle ciemniejszy niż największa ciemność.

Ale nie czuł bólu. Nic nie czuł.

Tamci trzej wrócili. Zobaczyli, że liść jest sam, a w ciemnościach pewnie go nie rozpoznali. Wrócili więc pozbyć się świadka mordy. W dłoniach ściskali ostre szklane szpile, jakby sztylety odlane z uwegneńskiego szkła.

Doron krzyknął. Bojowe zawołanie Liścia runęło na nich jak ryś atakujący królika - nagle i ostatecznie. Doron już dopadł pierwszego, ostrze karoggi trafiło prosto w oko wojownika. Drugi zrobił jeszcze krok do przodu, gdy trzonek karoggi sięgnął jego twarzy, miażdżąc szczękę. Mężczyzna padł na kolana. Trzeci napastnik pojął już, kto przed nim stoi. Doron wykorzystał to zaskoczenie. Maczuga przebiła pierś mężczyzny.

Dwaj jeszcze żyli.

Pierwszy klęczał z twarzą zalaną krwią, lewą ręką wspierając się o ziemię. Doron powalił go jednym kopniakiem.

- Kto was przysłał!? Wojownik jęknął.

Świsnęła karogga. Wojownik z niedowierzaniem przybliżył do oczu swą pozbawioną czterech palców dłoń.

- Kto!? - ponowił pytanie Liść.

Ranny, przyciskając swą bezpalczą rękę do piersi, turlał się po trawie i wył z bólu.

Doron znów go kopnął, docisnął stopą do ziemi.

- Umrzesz. I tak umrzesz. Lecz jeśli nie powiesz, to Róża Śmierci dotknie cię, gdy już nie będziesz mężczyzną.

Ostrze karoggi zsunęło się ku podbrzuszu ranego.

- Mów!

Ciałem wojownika wstrząsnął dreszcz, kciuk prawej dłoni zaciskał się spazmatycznie, cztery rany pulsowały krwią. Szeroko otwarte oczy patrzyły w niebo.

- Kto!?

- Niece...

Doron nacisnął karoggę. Poczul miękki opór i w tej samej chwili usłyszał szept.

- Ban... ban kazał żywego - krew bluznęła z ust żołnierza, wymywając wybite zęby.

- Ocaliłeś siebie - powiedział Doron. Jednym pchnięciem karoggi przebił serce mężczyzny. Podszedł do drugiego wojownika. Żołnierz leżał bezwładnie na ziemi, tylko jego dłonie szarpały trawę. Doron przyłożył karoggę do jego piersi i nacisnął.

Potem przebił im oczy, wyrwał języki i odjął ręce. A potem, patrząc w księżyc i ociekając krwią, poprzysiągł zemstę.

Ban musiał zginąć.

Zebrała się chyba cała wieś. Ludzie tłoczyli się, przepychali, dzieci rozdziawiały buzie, kobiety się uśmiechały. Mężczyźni rozmawiali podniesionymi głosami.

Zaczęły go boleć ręce, teraz dopiero poczul szorstkość sznurków krępujących nadgarstki.

Mdliło go. W nozdrzach gęsta woń stęchlizny, w ustach dziwny smak, słony i słodki zarazem. Bolało, wszystko bolało, i kark trafiony pałką, i otarte do krwi ręce, i nogi, i głowa. Przespał całą noc i pół dnia - teraz słońce wędrowało już w dół Góry. Przytroczyli go do kija jak zabitą sarnę i przynieśli tutaj. O, Ziemi...

Chciał coś powiedzieć, ale język nie drgnął nawet w ustach. Nie mógł mówić.

Oczy zamknęły się same. Tak, usnąć, spać jak najszybciej, odpocząć, wreszcie odetchnąć. Tylko ci ludzie wokół, co oni tu robią? Tylko to dziwne uczucie, że coś nie tak, nie tak... Nie!

Zmysły Magwera nagle ocknęły się z długiej drzemki.

O, Ziemi...

Przywlekli go tutaj, na skraj jakiejś wsi. Przywiązali do pnia drzewa, rozciągnęli ręce i nogi. Wezwali ludzi. Niech wieśniacy zobaczą, jak Szepczący karze zdrajcę. I jaką ma moc.

Magwer szarpnął się raz, drugi, ale sznury nie puściły. Chciał coś powiedzieć, lecz z gardła wydobył się tylko ni to skrzek, ni to jęk.

Szarpał coraz mocniej. O, Ziemi... Odebrali mu mowę, nie potrafi powiedzieć ni słowa, obronić się, a przecież nic nie zrobił!

Ludzie poruszyli się. Przekręcił głowę i zobaczył swoich towarzyszy wychodzących spomiędzy drzew. Jak zawsze, gdy spotykali się z ludźmi, na ubrania zarzucili płaszcze z szorstkiego, szarego sukna, także chusty zasłaniały ich usta i nosy, kaptury opadały na oczy.

Nikt obcy nie rozpoznałby ich potem. Ale Magwer od razu rozróżnił znajome sylwetki przyjaciół...

Teraz idą go zabić.

Zatrzymali się obok drzewa, na którym wisiał Magwer. Wagan wystąpił krok do przodu. Ludzie ucichli.

- Słuchajcie! Słuchajcie! To my nauczamy. To w nas moc dawnych ludzi. Słuchajcie! Słuchajcie! - wskazał na Ostrego. Szepczący nie ruszył się z miejsca, tylko mówił swoim spokojnym, lecz twardym głosem.

- Oto wyrodek! Oto człowiek, który gotów był za marną opłatą opuścić swoich druhów i wydać ich w ręce ba-nowych oprawców. Niech będzie przeklęty!

- Przeklęty! - podchwycił tłum.

- Czy zasługuje na litość? Czy godzien jest stąpać po ziemi?

- Nie - szmer poszedł po ludziach.

- Jaki los mu przeznaczony?! Czy można się nad nim ulitować!? Czy jedno dlań tylko słowo: śmierć!?

- Śmierć!

Magwer znów się szarpnął, otworzył szeroko usta, lecz z jego gardła wydobył się tylko przeciągły jęk.

- Patrzcie, jak wije się i skamle! Jak się boi! Lecz ten jazgot nie skala już naszych uszu, odebrałem mu mowę, tak jak zaraz odejmiemy mu życie.

- Życie...

Ziemio, Ziemio, dlaczego pozwalasz... Wagran stanął przed krzyżem. Spuścił wzrok tak, by nie spojrzeć w oczy Magwera. Ale ręka pewnie dzierżyła

kamienny nóż. Ostrze prześliznęło się po ramieniu skazańca, szarpiąc ubranie, rozcinając skórę.

Drugi podszedł Krogg. Nawet jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy, gdy zobaczył rozszerzone z przerażenia oczy Magwera.

Krogg naznaczył pierś skazańca krwawym krzyżem.

W chwili, gdy Pozm brał się do swojej roboty, gdzieś od strony wsi dał się słyszeć krzyk.

A potem tupot butów, płacz dzieci i lament kobiet. Wieśniacy pierzchli w jednej chwili. Czterej mężczyźni w szarych opanczach popędzili ku lasowi. Za nimi, rozciągając szyk, przesuwała się ława grodowych.

Minęli go, przebiegli, słyszał za plecami krzyki, wrzaski, przez chwilę wydawało mu się, że Wagran jęknął śmiertelnie, potem wszystko ścichło. Od strony drogi podchodziło jeszcze dwóch żołnierzy. Talizmany na szyi jednego z nich świadczyły, że jest dziesiętnikiem. Zatrzymali się przed Magwerem, patrząc na skazańca z ciekawością.

- Jak się nazywasz? - spytał dziesiętnik.

Magwer otworzył szeroko usta, jęknął. Szarpnął sznurami. Ból pociętej skóry niespodziewanie przywrócił mu siły. Zabolalo, lecz wraz z tym bólem barwy nabrały jasności, słowa dźwięczności, obrysy ludzi i przedmiotów stały się ostre. Tylko język i gardło wciąż odmawiały posłuszeństwa. Zaczął bełkotać, kręcąc gwałtownie głową, chcąc pokazać, że mówić potrafi, ale nie może.

- Dobrze go już napoczęli - powiedział dziesiętnik do towarzysza. Splunął. Żołnierz podszedł do Magwera, końcem trzymanej w ręku pałki odgarnął strzępy ubrania. Rany nie były głębokie, ale całe piersi i brzuch Magwera lepiły się od krwi.

- Słyszysz wojewodzie czy wojsku? - spytał dziesiętnik. - A może tylko się żeście pokłócili o kobietę, co? - uważnie spojrział na Magwera. Chłopak gwałtownie pokręcił głową, znów pociągnął za sznury.

- Odetnij go, Kall - dziesiętnik machnął ręką. Żołnierz wyjął zza pasa nóż z hartowanego drewna.

Stał obok Magwera i dwoma szybkimi cięciami uwolnił go z więzów. Magwer zrobił dwa kroki w stronę dziesięt-

nika. Pokazał palcem swe usta, rozłożył ręce w geście bezradności.

- Gębę ci czymś zatkali? Kiwnięcie głową.

- Ale będziesz mógł gadać? Chwila wahania. Kiwnięcie.

- Dobra, poczekamy tu na naszych i idziemy prosto do wojewody.

Kiwnięcie głową, uśmiech, szeroki na tyle, na ile pozwalają ściągnięte mięśnie.

- Idą już? - spytał dziesiętnik po chwili milczenia. Wojownik odszedł trzy kroki, przykucnął, przyłożył ucho do ziemi.

- Wciąż dalej - mruknął podnosząc głowę.

Jego oczy zobaczyły czubek zbliżającego się Magwero-wego buta. Jęknął, krew spłynęła między przyciśniętymi do oczu dłońmi. Dziesiętnik krzyknął, wyciągając zza pasa toporek. Magwer poderwał z ziemi upuszczoną pałkę, umknął przed opadającym ostrzem. Uderzył w nadgarstki dziesiętnika, wytrącił mu broń z ręki. Łokciem zdzielił w twarz, chwiejącego się już kopnął w brzuch. Ciche chrupnięcie, gdy pałka uderzyła w odsłonięty kark. Odwrócił się i zobaczył, że drugi żołnierz wstaje i zaczyna krzyczeć... Uderzenie pałki trafiło go w brzuch, odbierając oddech. Grodowy zwałił się na ziemię.

Magwer bacznie się rozejrzał.

Nikogo w pobliżu nie było, wieśniacy dawno już puciekali do swych domów, ścigający Szepczącego żołnierze jeszcze nie wrócili. Nie mógł jednak zmarnować ani chwili. Wciąż ściskając w garści trzonek pałki, popędził w las, w przeciwną stronę niż ta, z której mogli nadejść grodowi.

## 10. List

Gwiazdy i księżyc wskazywały mu drogę. Wędrował tylko nocami, każdego dnia rankiem wpełzał w jakąś dobrze ukrytą dziurę i odpoczywał. Przez cały ten czas, a dwa dni minęły, odkąd uciekł, tylko raz miał w ustach mięso. Niemrawego, pewnie chorego zająca, którego schwytał wczoraj wieczorem, zjadł na surowo. Karmił się wyłącznie jagodami i podsuszonymi na słońcu grzybami.

Głód stawał się coraz dotkliwszy, a towarzyszyło mu zimno i ból nie opatrzonych ran. Nie znał się na ziołach, obłożył tylko skaleczenia liśćmi babki. Rana na piersi goiła się szybko, ale ta na rękę jątrzyła i krwawiła. Tu potrzebny był znachor albo znająca się na ziołach baba. Pomimo tych wszystkich przeciwności znajdował się coraz bliżej domu. Do swej wsi spodziewał się dotrzeć jeszcze przed świtem. Jeśli tam dojdzie - ma szansę.

Grodowi wzięli go za schwytanego przez banitów szpicla. Zabraliby do Gorczem, żeby przekazać wojewodzie. Ale Magwer nie służył banowi, więc szybko by odkryto, że jest człowiekiem

Szeptającego. Poszedłby na szafot.

Musiał uciekać. Ale...

Cóż teraz pocnie? Zostać w domu nie powinien, to może ściągnąć na rodzinę nieszczęście. Mógłby pójść na służbę bana - szybko odrzucił tę myśl. Albo ukryć się w lesie, żyć jako banita, jak Krogg. Tylko że Krogg służył Szeptającemu, a on, Magwer, z wyciętym na piersi haniebnym znakiem zdrady, nie ma gdzie szukać towarzystwa.

Trzeba będzie stąd odejść. Gdzieś... daleko. Jak dale-

ko? Na pięć, sześć dni drogi, czy może hen, na stepy, albo ku szerneńskim siedzibom. Myśl o takiej wędrowce napawała go grozą, jeszcze nigdy nikt z jego rodu, nikt ze znajomych i sąsiadów nie wywędrował z rodzinnej wsi dalej niż do Rzeki. Ale on, Magwer, nie miał już tutaj czego szukać, chyba że zguby.

Nad ranem gorączka schwyciła go z jeszcze większą siłą, dreszcze przebiegły całe ciało. Chłód łatwo przeniknął przez podarte ubranie, zmroził skórę i kości. Chłopak szedł coraz wolniej i rozumiał, że tej nocy nie dotrze jeszcze do swego domu. Lecz wiedział też, że jutro, nim księżyc wychyli się ponad drzewa, na pewno stanie we wsi.

Zbliżało się południe.

Doron spokojnie czekał, aż słońce wespnie się na szczyt Góry. Siedział na sękatym pieńku, może o sto kroków od bramy Gorczem. Broda zarosła jego policzki tak, że nie sposób było się dopatrzeć znaku Liścia. Włosy za to zgolił - jego czaszkę okrywała krótka na paznokiec szczecina. Okryty starą opończą, w wyblakłych spodniach, łapciach plecionych ze słomy, nie bał się, że ktokolwiek go rozpozna. Czekał więc spokojnie.

'Rumy, jeszcze przed dwoma dniami przewalające się przez Daborę, zrzędy nieco, wielu ludzi odjechało do domów po turnieju. Jarmark skończy się za trzy dni i sądzić należało, że jutro, pojutrze, do miasta znów przyjedzie sporo ludzi. Albowiem na piątnicę, ostatni dzień jarmarku, ban zaplanował wielkie widowisko. Tego dnia pójdzie na szafot Ostry i jego słudzy. Wykonane też zostaną wyroki na innych przestępcach. Ludzie mówili, że gdy schwytano Ostrego, ban kazał sprowadzić Niebieskiego Rodinica, słynnego kata z Gathary.

Tak mówili ludzie, a powtarzając te wieści, spluwali na boki z niechęcią i wstrętem. Bo przecież, choć widowisko zapowiadało się wielkie i wspaniałe, to na śmierć powiodą Szeptającego. Jednego z tych, którzy nauczali, którzy przynosili nadzieję i pomoc. Śmiertelnego wroga Gwardii. O tak, przyjdą wszyscy patrzeć na jego mękę, ale nie po

to, by się nią cieszyć. Jakże bardzo nienawidzili teraz posłańców Gniazda i banowych najemników,

którzy pochwycili Ostrego.

Most zwodzony opadł. Wartownicy rozstąpili się, by dać drogę gońcom, którzy dokładnie w południe wyruszyli do odległych stanic z rozkazami od bana.

Na wale Gorczem pojawiło się kilku młodych chłopców z trombitami. Zadęli. Głuchy, przeciągły jęk poniósł się ponad miastem.

W tejże chwili obok nich stanął ban. Jak nakazywał obyczaj, w południe i o północy Penge Afra obchodził wały Gorczem trzy razy. Tak jakby okrążał całą władaną przez siebie krainę, biorąc ją w posiadanie. Za banem szedł jego syn ze związanymi na plecach rękoma, a dalej żołnierze w paradnych strojach przybocznej straży. Obchodzili wał szybko. W niektórych miejscach blanki sięgały banowi do ramion, od strony rzeki były znacznie niższe.

Doron uważnie obserwował całą ceremonię. Musiał zapamiętać każdy jej szczegół.

Drzewa dały mu odpowiedź.

Las kończył się, ustępując miejsca równinie pól. Co roku zostawiano odłogiem szmat ziemi, w zamian za to trzebiąc pod przyszłe uprawy takiej samej wielkości kawał puszczy. Cała wieś przesuwała się z roku na rok, niby gigantyczny robak pełznący przez zielony las.

Na szczęście był środek nocy i wszyscy mieszkańcy powinni byli spać. Magwer nie chciał, by ktokolwiek go zobaczył, choć wszyscy ci ludzie należeli do jego bliższych lub dalszych krewnych. Nie wiedział, co wydarzyło się przez cztery dni wędrówki, wołał być ostrożny.

Bliskość rodzinnego domu dodała Magwerowi sił, ból zelżał nieco, mgła ustąpiła sprzed oczu. Nawet głód jakby przestał doskwierać.

Szedł powoli, cicho, nadrabiał drogi, bo nie chciał posuwać się z wiatrem. Psy i tak go wyczują, lecz lepiej, by nie stało się to nagle. Na pewno podniosą jazgot, choćby z radości.

Był blisko - już rozróżniał ciemne sylwetki chlewów i spichlerzy. Poczul wzbierającą w sercu radość. Dobrze jest wrócić tam, gdzie matka wydała człowieka na świat, gdzie każde miejsce, kształt, nawet zapach jest swój, bliski, znajomy. Jak dobrze! Lecz zaraz pojawił się smutek. Trzeba będzie stąd odejść, daleko, może już nigdy nie wrócić. Źle, źle, ech, Ziemi...

Nagle z boku coś zaszurało. Obrócił się gwałtownie.

Trzy duże psy biegły w jego stronę. Poznał je, gdy tylko ciemne kształty znalazły się dostatecznie blisko.

- Cicho - szepnął. - Cicho.

Zatrzymały się parę kroków od niego, sapiąc i pomrukując. Ogony chodziły radośnie.

- Witajcie - powiedział Magwer i zobaczył nagle, że psie ogony zamarły. Warczenie stało się głośniejsze, wargi podniosły się, odsłaniając kły.

- Co się stało? - spytał, nadając swemu głosowi spokojne brzmienie. - No, co jest?

Ale psy już były takie jak dawniej, przyływ złości minął im tak nagle, jak przyszedł.

Gładził psie łby, czochrając palcami gęste futro. I wciąż mu się zdawało, że mięśnie zwierząt napinają się nagle, by po krótszej niż mgnienie chwili znów się poddać pieszczocie.

Wszystko wyglądało tak jak zwykle. I podwórze, i dom, i stóg obok kurnika.

Wciąż panowała niepokojąca cisza. Zrozumiał wszystko dopiero, gdy zbliżył się do szopy. Nie było w niej ani psów pociągowych, ani wózka, a więc rodzice gdzieś wyjechali. Pewnie do Czarnej Wsi, tam mieszkało sporo krewniaków. Mógł więc swobodnie pobuszować po domu. Wszedł do komórki, uchylając drzwi, by wpadał przez nie blask księżyca.

Przełknął ślinę na widok tylu wspaniałości. Pryzma buraków w jednym, beczka z kiszoną kapustą w drugim kącie. Na półkach worki z mąką, kaszą, pachnące łańcuchy suszonych grzybów. W koszach jabłka i gruszki, w sko-

pkach mleko i ser. Jakże dawno nie widział tylu specjałów!

Sięgnął po garnuszek z piwem, przełknął trzy, cztery łyki, tak, by zwilżyć gardło. Ocierając ręką usta, odstawił garniec, chwycił chleb, z półki zdjął miskę z serem. Przykucnął, postawił naczynie obok siebie i odrywając od bochna wielkie kawały chleba, maczał go w piwie i w serze. Wreszcie mógł się najieść.

Wpychałby w siebie chleb do rana. Pamiętał jednak, że przed świtem znów musi ukryć się w lesie. Wstał, odstawił naczynie na miejsce i rozejrzał za jakimś workiem. Nie znalazł pustego, wysypał więc z jednego orzechy i zaczął ładować chleb, brukiew i suszone ryby.

Worek był pełen. Ważył dużo, to prawda, ale Magwero-wi ten ciężar wydawał się wręcz przyjemny. Cóż bowiem może być miłszego dla głodującego jeszcze przed chwilą człowieka niżli sakwy pełne jadła.

Potrzebował jeszcze dobrych krzemieni i trochę suszonego próchna. Chętnie też zabrałby łuk, jakiś nóż i toporek. Ale te rzeczy znajdowały się w domu, do którego wolał nie wchodzić. Oprócz głuchego dziadka Ashana spały tam zapewne dzieci, może któryś z niewolników.

Tak bardzo chciał ich zobaczyć, usłyszeć ich głosy, uścisnąć. Jednak wolał się nie pokazywać, tak było lepiej i dla niego, i dla dzieciaków. Chwilę jeszcze rozglądał się po komorze, w końcu sięgnął



po tasak, niezbyt może poręczny do walki czy oprawiania zwierzyny, ale zawsze lepszy niżli gołe ręce. Wziął też krzemienną motykę, na dobrym, grubym trzonku. Tym już można rozbijać łby. Przywiązał worek do końca kija i ostrożnie otworzył drzwiczki komórki. Cisza. Ani psów, ani ludzi. Wyszedł - z motyką na ramieniu, tasakiem w prawej ręce.

Nie zrobił jednak kroku, gdy strzała przecięła powietrze tuż nad jego głową. Wbiła się po pióra w plecioną ścianę komórki.

- Połóż to! - usłyszał głos. - I nie waz się drgnąć!

Straż przyboczna to doborowa jednostka armii Gor-

czem, osobista straż bana. Sześćoletnią służbę sprawują żołnierze wywodzący się z rodów jeśli nie najświetniej-szych, to na pewno znacznych. Potem wracają na swoje, sownie obdarowani przez bana - każdy dostaje od władcy szmat puszczy i niewolników. Zwykle nie żyją długo. Sześćoletnie wdychanie oparów i picie mikstur podnoszących szybkość, siłę i sprawność wyniszcza ich organizmy. Lecz to nie jedyny powód tak częstej zmiany przybocznych. W dawnych czasach niejednokrotnie to oni właśnie wynosili na tron kolejnych banów, mordując swych wcześniejszych władców. Dopiero Penge Admun z pierwszej linii Penge krwawo złamał wpływy przybocznych. On też ustanowił prawa, zgodnie z którymi służba w twierdzy stać się mogła jedynie ułamkiem życia wojownika - nigdy jego piątym celem.

Jakże żałował Doron, że tam, pod Skałą Ptaków, pozostawił ciała czterech przybocznych. -Teraz sam musiał zdobyć to, co wtedy już miał w rękach.

Za tymi dwoma szedł już od dłuższego czasu. Na pierwszy rzut oka widać było, że dopiero co wyszli na miasto po całodziennej służbie w twierdzy. Chcieli się zabawić. W oberży pili, obmacywali służebne dziewczki, śpiewali. Ten wieczór dopiero się dla nich rozpoczynał. A że trafili do tej gospody prosto z Gorczem, mieli przy sobie plecaki z tym, czego Doron potrzebował.

Siedział więc w swoim kącie, pił piwo, wyjątkowo zresztą niesmaczne, i czekał. Skończył jeden kufel, zamówił drugi, jego wybrańcy wypili w tym czasie po sześć. Właśnie przy siódmym zaczęli się przechwalać, jakie to znają dziewczki na podgrodziu - wszystkie o tłustych biodrach, dużych piersiach, gładkiej skórze. Jeden mieli tylko kłopot, kobiety te mieszkały daleko od koszar, spory kawałek drogi od Gorczem.

Doron ucieszył się, gdy usłyszał te słowa. Nie mógł sobie wymarzyć dogodniejszego przypadku.

Żołnierze wstali i po krótkim przekomarzaniu się z oberżystą o zapłatę wyszli w końcu z gospody. Doron odczekał chwilę i zostawiwszy na stole dwa paciorki, ruszył za nimi.

Zapowiadała się chłodna noc.

Wojownicy szli powoli, rozmawiali ze sobą, wymachując przy tym rękami, parę razy zatrzymywali

się. Doron bez zbyteńnego wysiłku nadażał za nimi, pozostając niezauważonym.

Wyszli z Dabory, minęli gęsto zabudowane przywałowe osady i skierowali się ku Rybitwom, małej sadybie, kiedyś zamieszkaną przez rybaków łowiących na Rzece. Teraz jednak, po wielu latach bez wojen, większych pożarów i zarazy, Dabora zagarnęła rybacką osadę.

Chaty stały tu z rzadka, skryte między drzewami, otoczone chruścianymi płotami. Z niewielkich okien przeciekał na dwór wąty blask, niektóre domy były już zupełnie ciemne.

- Daleko jeszcze? - spytał jeden z przybocznych, niższy, bardziej krzykliwy.

- Mówiłem ci, że już - odburknął drugi.

Doron przemykał między drzewami. Gdy wsparł się

o splekaną korę któregoś z nich, czuł mrowienie przepływające przez palce. Ciepło bijące od drzew, puls ich serc, rytm oddechów tylko on to pojmował spośród ludzi, on

1 Piastunka.

Wtem wysoki żołnierz zatrzymał się, machnął towarzyszowi ręką na znak, że ma iść prosto. Sam stanął przy krzaku i zaczął rozsznurowywać spodnie.

Doron chwilę obserwował oddalającego się mężczyznę, po czym ruszył w stronę wysokiego wojownika.

Nie miał przy sobie karoggi, jednak nóż w jego dłoniach zabijał równie szybko.

Palce zacisnęły się na ustach przybocznego, ostrze weszło w plecy po rękojeść. Martwe ciało opadło na pierś Dorona, liść położył je na ziemi.

- Hej! - usłyszał w tej samej chwili. Odwrócił się gwałtownie.

Drugi przyboczny wracał. Widać zgubił drogę.

- Hej, Karmarz!

Doron rzucił się w bok. Za późno. Żołnierz już stał między drzewami. Wystarczająco blisko, by dostrzec i martwego towarzysza, i jego zabójcę.

Przez chwilę zamroczony piwem umysł przybocznego usiłował pojąć, co się stało z jego druhem. Twarz żołnierza - rozlazła gęba pijanego człowieka - stężała. Wyrzeźwiał na tyle, by walczyć. Nie na tyle, by krzyczeć i wzywać pomocy.

Doron ruszył w jego stronę.

Przyboczny odrzucił plecak, sięgnął do pasa. Na mieście, po służbie, wojownicy bana nosili krótkie, nabijane krzemieniem pałki, nazywane ankaroggami - „małymi karoggami”.

- Ty krowi pomioście! - syknął. Doron nie odpowiedział, co zdziwiło wojownika. Nikt nie zaczął śmiertelnej walki w milczeniu.

- Ty szczurze!

Doron odgarnął kaptur. Podeszli już do siebie na dostatecznie bliską odległość.

Przyboczny przejechał pałką tuż obok ramienia Liścia, drugi cios poszedł od dołu. Doron ledwie go uniknął. Pchnął, ale wojownik odskoczył szybko. Mały, krępy, poruszał się jednak z zadziwiającą zręcznością. Przyboczny wznosił pałkę do ciosu. Doron nie cofnął się jednak. Zrobił krok. Pałka zaczęła opadać wprost na wyciągniętą rękę. Doron syknął, runął w bok, przeturlał się po trawie. Wstał, ale żołnierz już był przy nim. Znow wznosił pałkę do ciosu. Tym razem Doron zdołał się cofnąć.

Przyboczny napierał. Uśmiech triumfu pojawił się na jego twarzy. Żołnierz zamachnął się, wyciągając lewą, rozcapierzoną dłoń ku gardłu Liścia.

Trwało to mgnienie. Doron widział śmigający koło twarzy czubek ankaroggi i radosny uśmiech swego przeciwnika.

I wtedy czas stanął. Siła, moc, ciepło popłynęły przez plecy i stopy, ku twarzy i dłoniom. Pałka jest z drewna bukowego, a za plecami stoi drzewo, które daje siłę, a wokół las pełen pni, gałęzi, korzeni.

Tb ujrzał w jednej chwili. Ib poczuł.

Przerzucił nóż do lewej dłoni, prawa ręka wystrzeliła ku górze. Pałka przybocznego spadła na przedramię, ale Liść nie poczuł bólu, tylko przyjemne ciepło, łagodne drżenie bukowego drewna.

Żołnierz zaklął ze zdziwienia. W chwilę potem poczuł ostrze noża przecinające brzuch i odbierające życie.

Głos był znajomy

- Ja? - spytał Magwer, odkładając broń na ziemię. - Brata nie widzisz, smarku?

Padli sobie w ramiona. Rozmawiali długo.

- Pamiętaj, że nic im nie możesz powiedzieć - Magwer chwycił dłoń Mino. - Pamiętaj. I tak ci za dużo nagadałem. Powiedz, że musiałem odejść. Powiedz, że z Ziemią się pożegnałem. I za ten zabór przepros - uśmiechnął się, wskazując pełny plecak. Mino przyniósł z domu sakwę i łuk ze strzałami,

bukłak z piwem, drugi na wodę, nawet trochę mięsa i kaczy tłuszcz w glinianym skopku.

Mino przytulił się do brata, objął go ramionami. Miał ledwie siedem wiosen i nie dostał jeszcze imienia, ale Magwer z całego rodzeństwa jego właśnie kochał najbardziej.

- No, dobrze już - pogładził chłopca po głowie. - Idę, bo niedługo zacznie świtać. Muszę się jeszcze pożegnać z Ziemią.

- Czeka! - nagle chłopiec coś sobie przypomniał i nim Magwer spytał, w czym rzecz, znów zniknął w chacie.

Wrócił po chwili z kawałkiem papieru.

- Będzie siedem dni temu, jak przyszedł goniec z Da-bory. Przyniósł pismo. Dla ciebie.

- Co to jest? - Magwer wziął zwinięty kawałek szarego papieru, jaki wyrabiają w Chościskach, i szybko go rozpostarł.

- Poświęć tu - kiwnął na brata. Mino przysunął ogar-ek.

Magwer przez chwilę patrzył na papier, na kilka zdań, na podpis pod nimi.

- Stało się coś? - spytał Mino.

- Nic - Magwer zwinął list. - Mówił coś ten mały?

- Mnie nie było w domu, w polu siedziałem. Spotkał go Gowol, ale nic nie powtórzył.

- Dobrze - Magwer położył dłonie na ramionach chłopca. - Żegnaj.

- Żegnaj, bracie - powiedział Mino poważnym głosem.

Papier.

Szary papier wyrabiany w Chościskach.

Litery. Kanciaste, pisane pijacką ręką znaki.

Słowa. Nieskładne. Dziwne.

Zdania. Niezrozumiałe. Straszne.

Magwer nie mógł stąd odejść. Musiał zapaść w las i czekać. Szukać prawdy. O, Ziemi, jak trudno to wszystko zrozumieć. Jak trudno. Kto? Dlaczego? Czyżby to on? Ziemi, przecież...

Litery stawiane pijacką ręką. Ale poznał je, zresztą podpis wskazywał autora. Litery kreślone wedle północnej mody, płaskie, tępe, bez łagodnych zaokrągleń, układały się w słowa i niosły dziwne wieści.

Tak boli, ręka i pierś, i głowa, lecz i myśli bołą. Po stokroć mocniej. Musi zrozumieć, poznać prawdę.

*Ja nic. Kazał pić. Patrzyć w oczy. Mówił. Ja nic. Daj wódkę, to powiem. Inaczej nie mogę. Kazał. Wszystko kazał. Boją się, Asga. Ja nic.*

*Rodam*

Musiał poznać prawdę.

Las wpuścił go i teraz las miał stać się jego domem.

## 11. Bagna

Gorączka złamała go jeszcze tej nocy. Jakby ciało powstrzymywało ją, dając Magwerowi czas na powrót do domu. Kiedy opuścił rodzinną wieś, choroba wróciła. Nie, nie choroba - urok.

Na ciele Magwera pojawiły się sine linie. Biegły wzdłuż kręgosłupa, rąk, nóg, na brzuchu łączyły w spirale, na plecach układały w bezkształtne wzory. Znal tę chorobę. Ostry musiał nasaczyć ostrze swojego noża jadem powrotnika. Magwer wiedział, co to oznacza. Zacznie rosnać. Szybko, z dnia na dzień, stanie się wyższy o palec, dwa, w końcu o sążen. Lecz to nie wszystko. Równocześnie zacznie się przekształcać. Powracać. Aż do końca.

Najpierw zniknie zarost, potem zmieniają się proporcje ciała. Schudnie, nogi się skrócą, ręce wydłużą. Potem znów zacznie nabierać pulchności. Jego głowa, twarz, kształt czaszki - tak, jak już raz w życiu Magwera się zmieniało. Tyle, że w odwrotnej kolejności. Równocześnie wciąż będzie rósł.

Olbrzym o kształtach, dziecka. Coraz młodszego dziecka, którego drżące nogi nie utrzymają ciężaru ciała. Przewróci się, by już nie powstać. Czaszka spęcznieje, nogi się wykrzywią, zabraknie sił, by oderwać twarz od ziemi. Lecz na tym nie koniec. Wróci do chwili, gdy się urodził, a potem poza nią, przekształcając się powoli w niepodobnego człowiekowi potwora. I będzie żył, dopóki nie zabije go grzyb i pleśń. Będzie leżał tam, gdzie upadnie lub gdzie dopełźnie, gdy jeszcze sił mu starczy na pełza-

nie. Nikt go co prawda nie zabije, ale też nikt nie podejdzie bliżej jak na kilka kroków. Mówią wszak, że oddech potwora może porazić człowieka. O, Ziemi...

Nie ruszy go żaden zwierz, drapieżniki ominą truchło, nawet ścierwojady nie sięgną po tak łatwy

kąsek.

Jest jednak nadzieja. Ziemi, daj czas dojść.

Odrutkę robi się z tego samego powrotnikowego ziela, tyle że przygotowanego w inny sposób. Ale rośnie ono na Czarnych Bagniskach... O, Ziemi, tam nie zagląda nikt, nawet sam ban, a on przecież mag. I Ostry mówił o nich z lękiem. Kryją się tam obce, nieznane ludziom siły, potwory, mroczne miejsca i obce moce.

Ale iść musi, musi!

O, Ziemi, dlaczego oni to zrobili i dlaczego cisnęli na niego taką klątwę? Na postrach innym zdrajcom, wiadomo. Ale za co, za co?

Magwer przerzucił tobolek przez plecy. Sine linie nabrzmiały, pod skórą swędziało, gniotło, jakby coś tam się poruszało. Nie wiedział, za ile dni powali go niemoc. Musiał dojść do bagien.

Powietrze wokół zdawało się coraz gęściejsze. Wnikało do ust, czuł, jak przelewa się po języku, ciepłą kroplą spływa w gardło i niżej, rozpierając piersi, gasząc serce.

I było też pulsowanie żył, suchych żmij wijących się po skórze, w skórze, pod skórą. Bolesne, lecz po stokroć bardziej przerażające.

Wciąż szedł - nogi odmierzały odległość, półprzymknięte oczy obserwowały dziwny świat, z którego wywabiono wszelki kolor, smak i zapach.

Na bagna! Na bagna... Tam ratunek.

O, Ziemi, jak ciężko, jak trudno, gdy człowiek rozgląda się wokół, lecz nie widzi nic prócz majaków, wspomnień wydobytych z dna pamięci przez chory umysł. Realniejszych od jawy - wystarczy sięgnąć ręką.

Ten dzień, kiedy pojawił się Ostry.

Kolejne spotkania, najpierw z Tniewem, uczniem Ostrego, potem już tylko z Szepczącym. Rozmowy, opowieści.

Pytania. Zawsze zadawał ich wiele. Ciekawiło go wszystko, co związane z Szepczącymi. Sprawy najprostsze - ilu ich jest, gdzie mieszkają zimą. Także te trudniejsze - skąd się w ogóle wzięli, dlaczego mimo tylu obław i polowań, wyznaczonych przez wojewodę nagród i nasyłanych szpiegów, tak rzadko ktokolwiek z Szepczących wpada w łapy bana.

Niekończące się opowieści o przeszłych pokoleniach, o potędze Leśnych Gór, o wojnie z Miastem Os.

To było jednak dawno, tak dawno... Teraz nie miał już druhów ani Ostrego, nic już nie miał, nic!

Tylko cierpienie i strach dawały mu tę siłę, która wciąż pozwalała iść, pchała do przodu - ku bagnom. Jednak z każdą chwilą ten marsz, pełen bólu i zwiądów, stawał się coraz wolniejszy.

Nie czuł już upływającego czasu. Nie odróżniał poranka od zmierzchu, dnia od nocy. Nie wiedział, czy idzie we właściwym kierunku - równie dobrze mógł teraz krążyć w miejscu albo zmyliwszy strony wędrować ku ludzkim osadom. A on musiał na bagna, wciąż dalej!

Choć od dawna nie miał nic w ustach, głód zdawał się niczym wobec tkwiącego tuż pod skórą, napinającego ją i rozrywającego bólu.

Lecz wciąż szedł dalej, potykając się, przewracając, gniotąc krzaki, prac między zaroślami - szedł.

Wiedział, że jest jeszcze normalnym człowiekiem, ale jego ciało mogło ulec przemianie w każdej chwili.

Upadł trzeciego dnia, noga obsunęła się po ścianie leśnego jaru, runął w dół.

Wpadł twarzą w błoto, zalegające dno dołu. Wstał z trudem, zaczął pełznąć po śliskim zboczu. Miękkie palce darły ziemię, osłabłe ramiona naprężyły się, twarz ryła w mokrym mchu. Czuł, jak z każdym ruchem odpływa zeń ta reszta sił, którą jeszcze posiadał.

Wydostał się na brzeg jaru, tam padł bezwładnie i znieruchomiał. Żył na jego ciele zaczęły pęcznieć.

Doron pochylił się, odgarniając równocześnie dłonią zbyt nisko zwieszoną świerkową gałąź. Zabita sarna ciążyła na ramionach, tego dnia polował dość daleko od swej kryjówki. Spieszył się więc, bo do zmroku musiał jeszcze ściągnąć skórę i wypatroszyć zdobycz. To zajmie trochę czasu, a chciał się dziś położyć nieco wcześniej. Jutro -skoro świt - wyruszał do Dabory. Banowi zostały dwa dni życia.

Mrok powoli spływał na ziemię, wieczorny chłód zaczynał atakować spocone, zmęczone ciało. Doron nie zwalniał jednak kroku, przeciwnie, przyspieszył nawet.

Jego miękki chód nie mącił spokoju drzew. Tu, u ich stóp, było cicho. To prawda, krzyczały ptaki, czasem odzywały się inne leśne stworzenia, ale Doron nie zauważał tego. Jakże inny się wydawał ten szmer w porównaniu z gwarem miasta, jakże piękny, łagodny.

Ciszę lasu rozciął nagle skowyt. Przerażliwe skamlenie oszalałego z bólu zwierzęcia. Ale tak nie krzyczy zwierzę, Doron pojął to od razu.

Ostrożnie zsunął z pleców sarnę. Z łubiów wyciągnął łuk, nałożył strzałę na cięciwę.

Skowyt powtórzył się. Doron słyszał już kiedyś takie wycie. W płonącej szopie siedział zamknięty pies. Dawno,

dawno temu.

Skradał się ostrożnie, zbliżał do jęczącego człowieka i choć jeszcze go nie widział, czuł, że jest już bardzo blisko. Uniósł łuk, napiął cięciwę. I wtedy zobaczył. Przesłonięty pniami drzew człowieczy kształt. Miotająca się, szarpiąca dłońmi ziemię postać.

Doron zrobił kilka kroków, opuścił łuk.

To, co leżało przed nim, kiedyś było człowiekiem. Strzępy ubrania okrywały napęczniały, opuchły kadłub. Tylko twarz pozostawała normalna. Blade, zmęczone, brudne, lecz niewątpliwie ludzkie oblicze młodego chłopaka. Oczy, brązowe i duże, teraz przekrwione, zażawione. Wargi pogryzione do krwi. Włosy gęste i jasne. I wąsy, młodzieńcze jeszcze, teraz białe jak śnieg. Chłopak krzychał.

Jego ramiona, pierś i nogi pokrywała sinozielona powłoka - cienka błona porastająca ciało niczym druga skó-

ra. Widać było pod nią naprężające się spazmatycznie mięśnie i ciemne nabrzmiałe żyły, biegnące wzdłuż tułowia i nóg. Ciałem chłopaka wstrząsały potężne dreszcze. Próbował się bronić, chwycił dłońmi trawę, przyciskał się do ziemi, w niej szukając ratunku i pomocy. Na próżno.

Nie zwracał żadnej uwagi na Dorona, zresztą nic chyba nie widział i nie słyszał. Sine żyły pod skórą pulsowały powolnym rytmem, przesuając się wyżej, ku szyi i twarzy chłopca.

Doron znał tę twarz.

Doron klęczał nad uspokojonym już i znieruchomiałym ciałem. Palce lewej dłoni zaciskały się na głowie młodzieńca, prawa dłoń wciąż dotykała kory młodego dębca-ka. Zęby zagryzały drewniany amulet.

Udało mu się powstrzymać chorobę, objął ją władzą swej mocy, zniewolił. Ale czuł, jak jadowite duchy szarpią się i szamocą, napierają na postawione osłony. Żeby chłopaka wyleczyć naprawdę, trzeba było iść na bagna.

Doron przypomniał sobie, skąd zna tego młodzieńca. To ten sam chłopak, który na Rynku Kasztanów rzucał wiewiórcze ogony. A więc wróg bana i Gwardii, ścigany pewnie przez łapaczy z Gorczem. Lecz na piersi chłopca widniał, wycięty nożem, ptak Ko-Anagel - znamię krzywoprzysięstwa. Czyżby więc zdradził swych towarzyszy, oddał się w służbę banowi i za to został ukarany?

Tylko że patrząc na umęczone oblicze młodzieńca, Doron nie dostrzegł w nim fałszu, to nie była twarz zaprzańca. Liść ufał swoim zmysłom, wiedział, że może na nich polegać. Ale oczywiście to nie wystarczało, by powędrować na bagna, podjąć się wyprawy ryzykownej i grożącej różnymi



niebezpieczeństwami. Doron potrzebował jednak pomocnika. Kogoś, kto nie miał nic do stracenia.

Czarne Bagna rozciągały się na wschód od Gór Passeńskich.

Złe miejsce.

Mówiono, że tymi ziemiami rządzi inna magia, prawa obce władztwu Pierścienia. W pradawnych czasach siła Kręgu Mchu zagnała je w mroczne zakątki, takie jak ten. I trwały, uśpione, zniewolone, nigdy nie wychodzące na zewnątrz, lecz u siebie straszne i nieodgadnione. Nikt nigdy nie zapuścił się w serce bagien; tylko zielarze, wróżę i włóczędzy krążyli czasem po ich obrzeżach.

Można tu było spotkać jaszczury wielkie jak psy, ptaki bez skrzydeł o dziobach twardszych niż kamień, węże długie na sto stóp i grube jak człowiek. Ale to jeszcze łatwe się zdawało do pojęcia - wszak w dalekich krajach też ponoć żyły stworzenia inne niż w Leśnych Górach. Wprawny myśliwy z każdym, choćby najdziwniejszym zwierzem może wygrać, a choćby walczyć.

Lecz tu łatwo spotkać stwory po stokroć straszniejsze: palcniki, przejmujące we władanie ludzkie dłonie, zimni-ce, co się karmią człowieczym ciepłem, głasty wypalające oczy, zwidniki, przyjmujące przedziwne kształty, i inne, nie nazwane, takie, których żaden podróżnik nie widział, a jeśli już zobaczył, to nie wracał żywy z opowieścią.

Na trzęsawiska zapuszczali się czasem niektórzy wróżę i medycy. Był tu ban zaraz po objęciu swego władztwa. Cisnął w bagno trzy krzemienne topory na znak, że bierze je w posiadanie wraz z całym Leśnymi Górami, a potem szybko zawrócił do Gorczem.

Doron nigdy nie zbliżał się do trzęsawisk. To mogło być niebezpieczne, a on obiecał unikać groźnych miejsc. Teraz jednak nie uznawał tamtej przysięgi. Czuł siłę sączoną w jego ciało przez wszystkie drzewa, wiedział, że ma dość mocy. Więc, choć obawiał się bagien, pojmował równocześnie, że może stawić im czoło.

Tym bardziej, że naprawdę potrzebował pomocy. Wymyślił sposób, dzięki któremu mógłby zabić bana własnymi rękami, nie łamiąc przepowiedni. Jednakże sprawy mogły się potoczyć tak, że tego najprostszego planu nie zdoła wykonać. Wtedy posłuży się innym sposobem, ale do tego musi mieć pomocnika. Jakiś wewnętrzny głos szeptał, że najlepszą do tego osobą będzie ten chłopak.

Doron zostawił go nieprzytomnego w swojej kryjówce i już drugi dzień szedł ku bagnetom.

Biją, biją kołatki. Tłuką o siebie cienkie deszczułki, klekocą obracane młynki, dudnią gliniane bębny. Barwy tańczą w ich rytmie i poza nim, otaczają zewsząd, pędzą. Z kolorów wyłania się obraz.

Trzy szare menhiry, granitowe bloki wczepione w ziemię, obok nich mniejsze głazy otaczające Pierścień Leśnych Gór - Krąg Mchu. Wokół las. W środku kręgu kobieta. Wysoka, o smagłej skórze, oczach wąskich i lśniących, prostych, czarnych włosach, opadających na ramiona. Na czole wytatuowane znamię Ust Nieba, na policzkach czarne znaki władzy. Luźna szata otula jej ciało, na

piersi wisi naszyjnik. Każde ziarno jest kamyczkiem z obcych Kręgów. Kobieta kłeka, całuje Ziemię Rodzicielkę.

Magwer widzi wszystko wyraźnie i choć nie może znać jej imienia, wie, kim jest ta kobieta.

Kiedy pojawiła się wizja, zniknął ból i Magwer zapomniał, kim jest, co się z nim dzieje, zapomniał o wszystkim. Obraz wypełniał jego oczy, uszy, nozdrza, całą głowę, ciało. Kobieta znów stanęła, rozłożyła ręce, cień padł na mech i nagle ten cień połączył jej ciało, ziemię i menhiry. Zamarła w bezruchu i trwała podobna do głazów, aż ziemia pod stopami kobiety zadrżała. W tej chwili ona ogarniała wszystko - kraj i drzewa, ludzi i zwierzęta, i nawet wodę, całe Leśne Góry były i nią, i w niej. Magwer widział matkę Leśnych Gór.

Poruszony magią powrotnika umysł cofnął się przez stulecia, w głąb czasów, po których pozostała tylko pieśń przemieniona w bajkę. Obrazy mieszały się i nakładały, znikwały, wciąż dudnił pod czaszką szaleńczy rytm wygrywany na setkach niewidocznych instrumentów. Oto miasto widziane z góry, równe rzędy ulic, gwar ludzkiej gromady, zapach dymu. Lecz to nie Dabora. W zboczu skały zieją czarne otwory pilnowane przez wojowników. Niewielu może wejść do jaskiń, większość z tych, co zagłębiła się w lochach Góry Szkla, nigdy już nie ogląda dziennego

światła. Magwer poznaje - to Uwegna i podziemia, w których żyją Mistrzowie Szkla. Tam powstają wszystkie te cudenka, jakie oglądać można na targowiskach Dabory.

Jakby wpełzł do środka. Światło dnia znika już za pierwszym zakrętem, pozostaje tylko drżący poblask pochodni. Lecz zaraz inny żar zaczyna rozjaśniać ciemność. Gorące wewnątrz Góry daje ludziom swoją jasność. Kamiennie kadzie wypełnione płynnym szkłem. Półnaczy, spoceni mężczyźni o stwardniałej od gorąca skórze dmuchają w drewniane rury, formując naczynia i błyskotki. Magwer pochyła się nad rozpaloną kamienną misą, z której płynie błyszczące tysiącem odbić szkło. Upał. Ciemność.

I znów kołatki, i znów bębny, a na ich granie nakłada się dźwięk rogów bojowych. Maszerują równe zastępy wojowników, łopocą proporce, błyszczą w słońcu krzemienne ostrza. Oto armia Leśnych Gór, wolnej krainy. Oto wojownicy zrodzeni w Kręgu Mchu - Ziemia tłoczy w ich ciała swój puls i obdarza ich swoją łaską.

Armia wędruje ku granicy Leśnych Gór. Tam, na podmokłej, bagiennej ziemi, która nie należy ani do Kręgu Mchu, ani do Zewnętrznego Kręgu, toczyć się będzie ostatnia bitwa. Lecz już wcześniej popłynęło wiele krwi. Zbrojne zastępy nie raz zapuszczały się zniemacka w głąb dziedziny przeciwnika. Niewielu śmiazków wracało z takich wycieczek - wszak walcząc na cudzej ziemi, byli słabsi od obrońców. Jeśli ktoś zapuszcza się do kraju wroga, to musi uderzyć gwałtownie i zaraz się wycofać, bo w zwykłej walce ma niewiele szans. Wiele dziesięcioleci trwała ta wojna podjazdowa, w końcu jednak obie armie stanęły naprzeciw siebie, by na ziemi niczyjej stoczyć ostateczny bój.

Grają, grają rogi. Obraz płynie, przelewa się, jakby stanowił tylko wodne odbicie. Woda? A może to szkło rozgrzane i bulgoczące w kadzi, rodzące te wizje czasów zamierzchłych i strasznych.

Kolumny wojowników wędrują przez las. Idą ubitymi traktami; we mgle, która niesie się z bagien; wśród szlochu drzew już teraz oplakujących tych, co padną; pośród

nagłego poruszenia bagiennych stworów, które czekają na ciepłą krew i równie gorące ludzkie życie. A wszystko to skąpane w czerwonej poświacie, przenikającej ludzi i drzewa, rysującej wokół Słońca mglistą obwiednię. Czy to blask gorejącego szkła? Czy krew?

Potem zaś wycie wiatru, szaleńcze kołowanie zerwanych nagłym podmuchem liści, krzyk ptaków, tysiące oczu wpatrzonych w ciemność. Potem tupot butów, pękające kości, miazga gniecionych ciał, skurcz wrywanych języków, bitewny zgiełk, rzędy krzyży, pot zmywający farbę z policzków wojowników. Bagienna mgła zalegająca pole bitwy.

Dym zwycięstwa, wznoszący się z ognisk sygnałowych, i biegacze niosący wieść o klęsce. Zwycięstwo na wschód. Klęska na zachód.

Ucichł już ten wrzask, upiorny ryk, płacz rozpacz i bolesny skowyt. Z mgły wyłonił się nowy obraz.

Drzewa w środku lata ogołoczone z liści. I liście przedwcześnie postarzałe, brunatnym kobiercem zalegające ziemię. Kamienie, co w jednej chwili stały się czarne. Rzeki skute lodem, choć słońce pali skórę.

Krąg Mchu. Głazy i wyrastające z nich drzewa też nie żyją. Zamarto tętno Ziemi Rodzicielki.

Bo oto w środku świętego miejsca leży martwa kobieta. Ręce rozrzucone na boki, nogi spętane rzemieniem, na pięknej, choć niemłodej twarzy zastygł grymas żalu. Nie strachu, nie bólu, nie nienawiści, lecz żalu, że oto stało się coś, czego odwrócić nikt nigdy nie zdoła. Matka Leśnych Gór, Pani Kręgu Mchu, umarła. A w Kręgu już stoją Szerszenie. Od tej pory Miastu Os, a nie Daborze będzie służyć Pierścień, a Ziemia Rodzicielka nasyci obcą krew. Po niebie krążą trzy czarne punkty - gołąb, jaskółka i sokół. Krzyczą żałośnie, a gwardyjscy łucznicy napinają cięciwy.

Usłyszał ryk za plecami. W jednej chwili odwrócił się, wyciągając z pochwy karogę.

Błoto mlaskało i drgało, kryjąc jakiś kształt, który zdą-

żył się w nim ukryć przed oczyma Liścia. Znów chlupnęło, a po chwili ciszy na powierzchnię wychynął łeb tołpawy. Trzema ruchami potężnych ramion tołpawa dobiła do ścieżki. Wylazła na nią szybciej, niż Doron mógłby się tego spodziewać. Miała duże, obłe cielsko, na pierwszy rzut oka podobne do człowieka. Podobieństwo to zniknęło, gdy tylko potwór się poruszył. Doron dostrzegł jakby żabie nogi, błony pławne między palcami, dużą, płaską, wyrastającą wprost z tułowia głowę z wielkimi oczami bez powiek. Tołpawa otworzyła pysk, odsłaniając bezzębne dziąsła, sine i mocne jak kość. Potwór ryknął i ruszył ku człowiekowi.

Doron zrzucił z ramienia torbę, chwycił dłońmi sam koniec trzonka karoggi. Czekał.

Gdy potwór znalazł się dostatecznie blisko, Liść zaatakował. Skoczył do przodu, ciął. Ale tołpawa jednym potężnym wybiciem żabich nóg przeskoczyła Dorona i stanęła tuż za jego plecami. Zdażył się odwrócić w ostatniej chwili, by ciąć opadające mu na głowę łapsko. Tołpawa ryknęła z bólu, cofnęła się. Doron naparł na nią, ale znów umknęła wysokim skokiem.

Wiedział, że tołpawa chce go zmęczyć. Był szybszy od niej, gdy szła. Nie potrafił nadążyć, gdy wybijała się w powietrze.

Ścieżka była wąska, kępy porastającej ją szarej trawy - śliskie, zbocze strome. Wystarczy, że obsunie mu się noga. Jeśli tylko upadnie w błoto - zginie.

Znów uderzył. Tym razem tołpawa nie uciekła. Poczekała, aż koniec karoggi zagłębi się w jej brzuchu. Żółta posoka bluznęła na ręce zdumionego Dorona. A potem tołpawa chwyciła Liścia za głowę. Ścisnęła.

Zdołał wyszarpnąć karogę. Ale nie miał siły, by uderzyć po raz drugi. Tołpawa trwała w bezruchu, jakby wyciekająca z ciała krew nie robiła na niej najmniejszego wrażenia. Zaciskała łapy na głowie wojownika.

Ból nie był tylko zwykłym bólem. Doron czuł ucisk, czuł czternaście palców między włosami, czternaście pazurów dziurawiących skórę. Ale prócz tego z dłoni tołpawy wyrastać zaczął inny ból. Jego nitki, cienkie jak paję-

cza przędza, przeniknęły czaszkę, wpełzły do głowy, wąskimi strumykami popłynęły do oczu, uszu, nosa. Liść usłyszał tętno obcej siły, nie służącej Ziemi Rodzicielce, odmiennej, ale równej. Moc wody.

Karogga wypadła z dłoni Dorona. Nie miał sił, by drgnąć, by zrobić ruch, jego mięśnie wiotczały, poddawały się bólowi. Myśli uciekały gdzieś, ginęły, zatracały w ciemności. Doron, Liść, wybraniec Świętego Gaju umierał.

I wtedy drgnęło drzewo. Nie, nie drzewo, wąty krzaczek jeszcze, młoda olcha. Narodziła się na tym bagnisku jak dziesiątki jej siostr olch - wyniosłych i posepnych. Lecz to jej, dwurocznej młódce, dane było pomóc Liściowi. Usłyszała zamierający puls Dorona, poczuła jego moc uciekającą z ciała ku Ziemi Rodzicielce. I drgnęła. Poruszyła gałęziami w niezrozumiałym dla człowieka wysiłku, wyciągnęła je ku nogom mężczyzny.

Liść zadrżał.

Drzewko przebiło spodnie, dotknęło swą gałązką -czarną i wilgotną - skóry mężczyzny. Nitki bólu przestały rosnąć. Doron poczuł ciepło, gdzieś od dołu lekki puls gorąca opływający jego stopy, łydki, wznoszący się ku udom.

Olcha walczyła. Tłoczyła w wyciągnięte ku Doronowi gałęzie wszystkie swe soki, odebrała wodę

liściom, sól korzeniom i grzała, rozpałała ciało człowieczego brata.

Doron odzyskał władzę nad swoim umysłem. Odczekał jeszcze chwilę, króciutko, by błogosławione ciepło przeniknęło całe ciało. A potem szarpnął się. Przypadł do ziemi, chwycił karogę i wbił ją wprost w oko tołpawy.

Stwór zawył. Jego łapska rozpaczliwie młóciły powietrze, uderzając Dorona w głowę, brzuch, plecy, ale Liść nie rozluźnił chwytu. Dopiero kiedy tołpawa ucichła, Doron wyciągnął karogę z jej czaszki, odskoczył do tyłu. Potwór runął bez jęku.

Doron stał jakiś czas w bezruchu, patrząc na swe dzieło. Dał się pochwycić tołpawie jak durny młodzik, bo dawno już nie walczył. Tym razem umknął śmierci o włos.

Dopiero teraz poczuł klucie w łydce. Pochylił się. Jednym szarpnięciem wyrwał kawałek gałązki, który wrósł już w jego ciało. Podniósł pięść do oczu. Na dłoni, wilgotnej od krwi człowieka i posoki potwora, leżał suchy jak

wiór patyczek, który na oczach Dorona rozkruszył się i rozpadł.

Mężczyzna kucnął.

- Dzięki ci, siostrzyczko, dzięki...

Pogładził martwe gałązki palcami, ustami dotknął zeschniętych listków. Wreszcie, oddawszy cześć swej wybawi-cielce, podniósł się, wyprostował. Chwilę jeszcze patrzył na cielsko tołpawy, w końcu chwycił tobolek, karogę i ruszył dalej.

Powietrze było lepkie i szare. Woń zbutwiałego drewna, stęchłych liści i szlamu mieszała się z odorem gazów wydobywających się z głębi bagniska. Powiększone cienie drzew wypływały z mgły i oparu, by po chwili zapaść w nie bezpowrotnie.

Doron przypiął już do butów wyplecione z wikliny łapcie. Teraz akurat szedł twardym gruntem, lecz nieraz stąpać musiał po uginającej się pod stopami powierzchni bagna. Był blisko celu wędrówki, zapuścił się w moczary dostatecznie daleko, by odnaleźć kwiat powrotnika. Żadne bagienne stwory nie nękały go już po spotkaniu z toł-pawą. Czasem słyszał nagły plusk zanurzającego się cielska, czasem noc rozjaśniały blade węgliki obcych oczu, jakiś jęk albo skowyt podnosił się ponad bagna. Lecz stworzenia te czuły moc Dorona i nie atakowały. Tołpawa zaskoczyła go. Teraz mógł się spotkać z każdym.

Doron wiedział jednak, że jeśli w ciągu najbliższego dnia nie odnajdzie powrotnika, będzie musiał zawrócić, bo zabraknie mu zapasów. Zresztą, jeśli nie dotrze do kryjówki na czas, to chłopakowi i tak już nic nie pomoże.

Drogę przed sobą badał sękatym kijem. Kiedy czuł, że ziemia nie daje dostatecznego oparcia stopom,

natychmiast zakładał owalne wiklinowe palety. Krok, potem drąg przed siebie, krok następny. Wędrownka ta zajmowała wiele czasu i szybko męczyła. Lecz wysiłek Doronowi nie przeszkadzał. Czuł, że jego ciało, rozleniwione wieloletnim spokojem, znów nabiera prężności i sprawności.

Wieczorem tego dnia znalazł kwiat powrotnika i zawrócił do granicy trzęsawiska.

## 12. Mężczyzna i chłopiec

- Dziękuję ci, panie - głos był cichy, zachrypnięty i zmęczony. Doron podniósł się od ogniska, stanął nad owiniętym w koce ciałem.

- Witaj.

Spod derki wystawała tylko głowa Magwera. Choroba zmieniła twarz chłopca - wyostrzyły się policzki, oczy przygasty, wargi szczeniały. Dwa dni minęły, odkąd Liść wrócił z bagien i podał mu kwiat powrotnika. Gdyby przybył dzień później, nie młodzieńca znalazłby w kryjówce, a większego od siebie potwora, z nabrzmiałą głową i krótkimi nogami.

- Witaj, Liściu - usta Magwera ledwie się poruszały. Doron wrócił do ogniska. Wyciągnął zatknięty w ziemię

patyk, na którym skwierczał płat pieczonego mięsa.

- Chcesz?

Magwer lekko pokręcił głową.

- Pić.

Doron odłożył pieczeń. Sięgnął po bukłak z wodą, spróbował, czy jest dostatecznie zimna i przykucnął obok Magwera. Ale oczy młodzieńca już się zamknęły, oddech wyrównał, usta lekko rozchyliły. Magwer znów usnął. Doron naciągnął mu derkę po nos, sam zabrał się do jedzenia.

- Dlaczego mnie uratowałeś, Liściu? Magwer obudził się o świcie następnego dnia. Doron też już nie spał. Zdążył przynieść wodę ze strumienia,

rozdmuchać żar ogniska. To była dobra pora, żeby wszystko chłopcu opowiedzieć. Rankiem umysł człowieka szybciej odnajduje słowa, by opisać zaszłe wydarzenia, a i łatwiej rankiem niż wieczorem pojąć cudzą opowieść.

- Bo potrzebuję twojej pomocy.

- Mojej? - Magwer aż uniósł się na posłaniu. Opadł na nie zaraz, ale zamilkł, zamyśliwszy się nad słowami Dorona. - Jesteś Liściem. Do czego potrzebny może ci być człowiek taki jak ja, wyklęty przez swoich braci?

- Widziałem cię już.

- Wiem, panie.

- Służyłeś Szepczącym, występowałeś przeciw banowi. Siepacze Penge Afry długo bawiliby się twoim ciałem.

- Wiem, panie - powtórzył Magwer.

- Ale twoi cię wyklęli. Banowe tortury niczym się wydają wobec klątwy, jaką rzucił na ciebie Ostry. Okazałeś się zdrajcą. Lecz ja nie odnajduję w tobie krzywoprzysięstwa. Zresztą patrz - Doron rozchylił koc. - Hańbiące znaki zniknęły z twojej piersi.

Oczy Magwera zalśniły. Przez chwilę gniótł zabliznioną skórę, jakby wietrzył jakieś oszustwo. Jednak to była prawda - rozpulchniona skóra wypełniła nacięcia, zablizniły się przekłute rany.

- Nikt cię nie chce, chłopcze - ciągnął dalej Doron. - Nic nie masz do stracenia, a mnie winien jesteś życie. Takiego kogoś potrzebuję.

- Będę ci służył, panie - kiwnął głową Magwer po chwili namysłu.

- Posłuchaj więc - Doron usiadł koło posłania młodzieńca, podkulił nogi, objął ramionami kolana. - Urodziłem się w domu niezbyt bogatym, ale też i nie biednym. Matka moja odziedziczyła kilkudziesięciu niewolnych i spory kawałek ziemi. Byłem piątym dzieckiem w domu, a trzecim, które udało się odchowić. Starszą ode mnie Loszłę szybko oddano za męża do domu Edgów. Siostra miała dziedziczyć rodowe włości. Ojciec niezłe walczył ka-roggą i od dziecka uczył mnie na wojownika. Kiedy skończyłem siedem lat, do naszej wsi przybył Or-danab, wędrowny nauczyciel. Zobaczył mnie w czasie ćwiczeń i spo-

dobąłem mu się. Powiedział matce, że będzie ze mnie dobry wojownik i rychło znajdę służbę u bana. Matka ucieszyła się na tę myśl, dwa lata jeszcze trzymała mnie w domu, bacząc, bym nie zaniedbał ćwiczeń, a potem poprowadziła do Dabory. Przyjęto mnie na pachołka wraz z innymi młodzikami. Nauczyciele od razu wzięli się do roboty, chcąc szybko uczynić z nas żołnierzy. Pierwszy raz walczyłem w turnieju, gdy miałem dwadzieścia jeden lat, ale wtedy jeden z gwardzystów szybko wygrzmocił mi skórę. Lecz po trzech latach to mnie swą łaską obdarzyli Bracia Drzewa. Pokonałem wszystkich. Otrzymałem maczugę wyhodowaną w Gaju na żywym konarze. A potem okazało się, że Liść.

Poszedłem do Świętego Gaju, by pokłonić się moim braciom i dobroczyńcom. A droga to długa, bo Gaj leży już na Ziemi Os, choć niedaleko granicy. Zaiste, miejsce to cudowne, lecz straszne. Wokół

step, równina jak okiem sięgnąć, a na niej wyrastają Drzewa. Potężne, dostojne, konarami zdają się poruszać niebo, korzenie ich jako korzenie gór. W nich trwa mądrość i siła. Gajowi kłaniają się ludzie ze wszystkich krain. Tam mieszka Piastunka i Nadający Kształty, a oni potęgą prawie równi Matkom i Łowcy Ziemi.

W Gaju otrzymałem wróżbę. Liść, co wykwitł na mojej karogdze, usechł i opadł, a chwilę potem trzy liście, jak trzy ptaki Dabory, zerwały się z gałęzi Dębu i wirując wokół pnia, opadły na ziemię. Później miałem sen, a w nim oto takie usłyszałem słowa:

*Póki ty żył będziesz, żywym pozostanie ten, co Daborą włada, choć nie włada Kręgiem. Lecz gdy umrzesz, Liściu, krwią zraszając kamień, śmierć go w cień zabierze, kładąc kres potędze.*

Łatwo pojąć, co one znaczą. Ban umrze po tym, jak ja gwałtowną śmiercią powrócę ku Ziemi Rodzicielce. Lecz póki ja żyję, jemu nie grozi śmierć. Straszna to wróżba. Penge Afra osadził mnie na dobrej ziemi, dał bogactwo i ludzi. A ja złożyłem przysięgę, że nie będę walczył z żadnym człowiekiem ani zwierzęciem, nie wypłynę na dużą

głębię, a w czasie burzy nie wyjdę na deszcz. Uczyłem młodych walki, lecz sam naprzeciw nim nie stawałem. Jadłem niedźwiedzie łapy, lecz nie chodziłem na łowy z oszczepem. Żyłem ponad wszystkimi mocami jako Liść, Brat Drzew. I ponad ludzkim prawem, bo strzegł mnie szacunek i banowe słowo.

Co wydarzyło się w ostatnich dniach, wiesz pewnie. Drzewa, bracia moi dostojni, znów naznaczyły swego wybrańca i ja z nim krew wypilem, i ślubowaliśmy sobie braterstwo. Połączyła nas drużba większa niżli kogokolwiek na świecie. Lecz oto jego ubili zdradziecko, a ja wiem, kto tego dokonał. Banowi ludzie, z bana rozkazu. Nie rozumiem, czemu tak się stało, lecz chętnie poznałbym prawdę. Lecz nade wszystko pomstę muszę znaleźć. Wróżdę.

Doron umilkł. Magwer słuchał go cały czas z uwagą i w milczeniu.

- Moje myśli i ręce do ciebie należą, Liściu. Lecz jednej rzeczy nie rozumiem. By dokonać zemsty zgodnie z obyczajem, musisz zabić bana własnymi rękami. Trzymany przez ciebie nóż musi mu poderznąć gardło albo rozpruć trzewia, twoje palce powinny zacisnąć się na jego szyi. Lecz przecież wróżba mówi, że ban skona dopiero wtedy, gdy ty zginiesz. Nie pojmuję tego. Chcesz, żebym ja, po twojej śmierci, ubił bana? Przecież wtedy nie dopełnisz wróżdy, twój brat pozostanie w pohańbieniu, nie pomszczony. A znowu nie możesz bana zabić, bo on dopiero po tobie wyzionie ducha...

Doron uśmiechnął się.

- Szybko zmiarkowałeś, że to niełatwa sprawa. Dumaj więc dalej, a może wymyślisz, jak się zabrać do rzeczy.

Doron raz jeszcze wybrał się do Dabory. Magwer dochodził do siebie po chorobie, a że był młody i silny, to i podawane przez Liścia zioła działały nań szybko i skutecznie. Chłopak został jednak w



kryjówce, a przebrany w wieśniaczy strój Doron powędrował do miasta.

Do egzekucji zostały dwa dni. Heroldzi bana wciąż o niej przypominali, opisując, jakich to tortur zaznają Ostry i je-

go kamraci. Więc sporo ludzi pozostało w mieście, a i nowi napływali na ostatnie dni jarmarku. W Daborze panował ogromny tłok. Tłumy przelewały się ulicami, tłoczyły na placach, awanturom i bójkom nie było końca. Gwardia cofnęła się do koszar, zajęta przygotowaniem do wymarszu, który miał nastąpić tuż po widowisku. Po ostatniej obławie skryli się też pomocnicy Szepczących.

Daborczycy gadali o tym wszystkim dużo, a w ich głosach, oprócz ciekawości i podniecenia krwawym widowiskiem, brzmiał też strach i nienawiść. W tych opowieściach Ostry stawał się nie tylko nauczycielem, nie tylko strażnikiem pamięci o przodkach. Powoli zaczęto mówić o nim jak o przyjacielu, bliskim druhu, który działał w ich imieniu, za nich podnosił zbrojną rękę na poborców bana. Słynniejszy stał się nawet niżli Biały Pazur. I oto teraz przywiążą go do słupa, a na jego ciele kaci pokazywać będą ludowi swój kunszt. Straszny los! I złość w ludziach wzbierała siarczysta, coraz większa niechęć do bana, nienawiść do Gwardii.

Mówili też o zniknięciu obu Liści. Różnie sobie tłumaczono to, że i stary mistrz Doron, i młody Olgomar przepadli gdzieś w lesie.

Większość powtarzała za banowymi oznajmiaczami, że Liście ruszyli na pielgrzymkę do Świętego Gaju. Że poszli złożyć pokłon Drzewom, potwierdzić swą druźbę i odczytać przepowiednię dla Olgomara.

Ale niektórzy inaczej gadali. Plotki te, nie wiadomo przez kogo tworzone i rozpuszczane, krążyły po mieście, wywołując grozę. Mówiły, że to gwardziści, mszcząc się za swoją porażkę w turnieju, napadli na Liści i zadźgali ich gdzieś w lesie. Albo że porwali tylko, by powlec do Gniazda i cisnąć Matce do nóg. Przerażenie ogarniało ludzi na takie podejrzenia, zęby zgrzytały, dłonie same zaciskały się na trzonkach pałek.

Doron cały dzień krążył po mieście, słuchając gawęd w oberżach, podsłuchując plotkujących kupców. W południe znów obejrzał obchód murów Gorcem, a pod wieczór ruszył w powrotną drogę. Za dwa dni bana spotka śmierć.

- Dlaczego mi to zrobili, powiedz, Liściu, tyś człowiek mądry. Czemu nazwali mnie zdrajcą i hańbą okryli moje imię?

- Możeś zdrajca...

Magwer poderwał się z ziemi, jego policzki nabiegły krwią, oczy zwężyły się.

- Liściu - wysapał. - Ja nie... Doron patrzył na niego ze spokojem.

- Siadaj, Magwer. Wiem przecież, ja to czuję. Wiedziałem, że muszę ci pomóc.

- Powiedz, Liściu, co mam robić. Hańba spłynęła na moją głowę, jak odwrócić los? Muszę się spotkać z Oстрыm, wytłumaczyć wszystko, dowiedzieć się, czemu mnie oskarżył.

- Jesteś jeszcze słaby...

- Czuję, że wracają mi siły, za dzień, dwa będę mógł ruszyć w długą drogę. Muszę tam wrócić.

- Głupoty gadasz, chłopcze, jakby ci wilki wyżarły rozum. Najpierw musisz dowiedzieć się, kogo z twojej grupy schwyтали grodowi. Dopiero potem coś ustalisz. Zresztą nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

- Czemu, Liściu?

- Zobacz, uznali cię za zdrajcę. I oto teraz, gdy powinieneś znajdować się w rękach katów albo zdychać od jadu powrotnika, ty przychodzisz, cały i zdrowy. Kto ci uwierzy? Pomyślą, że pomogli ci znachorzy bana, a ty zastawiasz pułapkę. Odczekaj więc trochę i zastanów się.

liść umilkł. Bo przecież do głowy przychodziły mu podejrzenia, którymi nie chciał się dzielić z młodzieńcem. Czy to możliwe, żeby Ostry nie potrafił odróżnić zdrajcy? Wszak to Szepczący, człek władający magią, potrafiący zajrzeć w ludzkie myśli i duszę. Może właśnie dlatego? Może kiedy przygotowywał umysł Magwera do zawładnięcia psim ciałem, coś ujrzał, przeczuł. Czy ślad zdrady w myślach chłopca, czy złe marzenia, czy może złą decyzję?

- Magwer, spróbuj się najpierw zastanowić. Czy znalazłby się jakiś powód, dla którego Ostry mógłby nazwać cię zdrajcą?

- Powiedziałem ci, panie...

- Nie, nie chodzi mi o to, czy chciałeś go wydać. Ale może powiedziałeś coś takiego, co mogło mu dać powód do podejrzeń. Albo o czymś takim myślałeś. On poczuł twoje myśli i uczucia. Musiał poznać twój umysł, nim nauczył cię atakować inne rozумы, choćby i psie. Może odnalazł w twoich pragnieniach coś, co go przerażyło. Pomyśl, przypomnij sobie...

- Nic takiego nie pamiętam - powiedział Magwer. Patrzył na Dorona jak człowiek, który wie, co mówi, i nie ma żadnych wątpliwości. Nagle coś sobie przypomniał, zacisnął wargi.

- Więc...? - spytał cicho liść.

Chłopak zeszywniał, zaciął usta, jego dłonie drżały.

- Coś się stało - powiedział powoli. - Teraz, kiedy zacząłem się zastanawiać, wydaje mi się, że coś się wydarzyło...

- Co?

- To bardzo ważne, to coś tak ważnego, że może wszystko wytłumaczyć - zdziwienie i żal pojawiły się na twarzy chłopaka.

- Co to jest?

- Nie pamiętam - powiedział Magwer. - Nie mogę sobie przypomnieć.

Doron wciąż nie chciał zdradzić Magwerowi swojego planu. Chłopak początkowo wypytywał, potem, gdy zobaczył, że Liść nie chce odpowiadać, przestał. Jednak jego ciekawość wciąż rosła. Liść nie rzucał słów na wiatr, musiał wymyślić coś dobrego. Lecz przecież to nie mieściło się w głowie - jak zabić człowieka, nie mogąc tego zrobić, póki samemu się żyje. Na tę ciekawość nakładał się także pewien żal. Magwer tak bardzo chciał, by Doron mu zaufał. Bo dzień wystarczył, by Magwer zaprzedał się starszemu wojownikowi duszą i ciałem. Tak jak wcześniej w Ostrym, tak teraz w Liściu widział uosobienie jakiejś dawnej mądrości, prawięcznej mocy, zrozumienia świata. Jakże inni byli ci dwaj mężowie, a pomimo to podobni. Obaj nakładali na człowieka niewidzialne więzy, pętali go

dźwiękiem głosów, spojrzeniem, drobnym gestem. Można ich było kochać lub nienawidzić. I kiedy świat Magwera runął, kiedy poczuł się zdradzony przez wszystkich - zjawił się liść. Uratował od pewnej i okrutnej śmierci, karmił, poił, warzył zioła. Słuchał i tłumaczył. To wystarczyło, by zajął w myślach Magwera puste miejsce po Ostrym.

Coraz więcej wozów z daniną zjeżdżało do Gorczem. Ciągnięte przez woły zaprzęgi sunęły długimi karawanami, wioząc sól i skóry, zboże i krzemień. Tłumy wylęgały na ulice, bo nieczęsto widywało się w Daborze półdzikich leśnych ludzi spod Ureggi, dumnych poddanych Assal-do-na z wysp na Moczarach, służebników z Arnem. Część tych towarów, owoc ciężkiej pracy ludu Leśnych Gór, odbiorą wysłannicy Miasta Os.

Gwardzistów nie interesowało zboże. Ziemia Os rodziła dość ziarna, nie musieli go wozić aż z Dabory. Dość krzemienia dostarczały kopalnie u podnóża gór Marke-Dib. Gwardziści zabierali łuki i jopy, haftowane stroje, krzemienne narzędzia i broń. Nie było tego wiele, dziesięć, dwanaście wozów. Mało - zdawać by się mogło - w porównaniu z długimi, wjeżdżającymi do Dabory karawanami. Lecz oni zabierali to, co najlepsze, to, co robiono najstaranniej i najdokładniej. Jopy plecione z rzemieni, klejone trójwygięte łuki, starannie wyszlifowane kamienne narzędzia.

Połowę ściąganych jesienią danin wydawał ban na utrzymanie pracujących dla Miasta Os rzemieślników. Ludzie wiedzieli więc, że te dziesięć zaprzęgów wywozi tak naprawdę owoc trudu rocznej pracy całej krainy.

Połowa jesiennych danin szła do Uwegny. Tam żyli Mistrzowie Szklą. Robili szkło dla bana i dla wielu możnych, sprzedawali je w Oltomar i koczownikom. Lecz najpiękniejsze i najcenniejsze wyroby mistrzów szklą zabierała Gwardia. To po nie głównie przybywała do Dabory. Przez cały rok

Szerszenie siedzieli w Ostródzie, twierdzy leżącej u stóp Kręgu Leśnych Gór. Wiosną wzmacniały ich posiłki z Miasta, a jesienią część gwardzistów ruszała do Dabory po daninę.

Tak było i teraz.

Późnym wieczorem dwa wozy jechały główną ulicą Dabory, od Zachodniej Bramy ku Gorczem. Przybyły z Tulu--Ogre, krainy leżącej na południu Leśnych Gór. Kroczyło za nimi tylko kilku banowych wojowników.

Na ulicy wciąż jeszcze kręciło się sporo ludzi. Większość z nich stawała na widok wozów, by obejrzeć kolorowe, plecione z barwionej wełny czapeczki, jakie mieszkańcy Tulu-Ogre zakładali swym wołom na głowy.

- Co wieziecie? - krzyknął ktoś z tłumu.

Nie doczekał się oczywiście odpowiedzi, ani od woźniców, ani od strażników. Za to jakiś obszarpaniec wyskoczył na środek ulicy i krzyknął:

- Znam ich, bękartów! Pałki do nas wiozą! Pałki dla grodowych!

Chciał z powrotem zmieszać się z tłumem, ale w tej chwili spomiędzy ludzi wypadło niespodziewanie dwóch strażników. Mężczyzna rzucił się w bok, ale biegli ku niemu także i ci żołnierze, którzy do tej pory pilnowali wozów.

- Pałki! Pałki! Czuję je na grzbiecie! - wrzeszczał jakiś przygarbiony dziadyga, wsparty na kosturze, ubrany w podarte szmaty.

Strażnicy wpadli pomiędzy ludzi, goniąc za łachmaniarzem, który spowodował całą awanturę. Rozdzielali razy na prawo i lewo, pchali, uderzali pałkami.

- O, Ziemi! - wrzasnęła jakaś kobieta. Z zalaną krwią twarzą osunęła się na ziemię. Mąż pochylił się, by pomóc jej wstać, wpadł na niego jeden ze strażników. Przewrócili się, wojownik wstał pierwszy. Miotając przekleństwa, podniósł pałkę. Mężczyzna skoczył mu pod nogi, czubek maczugi stuknął o ziemię, poturlali się po zabłoconych belkach.

- Pałki! Pałki! - wciąż wrzeszczał starzec. Wojownicy za głęboko wbiegli w tłum. Rozpędzani i potrącani ludzie zaszumieli gniewnie.

Dowódca strażników sięgnął po świstawkę. Powalono go na ziemię, zaczęto kopać.

Ale wojownicy już zdążyli się pozbierać. Skupieni wokół wozów, zaczęli okładać napierających na nich ludzi.

- Wiozą pałki, by bić pałkami! - staruch stał niewzruszenie wśród walczących i krzyczał.

Wsparci plecami o jeden z wozów strażnicy wytrzymałoby do nadejścia pomocy. Stali ramię przy ramieniu, uderzali z wprawą, bili mocno, nie bacząc na wzrastający napór mieszczan. Czerwone od krwi końce maczug tłukły głowy, wbijały się w brzuchy, trzaskały łamane ręce.

Potężny czarnowłosy mężczyzna wskoczył na wóz. Zrzucił woźnicę, strzelił batem. Woły ruszyły do przodu. Strażnicy stracili osłonę. Padł pierwszy z nich, zaraz przykrył go tłum. Drugiego trafił w głowę rzucony celnie kamień.

W tej chwili u wylotu ulicy pojawiły się posiłki. Grodowi pędzili ku walczącym, krzycząc, potrząsając tarczami i włóczniami. Daborczycy rzucili się do ucieczki, zostawiając na ziemi zabitych i rannych. Rozpierzchli się we wszystkie strony, kryjąc w bocznych uliczkach, część pognęła w dół ulicy, ku Zachodniej Bramie. Za nimi pobiegli grodowi i żołnierze, kładąc trupem jeszcze paru.

Obok porzuconego wozu i leżących na ziemi ciał pozostał tylko zgarbiony staruch.

- Pałki! Pałki! Na nasze głowy! - krzyczał.

Stał tak i krzyczał do czasu, gdy pierwsza grupka żołnierzy nie wróciła z pościgu. Jej dowódca podszedł do dziada i mocnym uderzeniem maczugi przetrącił mu kark.

- To banowa buława! - krzyknął Magwer zaskoczony. Osadzona na krótkim trzonku krzemienna kula pomalowana była na zielono. Rękojeść opleciono zafarbowanym na czerwono rzemieniem. - Czy nie poznają cię w bramie, wielmożny?

- Broda zarosła mi gębę i znamię, buty mam na grubej podeszwie, skórę pociemnię - Doron skończył ogryzać kość zająca, cisnął ją w ogień, wytarł dłonie we włosy.

- A potem? - Magwer spytał cicho.

- Mam to - Liść podniósł leżący obok niego worek. Wysypał wszystko na ziemię. Był tam hełm i kaftan, buty i nogawice: pełny strój przybocznego bana.

- I co dalej? - Magwer spróbował, po raz nie wiadomo

który, wydobyć od Dorona jakieś wiadomości. Ale Liść pokręcił głową, zaczął pakować ubrania do worka.

- Skąd masz tę buławę?

- Jest moja. Przed dwudziestu laty ban osobiście mi ją wręczył.

- Niewielu ludzi ma takie.

- Zielone z czerwonym trzonkiem? Niewielu. Kiedy chcę, mogę wejść na dwór bana, na moje

wezwanie służba musi obudzić Penge Afrę, muszą słuchać mnie wszyscy setnicy.

- Ale ja wciąż nie wiem, panie...

- Myśl - Doron uśmiechnął się. - Nie wydobędziesz ode mnie ni słowa więcej. Przynajmniej na razie.

- Czemu? Czyżbyś jeszcze nie miał do mnie zaufania?

- Mam.

- Więc czemu?

- Nie wiem, czy to pojdziesz, Magwer - Doron zawahał się. - Ale dobrze, spróbuję. Słuchaj uważnie. Nadszedł czas znaków. Dziwnych znaków. Wielkich znaków. Burzą się ludy pogranicza. Poruszyli się Szerszenie. Powstali niewolnicy w kopalniach. Gniazdo przysłało w tym roku wielki oddział po daninę. Te wypadki pozornie wydają się zwykłe, zdarzały się wszak bunty i większe haracze. Lecz tylu znaków naraz dawno nie było. A przecież to dopiero początek. Drzewa, bracia moi święci, po raz wtóry objawiły swą wolę. Wybrały człowieka, gdy ja, ich poprzedni sługa, chodzę jeszcze po świecie. To dawno się nie zdarzyło. Na dodatek po raz drugi wybrały go tu, w Da-borze. To znak większy niż poprzednie, lecz przecież nie ostatni. Oto banowi siepacze napadają na Liścia, na druha Drzew Świętych, na wybrańca Gaju! Czemu, jaka tego przyczyna? Nie wiem i prawdy tej być może już nie poznam. Ale oni go zamordowali! Powiadam ci, nie tak prosto zabić Liścia! Za nim moc Ziemi Rodzicielki i dzieci jej, drzew najstarszych. Lecz tamci go zabili. Ban bał się czegoś, może ku czemuś zmierza. Co on mógł wiedzieć o 01-gomarze? Nic, mówię ci, nic! A ja wiem, wiem, bom wróżbę dostał. Oto w liściu, co wyrósł na karogdze ze Świętego Gaju, odnalazłem ziarno. Ziarno mi nieznane. Moje oczy

nie pamiętają, a palce nie czują jego kształtu i szorstkości, zapach jest mi obcy. Ja, Liść, nie potrafię przypomnieć sobie drzewa, które jest jego rodzicielem. A więc jest to ziarno nowego drzewa, które Ziemia Rodzicielka dała ludziom. To znak. Niewprawny jestem w ich czytaniu, ale mogę powiedzieć prostą rzecz: coś nowego ma przyjść na świat. Co? Czego ban się przestraszył? Skąd mógł o tym wiedzieć, wszak wróżba objawiła się dopiero po śmierci Olgomara. Penge Afra jest magiem, lecz skąd miałby czerpać siłę wystarczającą do zabicia Liścia? Chciałbym znać odpowiedź na te pytania, lecz co innego dla mnie ważniejsze. Pomsta. I jej dokonam. Jak? Rzec ci nie mogę. Bo póki zdarzenie jakies siedzi jeno w człowieczej myśli, poty dla innych pozostaje ono niedostępne. Lecz gdy ktoś wypowie ową myśl, choćby i sam był w środku lasu, słowa te zaczynają istnieć prawdziwie. W oddechu, w korze drzew, w szumie traw, w wilczym tropie. Wtedy nic już nie może ich wygonić ze świata. Takie słowa, zatajone w tysiącach rzeczy, ktoś wprawny potrafi odczytać. Penge Afra jest wystarczająco potężny. Więc nic ode mnie nie usłyszysz. Zaprowadzę cię jednak do Dabory. A tam wkrótce wszyscy się dowiedzą.

- Kiedy ruszamy? - spytał Magwer poważnie. Nagle uświadomił sobie, że Doron, tak swobodnie z nim rozmawiający, szykuje się na śmierć. Że kolec Czarnej Róży już dotyka piersi Liścia, już nakłuwa jego skórę. Magwer pojął też, że dane mu brać udział w rzeczy większej, niż to się z

początku wydawało.

- O świcie.

- Idziemy! - Doron podciągnął worek. Owiniętą w skóry karogę niósł na ramieniu. Magwer dźwigał drugi toból, znacznie większy.

Nastał świt. Dzień, w którym miało spełnić się przeznaczenie.

Ziemia zdawała się miękko ugiąć pod stopami Liścia. Gałęzie drzew szumiały pieśń dla odchodzącego brata, ich zaśpiew dźwięczał w uszach obu mężczyzn. W głowie Ma-

gwera pojawiały się nagle dziwne słowa, dźwięki, których nie rozumiał, ułożone w tajemnicze wiersze i frazy.

Szli zabić bana. Zamordować władcę krainy, którą rozstawni gwardyjscy biegacze przemierzali w trzy dni. Kraju gór i bystrych rzek, drwali i rolników, soli i szkła.

Ban paść miał z ręki tego, który zginąć musi przed ba-nem. Tak głosiła wróżba.

Szli, a las szeptał im słowa pożegnania, życzenie zwycięstwa, wyśpiewywał swą trwozę. Wszak jeden Liść zginął niedawno, zabity szklanym ostrzem. Drugi właśnie szedł po śmierć.

Wkrótce dotarli do granicy puszczy. Tu obaj zmienili stroje. Doron, w luźnym kaftanie malowanym w podłużne pasy i w butach na wysokiej podeszwie, zdawał się wyższy niż zwykle. Poczernił brwi zwęgloną korą, sokiem z orzechów pociemnił twarz.

Gdy dotarli do granicy Dabory, przystanęli na chwilę. Magwer jeszcze raz powtórzył wydane przez Liścia polecenia.

Potem się pożegnali.

Wartownikowi przy bramie pokazał żółty znak, jakim posługiwało się wielu kupców, rzemieślników i donosicieli, którym zezwolono na wchodzenie do Gorczem. Wszedł na teren twierdzy i nie zwalniając ani na chwilę, ruszył wprost ku dworzyszczu bana. Bywał tu często i sądził, że wystarczająco dobrze zna dom władcy.

Na dziedzińcu Gorczem o tej porze dnia było rojno. Stróżujący żołnierze stali w kilku miejscach, inni grali w karty, popijając wino, wciąż jednak mając włócznie w zasięgu ręki. Kilka wozów czekało przed bramami magazynów i spichlerzy, praczki rozwieszały na linkach obrusy, słychać było krzyki nadzorców i nawoływania służby.

Doron szedł wzdłuż budynków, okrążał plac, kryjąc się w cieniu wału. Gdy przechodził koło spichrza, jeden z dźwigających worki z ziarnem niewolników potknął się i przewrócił. Zaraz

doskoczył do niego strażnik, wrzasnął, kopnął kilka razy - tak, by zabołało, ale żeby nie uczynić rabowi krzywdy.

Żeby wejść do sali przyjęć, potrzebny był specjalny glejt. Tu już Doron musiał wyciągnąć buławę. Strażnik znieruchomiał zaskoczony, rzadko widywał ludzi ze znakiem aż takiej wagi. Kłaniając się, usłużnie otworzył drzwi. Doron schował oznakę swej władzy pod połą płaszcza i wszedł do środka.

W pierwszej sali kilkunastu mężczyzn czekało na przyjęcie przez wojewodę. Doron przemierzył ją pewnym krokiem i wyszedł przez drugie drzwi. Nikt za nim nie krzyknął, nikt go nie zawrócił. Znalazł się na niewielkim podwórku gospodarczym, z jednej strony ogrodzonym wałem Gorczem, z dwóch ścianami budynków mieszkalnych, z czwartej - spichrza. Tam ruszył Doron. Prześlizgnął się przez lekko uchylone drzwi. Chwilę stał w bezruchu, nasłuchując, ale nic go nie zaniepokoiło. Skoczył w bok, ku prowadzącej na piętro drabinie. Wspiął się szybko, zobaczył dziesiątki worków z mąką, poustawianych w równe rzędy jeden obok drugiego.

Wtem drzwi spichrza skrzypnęły. Do środka wszedł strażnik, ten chyba, którego Doron widział wcześniej.

- Hej! - krzyknął. - Kto tu!?

Doron stał nieruchomo, podobny raczej do rzeźbionej w pniaku figury niż człowieka. Skrzypiąca podłoga zdradziłaby każde poruszenie. Musiał więc trwać w bezruchu, obserwując strażnika i licząc, że ten nie spojrzy w górę.

Spojrzał.

W momencie, w którym otworzył do krzyku usta, Doron już spadał na niego z wysokości pięciu sążni. Strażnik wyrzucił w górę włócznię, ale Doron minął o włos żądliwą śmierć i uderzył w żołnierza, przewracając go. Zdławiony okrzyk przeszedł w charkot. Upadając na klepisko, strażnik puścił włócznię. Uderzenie oszołomiło na chwilę i jego, i Dorona. Liść oprzytomniał pierwszy, prawą ręką wyciągnął z pochwy nóż, lewą chwycił przybocznego za gardło. Pchnął. Przez chwilę jakby tulił drgające w przedśmiertnych skurczach ciało, potem ułożył martwego żołnierza na klepisku.

Doron poderwał się, nasłuchując. Cisza. Chyba nikt nie słyszał walki. Czy strażnik komuś powiedział, że idzie

na obchód? Jeśli tak, to zaczną go szukać. Zresztą ktoś tu może przyjść w każdej chwili.

Dźwignął ciało żołnierza, wniósł je po drabinie na górę, cisnął na worki mąki. Sam zeskoczył na dół, ściągniętą z głowy zabitego futrzaną czapką starł plamę krwi z polepy. Jeśli ktoś będzie się wpatrywał w to miejsce, to dostrzeże świeżą rudą plamę. Jeśli nie...

Znów wdrapał się na górę i łażąc po workach, znalazł miejsce blisko ściany spichrza. Do tej kryjówki przeniósł ciało strażnika, po czym usiadł obok. Teraz ponad worki wystawała tylko głowa



Dorona, nie miał sposobności dobrze wyprostować nóg. Ale gdyby przyszła potrzeba, na pewno mógłby się skulić tak, że nawet ktoś stojący na piętrze, obok drabiny, nie zdołałby go dostrzec.

Martwy żołnierz, jedyny towarzysz oczekiwania, zdawał się uśmiechać. Doron nie wiedział, czy to dobry, czy zły znak.

Było wystarczająco jasno, by uważny strażnik dostrzegł go na dziedzińcu. Lecz dostatecznie ciemno, by opłacało się ryzykować.

Swoje ubranie zwinął w kłębek i wcisnął pod worki z ziarnem, sam przebrał się w strój przybocznego. Wielu strzegących bana wojowników nosiło karoggi, więc mógł odwinąć Pięść Gaju ze skór. Poczul w dłoni ciepło drzewca, łagodne pulsowanie przenikające ciało, tętniące we krwi. Przez ramię przewiesił sakwę, w niej czekał na swój czas zwój cienkiej, mocnej liny.

Umrzeć, by potem zabić...

Wyszedł ze spichrza. Wsparty plecami o ścianę budynku, bacznie obserwował teren. Dostrzegł dwóch strażników na baszcie nad bramą i kilku innych, powoli wędrujących po wale. Ogień zatkniętych na murze pochodni wydobywał z mroku ich szare cienie. Jeśli będzie szedł cicho, to mogą go nie zobaczyć. A nawet gdy zauważą, to nie powinien wzbudzić ich podejrzeń - mógł być zmiennikiem, posłańcem czy wreszcie załatwiać jakieś swoje sprawy. Kłopoty zaczną się, gdy dojdzie do dworzyszca bana. Szedł jednak wprost ku drzwiom i stojącym na

warcie dwóm wojownikom. Trwali współuśpieni, ale gdy usłyszeli jego kroki, obudzili się zaraz.

- Stój.

Wyciągnął zza pasa buławę, podetknął im pod nos. Znak, że może wejść do bana o dowolnej porze dnia i nocy, a każdy przyboczny słuchać ma jego rozkazów. Przed tą buławą giąć się musieli wojewodowie i komesi.

- Wybacz, wielmożny - mruknął strażnik, kłaniając się nisko. Drugi szarpnął zasuwę w drzwiach, pchnął je lekko, by Doron mógł wejść do środka.

W sporej sali na stojących pod ścianą ławach spało kilku niewolników, w każdej chwili gotowych poderwać się do służby. Trzy kaganki ledwie rozjaśniały panujący w iz-'bie mrok.

Doron przeszedł przez pomieszczenie. Żaden z rabów nie podniósł nawet głowy; spali mocno, a obudzić ich mogły tylko wrzaski pełniącego służbę podczaszego. W jego komnacie, znacznie mniejszej niż pierwsza, stała tylko ława i dwa twarde stołki. Podczaszy trzymał w ręku dzbanek piwa. Gdy zobaczył wchodzącego Dorona, poderwał się ze stołka, gwałtownie odstawił naczynie.

- Co tu robisz?

Doron pokazał znak. Podczaszy spojrział na buławę, potem na twarz Liścia. Jego ręce drżały.

- Zaprowadź mnie do jego dostojności - powiedział Doron.

Podczaszy drgnął. Widać było, że myśli, że przypomina sobie twarz i głos, że zaraz, być może, odkryje prawdę.

- Prowadź! -powtórzył Doron.

Podczaszy bezwolnie ruszył ku drzwiom. Zrobił krok, dwa, nagle odwrócił się ku Doronowi, krew uderzyła na jego policzki.

- Liść... - wyszeptał tylko. Nie zdążył rzec ni słowa więcej, karogga weszła w jego brzuch, dłoń zacisnęła się na ustach. Doron pchnął ciało podczaszego pod ścianę. Otworzył drzwi wiodące w głąb dworu. Powoli zaczął iść po schodach.

Karogę przewiesił przez ramię, w prawej dłoni trzymał buławę, lewą sięgnął do niewielkiego, przypiętego do pasa woreczka. Nabrał pełną garść proszku, zacisnął palce.

Wyciągnął w górę rękę z buławą, jego głowa wychynęła już ponad kwadrat wejścia na piętro. Duży pokój. Drzwi. Przy nich sześciu wojowników. Czterech następnych już pochyła nad schodami włócznie. I dwóch jeszcze pod ścianą. Razem dwunastu.

Krok w górę. Stoi na równi z nimi.

Ostrza dotknęły jego piersi.

- Ktoś ty? - wyciągają mu buławę z ręki.

Jeszcze raz obrzucił wzrokiem całą komnatę. Troje drzwi. Jedne wiodą do wieży, drugie do zewnętrznych schodów. Trzecie do komnaty bana. Tam jest władca. Sam.

- Kim jesteś?! - Ostrza napierają na kaftan.

- Jam jest liść. Brat Drzew. - Powoli zsuwa karogę z ramienia. Poznają, odstepują pół kroku. Wystarczająco daleko.

Wyrzucił przed siebie lewą rękę, otwierając przy tym dłoń. Skoczył do tyłu, jego karogga przemknęła ponad włócznią, przecięła szyję. Kilku żołnierzy już padało na kolana w obłoku śmiertelnego proszku, chwyciło się za gardło, krztusząc się i kaszląc.

Pozostali ruszyli w jego stronę. Zakręcił karogga. Najbliższemu rozchlastał twarz. Comął się dwa kroki krzycząc:

- Jam Liść!

- Żywego! Żywego!

Bali się. Jego śmierć to śmierć bana. Jego życie... Runął do przodu. Odciął wyciągającą się ku niemu dłoń, kopniakiem odrzucił następnego wojownika. Pochylił się, zyskując trochę swobody. Teraz już wiedział, że da radę. Tamci też to pojęli. Nie zatrzymają go, a zabić nie mogą. Próbowali zastawić wejście do komnaty bana, a jeden skoczył ku prowadzącym na dach drzwiom. Liść nie mógł już go dopaść.

Powalił strażników przy drzwiach. Otworzył je gwałtownie.

Ban stał w rogu komnaty. W białej długiej koszuli, skulony, przerażony, w niczym nie przypominał objawiającego się ludowi srogiego władcy. W rękach trzymał

drewnianą belkę, której nie zdążył już wsadzić w skobel. Teraz zrobił to Doron. Za oknem słychać było nawoływania żołnierzy, dudnienie bębnow alarmowych, tupot, krzyki. Zanim się zbiorą i postanowią, co robić, minie chwila. Wystarczająco długa chwila...

- Dlaczego kazałeś go zabić?! - Liść zbliżył się do ba-na. Penge Afra stał niczym porażony. Dorona to zaskoczyło. Władca był wojownikiem, teraz zachowywał się jak za-strachany niewolnik. Doron przerzucił sakwę z pleców na brzuch. Wyciągnął linę.

- Zabiję cię - powiedział powoli. - Dlaczego kazałeś go zamordować?

Ban jęknął. Zamrugał oczami, przez jego twarz przebiegł skurcz, dłonie mocniej przylgnęły do ściany.

- Mogę cię zabić - powtórzył Doron. - Tak, by przepowiednia się spełniła. I dopełnię wróżdy. Umrę ja, a ty w chwilę po mnie.

Wymyślił to wiele dni temu, olśnienie przyszło nagle, podczas poobiedniej drzemki. Wiedział, jak zabić bana i umrzeć wcześniej. Po to przyniósł linę.

Tupot na schodach. Trzeba się spieszyć.

O, tak. Trzeba...

Okno banowej komnaty wychodziło wprost na wybrukowany kamienną kostką dziedziniec. Gdyby kogoś przez nie wypchnąć... Albo inaczej. Związać się z tym drugim liną. A potem skoczyć... Samemu uderzyć o bruk, lec tam na dole ze zmiażdżoną głową i strzaskaną piersią. A w chwilę później spadnie ban. Pociągnięty w dół liną, runie na dziedziniec, by spotkać się z Czarną Różą w chwilę po Doronie. Tak, jak mówiła wróżba.

Liść wyciągnął linę. Był już o trzy kroki od Penge Afry. Ban jęknął, opadł na kolana, spojrzał w

twarz Liścia..

- Panie wielmożny, to nie ja... Wybacz... Daruj... Doron już zamierzał się do ciosu. Penge Afra skulił się,

zasłonił twarz ramionami.

Krzyki za drzwiami, tupot, pierwsze uderzenie w dębowe deski. Wrzask.

- To nie ja! Ja jestem...! - zaczął Penge Afra, a uniesiona karogga Liścia zamarła w pół ruchu. Doron popa-

trzył na klęczącego przed nim mężczyznę, nie wierząc własnym oczom. Teraz, gdy ujrzał tę twarz z bliska, gdy -chcąc zadać ból - przyjrzał się jej uważnie, poznał. Człowiek u jego stóp to nie był Penge Afra, władca i pan Leśnych Gór.

- Ktoś ty?!

- Ja... zastępca jego wysokości, sobowtór, panie, daruj mi, nie zabijaj...

- Gdzie Penge Afra?

- Nie wiem - wychrypiał mężczyzna. - Nie wiem!

- Kiedy wyjechał?

Pierwsze uderzenie w drzwi, jeszcze lekkie, sprawdzające siłę zamka.

- Wczoraj, wczorajszego wieczora.

- Do kiedy?

- Nie wiem, wielmożny Penge Afra wraca, kiedy chce, a wtedy.;

- Co wtedy z tobą?

- Wywożą mnie gdzieś, nie wiem gdzie, głowę mam w worku. Wokół las, dom pilnie strzeżony...

Łupnęło. Drzwi zatrzeszczały, ale jeszcze wytrzymały napór. Następne uderzenie rozniesie je w drzazgi. Nie! Wytrzymały dla niego, Dorona. Jakby chciały dać mu jeszcze chwilę. Odwrócił się ku sobowtórowi bana, gdy zobaczył, jak przez poręcz balkonu gramoli się jeden z przybocznych.

Doron skoczył ku oknu, zepchnął wojownika, który z krzykiem runął na bruk. W tej chwili pękły drzwi. Żołnierze wpadli do komnaty. Mieli pałki i sznur. Nie chcieli go zabić, lecz mogli pojmać. Musiał uciekać. Tylko że na dole też czekali przyboczni. "Ważnie rozciągali sieci.

Zabrakło już czasu na rozmyślania. Wsunął karogę do pochwy na plecach. Wszedł na wąską balustradę balkonu. Zachwiał się, ale zdołał utrzymać równowagę.

- Stać! Bo skoczę! - krzyknął do zbliżających się wojowników. Zyskał chwilę. Wystarczającą, by skoczyć w górę. Chwycił dłońmi drewniany gont dachu. Podciągnął się i stanął na śliskiej, stromej płaszczyźnie.

Strzała śmignęła koło głowy Liścia. Musiał ją wypuścić

jakiś młodzik, zaraz też z dołu dobiegły wściekłe krzyki i wymyślania. Wciąż był nietykalny.

Na czworaka wspiął się na szczyt dachu. Od ściany domu do krawędzi wału brakowało może sześciu sążni. Skoczył.

Sięgnął blanków. Wstał zaraz, ściągając z pleców ka-rogę. Lecz przybocznych było zbyt wielu. Wahał się przez chwilę - po jednej stronie wału znajdowały się domy i plac, po drugiej urwisko i rzeka.

Woda.

Zdjął sakwę, zrzucił hełm, nie miał już czasu na ściągnięcie kurtki. Zobaczył jeszcze, jak tamci rozciągają sieć, po czym skoczył.

Leciał.

Powietrze warczało w uszach, cały świat koziółkował, jakaś dziwna słabość ogarnęła ciało. Leciał, zawieszony w pustej przestrzeni, bez zbawczego oparcia Ziemi Rodzicielki, bez jej siły żywotnej przenikającej całe ciało. W krótkiej chwili tego lotu poczuł moc Powietrza - obcą, może nie wrogą, lecz odmienną, niepojętą... Siłę wielką, choć uśpioną.

A potem uderzenie i chłód wody. I znów to dziwne oszołomienie, choć tym razem w pełni je rozumiał, bo przecież nie raz kąpał się w jeziorach i rzekach. W krótkim błysku jasności pojął, że obcość wody jest uczuciem tego samego rodzaju co wrogość powietrza, choć oba te żywioły nie mają nic ze sobą wspólnego.

Lecz to trwało tylko chwilę. Mozolnie wydobywał się na powierzchnię. Dopłynął do brzegu rzeki, gdy spod Gor-czem ruszyły pierwsze obsadzone przez żołnierzy łodzie. Lecz tu już zaczynała się puszcza, którą Doron mógł dojść do swojej kryjówki. W lesie żaden wojownik nie potrafi schwytać Liścia, Brata Drzew.

Ogień trzaskał wesoło, ale oni siedzieli pochmurni i zamyśleni. Magwer po raz pierwszy widział Liścia zdenerwowanego. Doron miotał się po obozowisku, nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca. W rękę trzymał bukłak, z którego co chwila popijał gorzałkę.

Nie udało się! Przeklęty ban, przeklęta noc, przeklęta rzeka! Wszystko przemyślał, wszystko rozważył - dopełnić miał wróżdy i nie złamać przepowiedni. Nie udało się.

Lecz przecież to nie jego wina. Ban wyjechał. Opuścił gród bez przybocznych, ci wszak zostali w twierdzy. Kto trzymał straż u jego boku? Dlaczego ten wyjazd odbył się w takiej tajemnicy? Czyżby Penge Afra tak bardzo bał się zemsty Dorona, że wolał uniknąć? A może ban knuł coś, może śmierć Liścia i ten wyjazd miały ze sobą coś wspólnego. Jeśli zabójcy są tajną strażą władcy, to gdzie Penge Afra trzyma ich na co dzień, kto ich szkoli, skąd bierze ludzi do tego oddziału?

Pytania, wciąż nowe pytania. Tak pięknie wszystko potrafił wytłumaczyć Magwerpwi, objaśnić różne wątpliwości młodzieńca. Czemu teraz tak łatwo nie znajdował odpowiedzi, on, którego umysł wszystko ogarniał w lot.

Był zmęczony, zdziwiony i zły.

Lecz wiedział, że jeszcze dopadnie Penge Afrę. Wymyślił jednak i inny sposób niż wypchnięcie go przez okno. Teraz przyda się Magwer.

Chłopak też nie mógł usnąć. Leżał nieruchomo, patrząc na przewracającego się z boku na bok Liścia. Z zaciekawieniem wysłuchał opowieści o wydarzeniach w Gorczem, ale nie przygody Dorona tak nim wstrząsnęły. Po stokroć mocniejsze wrażenie wywarła wiadomość, że Penge Afra, opuszczając potajemnie Daborę, zostawia w zamku swego sobowtóra. Z początku Magwer nie mógł zrozumieć, co tak bardzo intryguje go w tym fakcie.

Potem, gdy wraz z Liściem napił się nieco wódki, w jego głowie pojawiło się jakieś niepokojące przeczucie. Nie potrafił sobie tego uświadomić do końca, tak jak czasem nie mógł przypomnieć sobie jakiegoś słowa - nazwy czy imienia - choć wiedział, że je zna, że jest tylko zawieszony w zakamarkach jego pamięci.

Dalej pił gorzałkę razem z Liściem. I choć ruchy stały się chybotałe, choć po zamknięciu oczu świat zdawał się wirować w szaleńczym tańcu, myśli Magwera nabierały ostrości. Jakby wódka zdzierła z jego pamięci kolejne zasłony, ułatwiając dojście do sedna tkwiącej w głowie tajem-

nicy. Czuł to wyraźnie z każdym łykiem - tak, jak ciepło rozchodzące się po żołądku. Wreszcie samogon się skończył, a Magwer pozostał na granicy snu i jawy, ni pijany, ni trzeźwy, pelen niewiedzy, lecz bliski już zrozumienia.

Kiedy na chwilę otworzył powieki, przeczucia zniknęły. Znow musiał zbierać je mozolnie, nizać niczym szklane koraliki na źdźbło trawy. W końcu usnął. Śnił mu się mężczyzna w lektyce. Magwer już wiedział, kogo przypominał mu tamten spotkany przypadkowo na ulicy człowiek. Td był Ostry.

## 13. Egzekucja

Ludzkie głowy zdawały się tworzyć kobierzec, pokrywający cały plac. Boczными uliczkami wciąż napływali nowi widzowie, upychając tłum. Jeszcze rankiem całe niebo pokrywały chmury. Lecz wiatr przegnał je, rozpędził, wyrrywając w szarym sklepieniu poszarpane szczeliny. Przez nie właśnie przedzierały się ku Rodzicielce promienie słoneczne, jasnymi snopami łącząc Ziemię z Niebem. Dachy otaczających plac domów pełne były ludzi, dziesiątki głów wychylały się z okien, dzieciaki obsiadły wszystkie drzewa. Zaś na środku, niczym wyspa z wodnej topieli, wystawał kwadratowy pomost z grubych bali, ku któremu wiodły długie schody. Na nich stały dwie skrzyżowane belki.

Żołnierze otaczali szafot poczwórnym kordonem, obstawili też wiodące ku brzegowi placu przejście, dzielące tłum na dwie części. Tym szpalerem nadejdą skazańcy.

Na pomoście już czekali kaci. Wysocy, barczyści, każdy z wylupionym lewym okiem i spiłowanymi w ostre szpice zębami. Rozpalili na środku pomostu małe ognisko, raz po raz dorzucali do niego różne substancje. Dym, który wąskim, acz dziwnie spokojnym jak na tak wietrzną pogodę strumykiem ciekł w górę, co chwila zmieniał barwę - od czarnej, przez zieloną i czerwoną, po białą.

Dawało się poznać, że są mistrzami w swym fachu. Szybko rozstawili wszystkie maszyny i narzędzia. Ćwieki do wbijania w ciało i kamienne młoty. Cęgi do wyrwania zębów i paznokci, szczypce do wyciągania języka, łyżki do

wydlubowania oczu. Garnuszki z jadami do zadawania bólu, z proszkami zmieniającymi kształty, syropami strachu. I wiele innych narzędzi, znanych w Daborze i takich, jakich tu jeszcze nigdy nie widziano.

Każdy ruch katów śledziły tysiące oczu. Co i raz ponad tłumem wzbierał jakiś pomruk - niecierpliwości, niechęci, wściekłości... Postać Szepczącego rosła w opowieściach, czyny wielokrotniały, mądrość potężniała. Strasznie tak stać i czekać na jego śmierć. Zabiją go, tutaj, razem ze sługami - najlepszymi pośród najlepszych. O, Czarna Ró-žo, jakżeś ty okrutna, że wzywasz ich i jego! O, Ziemi, ty wiesz przecież o radości, nadziei i oczekiwaniu, jakie dawali oni Twym dzieciom, czemu więc ich ukarałaś, czemu ukarałaś nas wszystkich? I szloch ten, wzmagany napięciem i oczekiwaniem, narastał w ludziach, sprawiał, że zęby zaciskały się bezwiednie, a palce zamykały w pięści. Magwer wraz z Doronem siedzieli na najniższym konarze rozłożystego klonu, rosnącego na Rynku Sędziów. Widok stąd mieli dobry, tak na pomost, jak i na cały plac. Widzieli napływające tłumy, jednookich katów, stróżujących wojowników. I oni też, jako jedni z pierwszych, usłyszeli dochodzący od strony Gorczem jęk świstawek i bicie bębenków. Woły ciągnęły wóz z więźniami. Na półnagich ciałach skazańców znać było męki, jakie przeszli. Jednak tylko dwaj zdawali się być poharatani mocniej, widocznie od nich kaci chcieli wydobyć jakieś zeznania. Pozostałych obito i wymęczono dla zasady, a wprawiali się pewnie na nich katowscy czeladnicy. Prawdziwy kunszt objawić się miał dopiero tu, na placu.

Wóz obstawiali wojownicy uzbrojeni w karoggi. Zwykle skazańców prowadzili grodowi, tym razem

wojewoda uznał, że sprawa jest większej wagi. Żołnierze kroczyli dumnie, jakby tą pewnością przeciwstawić się mieli nienawistnemu tłumowi. Tłumowi jak nigdy poruszonemu widokiem skazańców. I choć to ciekawość i pragnienie widowiska przygnały na plac tak wielu daborczyków, niejeden zaciskał pięści i klął pod nosem, widząc umęczonych pomocników Ostrego.

Magwer rozpoznał Wagrana. Więc reszta zginęła albo

umknęła banowym ludziom, tam, w lesie. I jedno, i drugie po stokroć lepsze od tego, co czeka skazańców. Ostrego nie było na wozie. Jego przywiodą później, gdy lud nasyci swe nozdrza zapachem krwi, uszy krzykiem, oczy męką. Wtedy dopiero zacznie się prawdziwe widowisko, a kaci popiszą się swą zręcznością. Pokażą, jak silnym stworzeniem jest człowiek, ile bólu może wytrzymać, jak niewielka część ciała potrzebna jest mu do tego, by żył. Już niedługo.

Wiatr pchał chmury, zamykał i otwierał podniebne okna, strugi światła padały na ziemię, to znów znikały, ucięte szarym cieniem.

Wciągnęli na podest pierwszego skazańca. Rozkrzyżowali go. Potem otworzyli brzuch i wepchnęli w środek wiecheć słomy, namoczony wcześniej w jakimś wywarze.

Z początku wił się i krzyczał, potem zemdlał, ale ocucili go szybko. Już nie otwierał ust. Patrzył przed siebie pustym wzrokiem, jakby w ogóle nic nie czuł. Znow zamknęli mu brzuch, spięli skórę trzema ościanymi zatyczkami. Na chwilę przerwali pracę, by ludzie dokładnie mogli przyjrzeć się skazańcowi. Młody był, ładny, o mocnych ramionach i silnych nogach. Podobał się pewnie kobietom. Jeden z katów podniósł w górę pochodnię. Płonęła dziwnym ogniem - nie rozwichrzoną przez wiatr garścią płomieni, a żółtą kulą otaczającą głównię. Kat podszedł do krzyża, przytknął pochodnię do głowy ofiary, coś szepnął, odskoczył gwałtownie.

Mężczyzna krzyknął. Rozpięte na krzyżu ciało sprężyło się w przeraźliwym skurczu i nagle zapłonęło jak pochodnia ogniem, co zdawał się wychodzić z wnętrza skazańca. Paliło się szybko, zwęglając całe, a żaden, najmniejszy nawet płomyk nie przeskoczył na drewno krzyża. Wiatr szybko przegnał popiół i smród spalenizny.

Jakaś kobieta zaczęła krzyczeć.

Wzięli następnego. Musieli go sami wciągnąć na podest, tak słaby był i wymęczony torturami.

- Niiieee! — krzyczała kobieta. - To mój syn!

Sąsiedzi usiłowali ją uciszyć, bo grodowi już ruszyli się ze swych miejsc.

- Śmierć! Śmierć! - rozległy się pohukiwania. Jakiś szepot przeszedł przez tłum, ale zgasł szybko, gdy grodowi dopadli i stłukli pałkami kilku krzykaczy.

Stojący w otoczeniu przybocznych ban dał znak, by przyspieszyć ceremonię. Oprawcy zwawiej



skoczyli do roboty. Z trzeciego jeńca zdarli skórę, wylupili go niczym ślimaka ze skorupy. Rozciągnięty na krzyżu, wisiał bezwładnie - przerażający czerwony kształt, żywe ciało, mięśnie ściągające się w bolesnych podrygach, biel łysej czaszki, dziwnie wielkie oczy bez powiek, zęby nie osłonięte wargami. Wyglądał jak głębiec, co wychodzi z bagna, by pożreć dzieci. Lecz widok jego po stokroć był straszniejszy, bo wszak w miejscu potwora wszyscy niedawno widzieli człowieka. Nie wiadomo, jak długo żyłby jeszcze w tym stanie, gdyby nie roztrzaskano mu głowy dużym młotem.

Tłum zawył, z tysięcy gardeł wydarł się wrzask. Lecz dobry słuchacz wyczułby w tym dźwięku coś więcej niż wzrastającą ciekawość i podniecenie. Nowy rytm wdarł się w te głosy. Zgrozy, gniewu i rozpacz.

Przez ciało czwartego przepuścili szczura, piątego poćwiartowali. Deski pomostu śliskie już były od krwi, a kaci zmęczeni pracą. A wszak najważniejsze ciągle jeszcze przed nimi. Zabiją dwóch ostatnich, którzy zostali na wozie, a potem wezmą się za Ostrego.

Szóstego przez dłuższą chwilę okadzali dymem ze swego ogniska. Potem odstąpili. Tłum zamilkł. Mężczyzna stał oniemiały, patrząc to na zgromadzonych ludzi, to na swych oprawców i nie pojmował, co się dzieje. Kaci też trwali w bezruchu, bacznie obserwując jego twarz. Z początku ludzie, szczególnie ci stojący dalej, niczego nie dostrzegli. Lecz zaraz jęk grozy przeszedł po bliższych szeregach.

Oto twarz skazańca zaczęła się zmieniać. Usta powiększały się, jakby rozcinane niewidzialnym nożem. Zaczęły wypadać zęby.

Lecz po stokroć straszniej wyglądały oczy - rosące jak nadmuchiwany rybi pęcherz. Powiększały się tęczęwki i źrenice, białko zmętniało, a gałki oczne wciąż puchły,

wypełzając z czaszki niczym żywe stworzenia. W końcu obwisły pod własnym ciężarem - dwie banie zasłaniające nos, czoło, całą twarz.

Czyjś rozpaczliwy szloch podniósł się ponad tłum. Takiej magii dawno w Daborze nie widziano. Co Ostremu zgotują oltomarscy oprawcy? Płacz dzieci zlał się w jedno z oszalałym wyciem kobiety, szlochem, okrzykami wznoszonymi co i raz w tłumie.

Wielkie jak bochny chleba oczy pękły, rozbryzgując krew i białą maź daleko poza kordon nieruchomych wojowników. Tłum zafalował, odsuwając się od pomostu. Klęli ściskani i gnieceni, jakaś kobieta przewróciła się i teraz nie mogąc wstać pod naporem ludzi, wrzeszczała przerażona. Poszły w ruch pałki strażników, tłum w jednym miejscu odsunął się od grodowych, w innym napał z impetem na szereg żołnierzy.

Lecz oto już zagrały trąby. Pachołkowie ściągnęli z szafotu ciała zabitych, wiadrami wody zmywali krew z desek. Kaci odsunęli się na bok, na pomoście został dowódca garnizonu grodowych. Dwóch towarzyszących mu doboszy uderzyło w bębny.

- Z wyroku Wielebnego Penge Afry, pana Gorczem, pana Leśnych Gór, sługi Trzech Ptaków, za pozwoleniem Czarnej Pani, Wielkiej Matki Miasta Os, na śmierć skazany został buntownik zwany Oстрыm.

Tłum zaszumiał. W swych rozkazach Penge Afra rzadko wspominał o Gnieździe, nie chcąc przyznać, że choć jest władcą wszystkiego, co żyje w Leśnych Górach, to sam musi składać pokłon paniom Zewnętrznego Kręgu. Że Pierścień Mchu służy obcym, nie swoim. Teraz to powiedział, jakby chciał *zakpić* z ludzi, którzy przyszli na Plac Sędziów. O tak, przekłeta Gwardia, mordercy dzieci, bezecnicy nieczyści, z kształtu tylko do ludzi podobni. Przekłęci, niech będą przekłęci! Pomruk znów wezbrał ponad tłum, lecz ucichł szybko, zgaszony przez trombity. Na rynek wwieziono Ostrego.

Miał związane ręce. Stał, lecz każde szarpnięcie wozu omal go nie przewracało. Na głowę wciśnięto mu worek, czy to ze strachu przed urokiem, czy też dla większego

pohańbienia. Bo człowiek powinien przed śmiercią pożegnać się ze światem i pozwolić światu pożegnać siebie. A jakże można się żegnać, mając zakrytą twarz? Woły wolno ciągnęły wóz pośród tłumu, który umilkł nagle, zamierając w oczekiwaniu.

Magwer mocniej pochylił się do przodu, wpatrując się w Ostrego.

Dalekie granie rogów i trombit poniosło się po ulicach Dabory, złamało w wąskich uliczkach, dotarło aż tutaj, na plac, żalosne, powolne. Dźwięk niesiony przez wiatr urwał się raptownie.

Zapadła taka cisza, że słyhać było skrzypienie kół wozu. Woły stanęły przy pomocy.

- Ostry! Pamiętam! - mocny głos dobiegł z rogu placu. Natychmiast rzuciło się w tamtą stronę kilku grodowych, ale w gęstym tłumie nie mogli ująć śmiałka.

Mężczyzna na wozie drgnął. Poruszył głową, jakby chciał spojrzeć tam, skąd przyszedł głos, jakby to przyjazne zawołanie dodało mu otuchy.

Ludzie zrozumieli.

- Ostry! Pamiętam! - podchwycił ktoś, potem jeszcze kilka głosów wykrzyczało te słowa. Mniej odważni tylko wylili i gwizdali. Pałki grodowych spadły na głowy, kilka osób wywleczono z tłumu i za plecami wpatrzonych w pomost ludzi obito i skopano.

Jeden z katów zeskoczył z rusztowania, pomógł Ostremu zgramolić się z wozu, wejść na szafot. Teraz dopiero zobaczyli, jak umęczony jest Szepczący. Nogi uginały się pod nim przy każdym kroku. Kat musiał objąć skazańca i podeprzeć ramieniem.

- Krew! Twoja! Nasza! - zawołał ktoś, wkrótce wiele gardeł wykrzykiwało te słowa.

- Krew! Twoja! Nasza!

Grodowi i żołnierze wbili się w ludzkie mrowisko, chcąc dotrzeć do krzykaczy, ale ludzie zaciskali szyki, a rozstępowali się jedynie przed siłą: popychani, klucy włóczniami i tłuczeni pałkami. Niczym stado roślinożer-ców rozcinane wilczą ławą.

Kat zdarł z Ostrego koszulę.

- Krew! Twoja! Nasza!

Czarne ślady wypalone na piersi. Plecy pocięte krwawymi pręgami.

- Krew! Twoja! Nasza! Dłonie bez palców.

- Krew! Twoja! Zmiażdżone łokcie.

- Krew! Twoja!

To już było. To za nim. Teraz, przed nim, nowe.

Okrzyków coraz więcej, są głośniejsze, pomruk wzbiera ponad tłum, gniewny, rozpaczliwy, pożegnalny.

Kat odwiązał sznurek ściągający worek na szyi Ostrego.

- Krew!

Worek zdjęty jednym szarpnięciem.

- Krew!

I twarz okaleczona. Straszna.

- Krew!

Magwer pochylił się do przodu. Mocniej zacisnął dłonie na gałęzi. Jęknął cicho. Doron spojrzał na niego zdziwiony.

- Co?

- Tb... to... - Magwer wciąż wpatrywał się w szafot. -O, Ziemia...

- Co?!

- Krew! Krew! Powlekli go do krzyża.

- Krew!

- O, Ziemi! - powtórzył Magwer.

Nagle, na dole, tuż przy szafocie zakotłowało się. Tb grodowi zbyt głęboko weszli w tłum, wpychając część ludzi na szereg żołnierzy. Wojownicy bana sięgnęli po pałki i karoggi. Ludzie usiłowali się cofnąć, ale tam wciąż napierali grodowi.

- Krew! Krew!

I stało się, że jeden z żołnierzy zbyt mocno uderzył syna Tol Suutariego, szewca z podgórza. Chłopak padł na ziemię bez czucia.

- Przeklęty! - Suutari chwycił wojownika, wrywając mu broń z ręki.

Żołnierze runęli w tłum.

- Krew!

A gdy ciżba zagroziła im drogę, gdy zobaczyli, że Su-utari umknie, zaczęli bić ludzi. Jęk i tumult.

- Krew! Śmierć!

Tłum zafalował. Dziesiątki rąk wyciągnęły się ku żołnierzom. Nieuzbrojone dłonie chwyciły wojowników, szarpały ich stroje i ciała. Zagrzmiały bębny, zaświstały gwizdki dziesiętników. Wojownicy bana starali się prze-formować, ale ich linia pękła pod naporem tłumu. Przewracani, deptani, rozszarpywani i miażdżeni, bronili się dzielnie, kładąc wrogów pokotem. Ale żołnierzy było na placu za mało.

Ryk tłumu, jęk zabijanych, nawoływania dziesiętników. Kobiety krzyczały przerażone, dzieci płakały, ale tych głosów nie sposób było odróżnić pośród ogólnego wrzasku.

Kaci zostawili przypiętego do krzyża Ostrego, chcąc uciec, ale nie zdołali przedrzeć się przez tłum. Ludzie rozdarli ich na strzępy.

Cofający się żołnierze zostali wypchnięci już prawie poza plac. Stawiające opór grupki rozbijano i wyrzynano bez litości.

Magwer patrzył na przywiązanego do krzyża mężczyznę. Widział jego krew, spalone ciało, zmęczoną i okaleczoną twarz. Strasznie wyglądał ten człowiek.

Lud mordował teraz w jego imieniu, przeklinając i bana, i Gwardię, i Miasto Os.

Magwer siedział nieruchomo, z otwartymi szeroko oczami, a jego wargi poruszały się lekko.

- Tb nie jest Ostry!

## 14. Pierwszy szturm

Tłum wlał się na ulice Dabory, porywając ze sobą wszystkich, którzy stanęli na jego drodze. Mężczyźni zbroili się pospiesznie - wyłamywali deski z drzwi, chwyтали kije, podnosili z ziemi kamienie.

Szli Krzemiennym i Wełnianym Traktem, wzdłuż domów joparzy i koleśników, przeciskali się zaułkami, bramami; hałaśliwie, bez opamiętania.

Gdyby tłum nikogo nie spotkał na swej drodze, pewnie opadłby jego żywioł, zagaśł pęd. Wściekłość, co jak przegrzane mleko wykypiała z ludzi, opadłaby równie szybko. Ciżba rozproszyłaby się na grupki, ścigające pojedynczych grodowych. Tak by się zapewne stało, gdyby żołnierze czmychnęli do Gorczem. Ale oni, wypchnięci z placu pierwszym porywem, szybko doszli do siebie i zaczęli porządkować szyki.

I cięli wyciągające się ku nim ręce, wykrzykujące przekleństwa twarze, nie osłonięte żadną zbroją piersi. Choć sami umierali, gnieceni ludzką masą, zasypywani gradem kamieni, okładani tysiącami ciosów, to jednak za śmierć każdego banowego żołnierza buntownicy musieli zapłacić po wielokroć duszami. Ranni i zabici padali na ziemię, lała się krew, jęk aż palił uszy.

Lecz cierpienie, bliskie i wszechobecne, nie przerażało ludzi. To ono dawało im siłę, potęgowało wściekłość i nienawiść. Już nie za tego wspaniałego Szepczącego, legendę, co szczeznąć miała na szafocie, a za swoich bliskich,

krewniaków, sąsiadów, towarzyszy, ba, obcych ludzi, koło których stało się na placu.

Więc jak czerw pokryli banowych wojowników - szarpali i gnięli. Potem parli dalej w poszukiwaniu żeru, zostawiając za sobą krwawe gniazda.

Przemieszczali się ulicami Dabory, w morderczej gonitwie zmierzając ku Przedgrodziu. Z zaułków wynurzały się grupki i duże oddziały, krwawe, obdarte, rozkrzyczane, z rękami upačkanymi ziemią i ludzkim ciałem, włosami lepkiemi od potu, oczami błyszczącymi jak krzemień. Płynęli ulicami, starzy i młodzi, kupcy i rolnicy, drwale i żebracy, kobiety i dzieci. I psy, biegnące za ludźmi i ludzkim mięsem. Dotarli do Przedgrodzia.

Pierwsze szeregi zatrzymały się, następne fale popychały je do przodu, ale ludzie szli niechętnie, niemrawo, choć mieli przed sobą wolną przestrzeń. Tłum gęstniał. Krzyk zmienił się w szum, jazgot w gwar, w szmer, w ciszę. Oto oni, lud Dabory i Leśnych Gór, stanęli naprzeciwko Gorczem, warowni swego pana i władcy, z rękoma zbrukanymi krwią jego żołnierzy.

Na wałach twierdzy widać było dziesiątki głów - Gorczem zapełnić się musiało uciekającymi z

miasta wojownikami i grodowymi. Teraz, już bezpieczni, obserwowali tłum. Przetrawiali atak pierwszej furii, mogli czekać, aż lud się uspokoi. Tylko od mądrości bana zależało, kiedy ludzie rozejdą się do domów. Trzeba będzie ukarać przywódców, reszcie łaskawie wybaczyć. Zdarzały się czasem podobne wybuchy, nie tak wielkie jak ten i nigdy w stolicy. Tłumiono je bez trudu - krwawo, ale łaskawie, by lud jednocześnie czuł i strach, i wdzięczność.

O tym wszystkim myśleli żołnierze, czekając na rozkazy. Z koszar w Żółwiowej Dolinie już pewnie szedł ku Gorczem liczący pięćset głów korpus. Drugie tyle żołnierzy bezpiecznie siedziało za wałami Gorczem, trzecie zbierze się jeszcze w mieście. Ta wystarczająca siła, by porazić strachem tak wielki nawet tłum kmieci i niewolników. Zresztą cóż może łączyć tych ludzi tam na dole -

biednych i bogatych, wolnych i rabów. Porwani falą uderzyli razem, ale tak jak przewalająca tamę woda, mogli się tylko rozpląnąć w kałużę, niegroźną i spokojną.

Żołnierze nie zwrócili więc uwagi na pierwsze głosy, które wzniosły się ponad tłum. Lecz zawołanie to spotężniało zaraz, wykrzykiwane przez setki gardeł. Dłonie zacisnęły się w pięści, stopy zaczęły wytupywać rytm:

- Daj nam Szerszeni! Daj nam Szerszeni! Daj Szerszeni!

- Ostry był zdrajcą - głos Dorona zabrzmiał twardo. Była w nim pewność.

Siedzieli we dwóch przy małym ognisku, jednym z setek drżących płomyczków pokrywających całe Przedgro-dzie. Jeszcze w południe, wykorzystując bezruch zamkniętych w twierdzy wojowników, ludzie rozebrali most. Teraz już nie musieli obawiać się nagłego wypadu żołnierzy. Zaczęto też zaprowadzać porządek. Zorganizowano strażę. Pojawili się pierwsi dowódcy - najczęściej starsi poszczególnych klanów, rodów czy cechów.

- Wiem, panie - szepnął Magwer.

- To układanka. Jak drewniane klocki. Postaw jeden za drugim i pchnij pierwszy. Przewrócą się wszystkie. Wyjmij choć jeden i nic się nie stanie.

- Pierwsza kostka to dzień, w którym zobaczyłem sobowtóra Ostrego?

- Widziałeś wtedy Ostrego - Doron pokręcił głową -i on cię zobaczył. Przestraszył się. Był przebrany, ale mogłeś go rozpoznać. Musiał coś z tym zrobić. Przysłał do ciebie Rodama...

- Dlaczego jego?

- Nie wiem. Może i z nim miał na pieńku. Może dlatego, żeby odwrócić twoją uwagę.

Magwer rozłożył się na ziemi. Ciągnęło chłodem, ale nie zwracał na to uwagi. Myśli tłoczyły się w jego czaszce - wspomnienia, obrazy, wydarzenia na pozór oddalone i niezależne od siebie, a jednak

powiązane, nanizane na jedną nić jak gliniane korale.

Ostry, używając magii, zmusił Rodama do przyjścia. O tym mówił list wysłany przez pijanego przyjaciela.

Magwer zabił go. O, Ziemi, zamordował! Nie musiał się o to winić" - czyż mógł wtedy przypuszczać, że ktoś rozpina wokół niego sieci, zastawia pułapki. A jednak czuł na wargach krew Rodama, poznał smak jego ciała. Pokuta. Czeka go długa pokuta. Nie teraz jednak, później.

Nie bez powodu Ostry wyznaczył ten sposób zabicia Rodama. Kiedy Magwer wszedł w umysł psa, Ostry zaatakował jego pamięć. Wiedział, że łatwiej opanuje człowieka, którego duch opuścił ciało. Magwer pamiętał trzecią istotę, której ślad wtedy wyczuł. To był Ostry. Szepczący nie zdołał opanować umysłu Magwera, narzucić mu swej woli, zmienić w bezmyślnego, wykonującego rozkazy niewolnika, tak jak wcześniej Rodama. Zatarł jednak w pamięci chłopaka wspomnienie tamtego spotkania. Potem uznał, że nie jest to wystarczające zabezpieczenie. Miał rację. Wszak i Rodam, wypełniający wolę Ostrego, buntował się nieświadomie przeciw temu rabstwu. Pił niezwykle dla siebie ilości gorzałki, bo gdzieś w głębi spętanego rozumu czuł, że tylko tak może się uwolnić od narzuconej obcej woli. Zdołał napisać list, próbował coś mówić. Lecz Magwer, jakże się za to teraz przeklinał, nie słuchał Rodama. Za to przytapiał przyjaciela w zimnej wodzie, wyrrywając z władzy gorzałki, a wpędzając w niewolę rozkazów Ostrego. Tak więc Szepczący postanowił pozbyć się Magwera. Zorganizował widowisko - ludziom na postrach, a swoim uczniom ku przestrodze.

Przypadkowo natknął się na nich oddział żołnierzy. Schwytali Szepczącego i kilku jego ludzi. Magwer zbiegł.

Przez cały czas czuł, że wie coś dziwnego, tak jak Rodam, który pił wódkę. Lecz nie potrafił nazwać swych przywidzeń i niepokoju. Najpierw pomógł mu powrotnik - cofając chłopaka w czasie, oczyścił pamięć, przeciął część sznurów, którymi spętał ją Ostry. Potem Doron opowiedział o sobowtórce bana. Magwer przyjął tę wiadomość, a jego umysł pracował nad nią uparcie, układał w mozaice dawnych przeżyć i doświadczeń. A kiedy jeszcze chłopak upił się, pamięć, tak jak u Rodama, powróciła. Przypomniawszy sobie, kogo widział w lektyce.

Gdy zaś zobaczył, że na Placu Morderców nie Ostrego

stawiają na szafot, zrozumiał wszystko. Ban ani myślał pozbywać się swojego człowieka. Bunt na pewno pokrzyżował plany władcy. Ile jednak do tej pory mógł się ban dowiedzieć od Szepczącego - zdrajcy? Wszak Ostry należał do trójki - obok Białego Pazura i Kłaj-tag a - najszlachetniejszych pielgrzymów. Znał na pewno wszystkie tajemnice Szepczących: kryjówki, miejsca spotkań, imiona pomagających im ludzi. Wszystko.

Pozostawało jedno pytanie.

Czym ban mógł kupić Szepczącego?

Szybko zgrupowano pierwsze dziesiątki i setki. Dabor-czycy łączyli się z daborczykami, drwale z drwalami, rolnicy z rolnikami. Wyznaczali dziesiątników i setników, szykowali oręż i wojenne proporce.

Następnego dnia jakieś trzy tysiące ludzi stało już pod bronią w jako takim porządku. Nie było jeszcze wodza, choć wielu zwracało się ku Ka-onrowi, słynnemu szermierzowi, głowie dużego drwalskiego klanu. Mniej chętnym okiem patrzyli na to przywództwo daborscy mieszcianie, szczególnie bogatsi. Ci zresztą w ogóle już ostygli. Dawali darmo jeść stojącym wokół Gorczem oddziałom, a i dostarczyli sporo broni. Sami jednak zaczęli szeptać między sobą, że źle się stało, iż krew popłynęła ulicami Daborcy. Zнали siłę banowego wojska i uważali, że buntowników może spotkać jedynie śmierć.

Kiedy nadszedł ranek, zmarznięci i senni ludzie skłonni byli słuchać tych narzekań. Minał dzień gniewu, przeszła noc pieśni i wspomnień; zaczął się dzień nowy - strachu i niepewności. Wkrótce jednak dwie wieści gruchnęły po szeregach. Pierwsza, że jeszcze przed południem spodziewać się można w Daborze Białego Pazura wraz z wojownikami i że podporządkują mu się wszyscy setnicy. Biały Pazur zawsze działał inaczej niż Ostry czy Kłaj-tag. Był wojownikiem. Druga plotka mówiła, że Biały Pazur wcale nie wystąpi przeciw banowi. Będzie gotów ukorzyć się przed Penge Afrą, przyjmując jego władzę. Ale ban musi wydać gwardzistów, zebrać swe wojsko i ruszyć ku Kręgowi, by pokonać siedzące tam oddziały Gniazda. Na powrót zawładnąć świętym miejscem.

Ludzie odetchnęli z ulgą.

Wystarczył im już ten jeden dzień walki, nie wiedzieć z kim i pod czyją komendą. Teraz wszystko stało się jasne. Oni - słudzy bana, wojują dla niego - bana. To nic, że władca wciąż tego nie pojmuje. Wszak on, pan ich, to kość ludu, oni zaś są ciałem. A czymże jest kość bez ciała lub ciało bez kości - nie człowiekiem przecież. Skoro sami to pojęli, to i ban, wszak mądrzejszy od prostaków, wszystko zrozumie. O tak! Niech wyda Szerszeni, na pal pona-sadza ich głowy, a potem pradawnym obyczajem wystrzeli płonące strzały i wezwie do wojny. Niech powiedzie ku Pierścieniowi, świętemu miejscu, którym od pokoleń władają parszywi słudzy Gniazda. Oni, lud Daborcy, czekają na to. Już podzielili się w dziesiątki i seciny, już uzbroili. Przyłączą się po drodze leśni ludzie, przyciągną oddziały z mniejszych twierdz, powstanie potężna armia. Wytrzebią obcych najeźdźców, popędzą na zachód, ku Gniazdu, odnowią magiczne obrzędy. A potem... Wyobrażali sobie, jak padają gwardyjskie oddziały i łamią się armie Gniazda. Widzieli potężną bitwę, wielkie zwycięstwo, kto wie, może i marsz ku Miastu. Może i utracenie władzy Matek. Może i łupy - przeogromne bogactwo Miasta Os, o którym opowiadano legendy.

Do tych zwycięstw miał swych ludzi poprowadzić ban. Więc zaczęli szykować doń posłańców. Żołnierzy i grodowych, których co i raz chwymano w mieście, nie zarzynano już jak pierwej. Opadła wszak pierwsza złość, a i budził się rozum. Niech ban zobaczy, jak wierne ma sługi, jak rozumny lud. Nastąpił wybuch, to prawda, ale i spokojna rzeka też czasem podnosi swe wody. Lecz teraz lud nie



krwi wzywa, a pokoju i ręki władczej, ojcowskiej. Żołnierze i grodowi staną się wszak wkrótce współtwórcami wielkiego zwycięstwa. Ich włócznie, pałki i maczugi będą zabijać wrogów.

Spędzono więc wszystkich jeńców w jedno miejsce, dano im jeść, pić, opatrzono rany. Porządek w obozie był tak wielki, taka zapanowała radość po porannych wieściach,

takie uniesienie, że nawet przybocznych, powszechnie wszak znienawidzonych za okrucieństwo i przywileje, pozdrawiali ludzie przyjaznymi okrzykami.

Szło ku przedpołudniu, gdy wybrano trzech posłańców. Najstarszy - mistrz koleśniczy Bar-toj, po nim drwal Kadd zwany Grzywą, wreszcie najmłodszy, jasnowłosy Ko-onn, którego dwóch braci padło we wczorajszym boju. Pismo do bana ułożono i przepisano pięknie na białym papierze, najlepszym, jaki w swych magazynach miał kupiec Org Arde.

Przodem popędzono oddawanych banowi jeńców. Za nimi, niosąc wierzbowe gałązki, poszło trzech posłów. Brama Gorczem otworzyła się, by przyjąć wszystkich, i z hukiem zamknęła za ich plecami.

Biały Pazur przybył wcześniej, niż się go spodziewano. Trombity zagrały na Bramie Zachodniej, odpowiedziały im inne, przy wale wszczął się tumult. Ten szum dotarł na Przedgrodzie. Wychodzących spomiędzy domów ludzi Białego Pazura witał szpaler mężczyzn.

Szepczący był wysoki i barczysty. Lata odcisnęły piętno na pokrytej zmarszczkami i szramami twarzy. Siwe, rzadkie włosy ścięte miał krótko, brodę przystrzyżoną na wysokości piersi. Ubrany w łosiowe spodnie i lnianą koszulę, na nogach nosił wysokie buty, wyszywane kolorowymi nićmi. Jego miano pochodziło od broni, jaką się posługiwał. Lekko wypukłe deszczułtri, przywiązane rzemieniami, chroniły całe przedramiona Szepczącego, u nasady dłoni zwężały się, przechodząc w ostre szpice. Ich zewnętrzną powierzchnię nabito krzemiennymi odłamkami. Pomalowane zostały na białło. Nikt prócz najbliższych pomocników nie wiedział, co kryje się pod łupkami - ludzkie dłonie czy kikuty rąk. Na szyi mężczyzny wisiały amulety i kaptorgi z ziołami. Wiek dał Białemu Pazurovi doświadczenie i sławę, nie odebrał mu jednak sprężystości kroku, pewności ruchów, lśnienia oczu. Spodobał się ludziom od razu.

Za Białym Pazurem szło jego ośmiu towarzyszy, któ-

rych imiona także słynne były w Leśnych Górach. Kroczyli teraz za Szepczącym, posępni i milczący, rozglądając się po tłumie, budząc jednocześnie strach i podziw.

Oldoar Łysy - wielki jak góra, bez brwi i rzęs, bez jednego włosa na lśniącej czaszce, uzbrojony w potężny młot. Dwóch łuczników - Alghoj Sokół i Ozyn - szli obok siebie podobni niczym bracia, choć nie połączeni żadnym pokrewieństwem. Twarze uzbrojonych w karoggi Grega Niedźwiedzia, Usatnika i Tomtona były osłonięte wiklinowymi maskami, których nigdy ponoć nie zdejmowali. Karzeł Niegrodaj prowadził trzy bojowe psy. Niewiele wyższy od swych zwierząt, miał prawie że normalnej długości nogi, krótki tors i małą głowę. Ostatni kroczył Garłaj Jednooki, Jego twarz została kiedyś straszliwie oszpecona przez ogień. W lewy oczodół, z którego od żaru wypłynęło oko,

wsadził sobie pomalowany na żółto kamień. Mało kto mógł patrzeć na Garłaja bez lęku.

Biały Pazur skierował się wprost ku namiotowi, przed którym stali setnicy. Ko-onrow wyszedł naprzeciw. Kiedy byli o trzy kroki od siebie, zatrzymali się. Ko-onrow pochylił głowę, cisnął swą karogę pod nogi Szepczącego.

- Witaj, panie.

- Witaj.

- Oddaję ci moją karogę na znak, że przyjmuję twoje dowództwo. Ja i wszyscy setnicy, a ich postawił tu lud

Dabory.

- Biorę te słowa - głos Białego Pazura brzmiał twardo. - I przyjmuję was wszystkich - zwrócił się do otacza-: jących go ludzi. Odpowiedział mu radosny krzyk wydarty z wielu naraz gardeł. Poleciały w górę czapki, wzniosły się ręce. Teraz gotowi byli walczyć. Gdy ujrzeli tego słynnego wojownika i jego straszliwych towarzyszy, pojęli, że stali się teraz czymś więcej niż kupą uzbrojonych mieszczuchów i chłopów.

Pośród tego tumultu nikt nie zwrócił uwagi na pojedyncze głosy, na ludzi, którzy nie ku Pazurowi patrzyli, a ku Gorczem. Co chwila ktoś nowy spoglądał na gród i okrzyk radości gasł na jego wargach. Na twarzy pojawiała się napięcie i oczekiwanie.

W końcu i Biały Pazur zwrócił się ku Gorczem, a wraz z nim wszyscy zebrani na Przedgrodziu ludzie. Na wałach coś się działo, pojawiały się sylwetki strażników.

Ponad częstokół wysunięto trzy długie żerdzie. Na tyki nadziano trzy głowy. Głowy powstańców.

Okrzyk, co jeszcze przed chwilą był radosny, teraz zmienił się w gniewne zawodzenie. Ban zabił posłów, ban odrzucił prośbę swego ludu, ban złamał przymierze ze swym ludem! Wściekłość i gniew rozpały ludzi, zapomnieli o strachu, o pozostawionych domach i rodzinach.

Fala poruszyła się i po chwili już sunęła na Gorczem. Na zniszczony wcześniej most, ku cumującym na rzece barkom i łódkom, na zachodni cypel.

- Krew! Krew!

- Śmierć! Śmierć! Tłum ruszył do szturmu.

Nie wiedzieć skąd pojawiły się drabiny. Większość okazała się za krótka, jednak kilka sięgnęło drugiego brzegu fosy i po nich, jak po moście, biegli ku podnóżu twierdzy uzbrojeni mężczyźni. Nieśli następne drabiny i belki obciosane w wąskie stopnie, tyczki i liny zakończone hakami.

Druga grupa, wykorzystując ocalałe części mostu, atakowała bramę. Nie najlepiej im to szło, bo z drewnianej konstrukcji pozostały tylko wystające z wody pale.

Trzeci oddział przeprowadzał się przez fosę na łódkach i tratwach, cumujących zwykle w zakolu rzeki. Także i oni zaczęli już stawiać drabiny.

Wszystko to trwało nie dłużej niż pościg psa za zającem. Ludzkie mrowie spłynęło ku wałowi Gorczem, oblepiło jego podnoże i rozpoczęło wędrówkę ku twierdzy. Oprzytomnieli jednak. Z dala widać było, jak gęstnieją szeregi obrońców, jak łuki wysuwają się zza blanków, jak błyskają w słońcu krzemienne ostrza włóczni i toporów.

Ludzie krzyczeli i klęli. Musieli stawiać drabiny na wąskim pasie nierównej, stromej skały dzielącej wał Gorczem od fosy. Drabiny, których zresztą brakowało, chyba-tały się, wiele z nich nie sięgało na odpowiednią wyso-

kość. Na głowy oblegającym sypnęły się kamienie i belki. A tu już zaczęli szyc łucznicy bana. Drabiny pękały z trzaskiem, odpychane przez obrońców. Pierwsze ciała chlupnęły w wodę fosy.

Nie lepiej szło tym na moście. Przytargawszy dwie belki, walili nimi w skrzydło bramy. Ale czy to ludzi nie starczyło, czy brama za mocna - drzwi nie drgnęły nawet. Za to na głowy atakujących runął grad kamieni, płonących snopków siana, strzał. Daborczycy cofnęli się więc od bramy, zostawiając wiele trupów. Zaraz wrócili jednak, znów uderzając we wrota taranami. Chyba zabrakło obrońcom kamieni, bo przestali nimi ciskać, za to gęściej śmigać zaczęły w dół czarnopióre strzały. Krzyk i jęk zabitych zlał się w jedno echo z wrzaskiem nacierających. Ale wkrótce znów musieli odstąpić, zabierając rannych. Nieprzygotowany atak tłumu napotkał spokojną i pewną odprawę żołnierzy. Choć Daborczycy pięli się po ścianach jak pająki, to i odpadali od nich jak owady trącone ręką człowieka. Kamienie trzaskały o czaszki, strzały przebijały gardła, kości pękały przy upadkach, fosa szybko pochłaniała tych, co do niej runęli.

Opadł pierwszy zapal, minęła krwawa ochota. Odstąpili od wału ścigani gwizdami obrońców i strzałami, kąsającymi odsłonięte plecy. Wracali pobici i markotni, ale rozgorączkowni, podnieceni pierwszą walką. Zmęczeni, ale pragnący pomsty. Prawie ich sześćdziesięciu padło w tym pierwszym boju.

## 15. Obóz wojskowy

- Nie znają potęgi Gniazda - Doron pokręcił głową. - Jak oni mało wiedzą...

- Widzieli gwardzistów, słyszeli opowieści swych matek, czują potęgę siedzących w Kręgu żołnierzy.

- Nic nie wiedzą! Nic! Tb wyście im opowiadali te bajdy dla dzieci i głupców. Miasto Os to siła, to władza Czarnej Pani i Matek, przy których i moja moc przestaje być wielka. To Łowca Ziemi zwożący do Kręgu Zewnętrznego ciało Ziemi Rodzicielki ze wszystkich krain. W czasie połogu ich kobiety sypią sobie pod plecy tę ziemię. Dzięki temu dzieci otrzymują błogosławieństwo wielu Kręgów. Miasto Os to tysiące rabów wiernych swym panom do śmierci, tysiące jeńców z Marke-Dib i Szernenów kujących krzemień w kopalniach. Widziałeś siedemdziesięciu gwardzistów. Trzykroć więcej siedzi w Kręgu Mchu, w Pierścieniu odebranych nam przed wiekami. I tylu wystarczy, by go bronić. W Gnieździe jest ich jeszcze więcej, a i to nie wszyscy. Ilu waruje w stanicach na przełęczach Marke-Dib, w leśnych warowniach, ilu strzeże granicy z Oltomarem? A wszystko to lud wojenny, nad inne mocniejszy. Kto im się przeciwstawi, kto?! Ta zbieranina chłopów i rzemieślników? Kraj stanie w ogniu, wiele krwi spłynie na mech, mnóstwo ciał złączy się z Rodzicielką. Popatrz tylko na nich - Doron omiół ręką ogniska położone na brzegu rzeki. - Czy ty też wierzysz w te głupstwa, które opowiadałeś ludziom? Że niby Gniazdo naje-

chało Leśne Góry, że pogwałciło rozejm, zaskoczyło niewinnych.

- Tak uczył Ostry.

- Kłamał. To nasi dziadowie najechali Ziemi Os. Wtedy Czarna Pani nie była jeszcze tak potężna, władała tylko ziemiami Zewnętrznego Kręgu i Marke-Dib.

- Skąd to wiesz, panie?

- Drzewa mi powiedziały. Nie wszystko... wszystkiego dowiem się, gdy umrę, gdy moje kości połączą się z korzeniami drzew, ciało z Ziemią Rodzicielką, a oczy zamienią się w kamienie. Poznałem tylko część prawdy, usłyszałem niektóre strofy wiekowej opowieści. Drzewa wiedzą wiele, rozumem trudno to objąć.

I Leśnymi Górąmi władały kiedyś Matki. Równe były paniom Miasta Os, uosabiały Rodzicielkę zaklętą w Kręgu Mchu. Między obydwoma krainami trwało przymierze.

Lecz stało się coś strasznego. Nie umiałem zrozumieć tego, co mówią drzewa, one same, jakby związane przysięgą milczenia, nie potrafiły albo nie chciały mi tego wyjaśnić. Dość, że Matki Leśnych Gór zerwały pokój. Wojska wdarły się w głąb Ziemi Os. Żył wtedy wielu wojowników zrodzonych na Rodzicielce z obu Kręgów.

Stoczono wiele krwawych bitew, przy których ten bunt jest tylko małą potyczką. Z początku Gorczem wzięło górę. Nasi żołnierze, niczym strzała wypchnięta z łuku, wbili się w głąb Ziemi Os. Ponoć ich przednie straże widziały nawet Gniazdo. Tysiące niewolnych pognano na zachód.

A potem los się odwrócił. Tego właśnie nie mogłem pojąć. Słyszałem tylko imię, jakie drzewa Świętego Gaju nadały innemu drzewu, potężnemu i równemu im swą mocą. Drzewo o Tysiącu Oczach. Tak je nazwały, a ja nie pojmuję, co to imię oznacza. Bo nic więcej z rozmów mych braci nie potrafiłem odczytać. Coś dziwnego się wtedy działo, coś, czego drzewa się bały, co je

niepokoilo. Bały się! One, wszechpotężne i prawicze dzieci Rodzicielki!

Gniazdo zaczęło wygrywać bitwę za bitwą, wypchnęło najeźdźców poza graniczne bagna. Najstraszniejsze starcie rozegrało się właśnie na moczarach dzielących obie

krainy. Szerszenie przekroczyli Rzekę Pstrągów i parli dalej, w sam środek Leśnych Gór. Zawładnęli Kręgiem, a Matki Leśnych Gór zginęły. Najeźdźcy nie zatrzymali się, szybko podbili cały kraj. Dziwnie szybko. Władcy Gorczem złożyli im hołdy, przyrzekli tłumić bunty, składać daninę i pokłon. Ocalili dzięki temu wiele ludzkich żywotów, także Gorczem i Uwegnę, uratowali kunszt Mistrzów Szkła. Lecz oddali kraj w niewolę. Miasto Os nie potrafiłoby podbić Leśnych Gór bez krwawego wojskowego wysiłku. To banowie nałożyli na nasze głowy jarzmo. Miasto Os tylko na to czekało.

Ludzie napływali całymi gromadami. Wychodzili z lasu ścigani jeszcze niedawno banici, zbóje i rzezimieszki. Szukając możliwości odkupienia przewin czy też łatwego w wojennym czasie zysku, złożyli hołd Białemu Pazurowi. Szepczący przyjął ich poddaństwo i darował dawne grzechy. Zbóje i łotrzyki, silni, wprawni w boju, przyzwyczajeni do zabijania, mogli pokaźnie wzmocnić siły powstańców. Ciągnęli też pod znaki Białego Pazura chłopci i drwale, szczególnie biedota, ci, którzy niewiele mogli stracić, a wiele zyskać. Przynosili dowody swej gorliwości - osadzone na kijach głowy poborców i schwytych w lesie żołnierzy.

Pierwszego dnia wybuchło w Daborze kilka pożarów, dokonano paru mordów i rabunków. Biały Pazur szybko zaprowadził ład. Sformowano oddziały porządkowe, a schwytych złodziei karano surowo - po torturach nabijano na pale.

Przede wszystkim należało teraz uzbroić i przygotować wojsko. Liczne groźby wisiały nad powstańcami. Pierwszą było Gorczem. W zamku czekało wszak pięć setek wojowników, w tym gwardziści. Każda udana wycieczka z Gorczem spowodować mogła duże straty, a przede wszystkim wywołać wśród buntowników panikę. Gród obstawiono dokładnie, zablokowano dochodzące doń uliczki, tak by w razie nagłego wypadu starczyło czasu na zorganizowanie oporu. Kolejne niebezpieczeństwo stanowiła Gwardia.

Oddział pilnujący Kręgu liczył dwie setki świetnych wojowników, a na każdego z nich przypadało jeszcze po kilku niewolnych. Szerszenie, choć nieliczni w porównaniu z daborczykami, stanowili pokaźną siłę. W otwartym terenie zwarte, sprawnie dowodzone zgrupowanie gwardzistów potrafiło przełamać szyk wielokroć liczniejszej armii. A jeśli jeszcze na tyły tej armii spadliby wojownicy z Gorczem...

Na razie jednak Gwardia stacjonowała daleko od Daborzy. Inny za to topór zawisł nad szyjami buntowników. Nyilbork, komes z Uchaty, mógł w krótkim czasie zgromadzić dwa tysiące ludzi. Jeśli dołączyliby doń komesi z najbliższych stanic, a powstanie nie rozniosłoby się na całe Leśne Góry, to wkrótce mogłaby powstać armia zdolna zdławić bunt już na samym jego początku.

Szepczący uwzględnił te zagrożenia w swoich planach i dobrze sobie radził z kierowaniem taką masą

ludzi. Po-przydzielał zadania najlepszym z wybranych wcześniej setników. Kazał obstawić Gorczem, by zabezpieczyć miasto przed wycieczkami obłożonych żołnierzy. Wysłał patrole do lasu, by wylapywali niedobitków banowych ludzi, obstawił ważniejsze ścieżki i rozdroża. Wyznaczeni przez niego powstańcy mieli za zadanie odciąć Krąg od wieści z Daborzy, ścigać, zatrzymywać, a jeśli trzeba - zabijać wszystkich, którzy usiłowałiby wędrować na wschód lub ku siedzibom komesów. Nie wiadomo było, kiedy do namiestników bana dotrą wieści z Gorczem, choć należało przypuszczać, że Penge Afra porozysłał już gołębnie z rozkazami. Nikt też nie mógł przewidzieć, jak zachowają się wojewodowie. Czy wystąpią przeciw buntownikom, czy może zechcą przyłączyć się do walki z Szerszeniami?

Rozpoczęły się też przygotowania do szturm. Joparze, kuśnierze i szczytnicy pracowali całymi dniami i nocami, nie śpiąc prawie. Wiele lnianek i płatnych paciorków trafiło do rzemieślniczych skarbców. Swoje zarobili też tulni-cy, szlifierze grotów, krawcy i szewcy. W czasie, gdy mężczyźni pełnili służbę lub pracowali w warsztatach, młodzi chłopcy klecili kładki, pomosty i drabiny.

Drwale i cieśle ruszyli w puszcę, by wybrać i ściąć

drzewa na maszyny oblężnicze. Padały więc niebosiężne chojary, a ludzie korowali je, ociosywali z gałęzi i nadawali pożądany kształt. Wieże rosły szybko, koślawe trochę, krzywe, ale wysokie i mocne, obłożone skórą, które zostaną przed bitwą polaną wodą, z długim pomostem, mającym ponad fosą oprzeć się o wał Gorczem.

Gromadzono też żywność. Wykarmienie takiej masy ludzi wymagało dużych zapasów, a dwa największe w Daborze spichrze znajdowały się w obrębie twierdzy. Ceny mąki szybko poszły w górę, choć Biały Pazur ścigał zbyt zachłannych kupców.

O tym wszystkim szeptano przy ogniskach, tego dotyczyły wykrzykiwane na placach rozkazy Pazura. Tymczasem drwale i cieśle zakończyli budowę wież i taranów.

Na wałach nie działo się nic ciekawego. Cały czas stali na nich banowi wojacy - niektórzy bezmyślnie gapili się na Daborę, inni obrzucali wyzwiskami co i raz podbiegających do fosy ludzi. Jeszcze rankiem trup gęsto słał się na Przedgrodziu. Biały Pazur kazał zasypywać fosę. Na wałach Gorczem pojawiło się natychmiast kilkudziesięciu łuczników. Strzelali celnie, kładąc trupem lub raniąc mnóstwo ludzi. Widząc straty i rosnące zniechęcenie, Pazur wycofał swoich. Wrzaski i wyzwiska sypnęły się z Gorczem zamiast strzał, łucznicy zesli z wałów pozostawiając na nich tylko strażników. Powstańcy, co na cześć swego wodza nazywać się zaczęli Białymi, chcąc pokazać, że nie są gorsi, zaczęli podkradać się pod fosę i obrzucać obelgami przybocznych. I tak trwało od południa to pokrzykiwanie, zabawa przyjemna, acz niebezpieczna, boć przecież i ci wychyleni zza blanków, i jeszcze prędzej ci na dole mogli stać się łatwym łupem jakiegoś wprawnego łucznika. Obie strony przestrzegały jednak reguł dziwnego zawieszenia broni. Biali nie próbowali sypać nic do fosy, ludzie bana pochowali łuki. Przekrzykiwali się tylko nawzajem, przeklinając siebie, swoich przodków i potomków, wróżąc przeciwnikom rychłą i paskudną śmierć.

Doron posiedział trochę na Przedgrodziu, przysłuchując się tym kłótniom, i postanowił wrócić do

domu. Wstał, podniósł z ziemi płaszcz. Na plecach zawiesił zawiniętą

w owczą skórę karogę. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na Gorczem, ruszył ku Zachodniej Bramie. Nie zauważył dwóch mężczyzn, którzy poszli w ślad za nim.

Zmierzchało.

Wiatr sennie kołysał gałęziami drzew, było ciepło, ale już od kilku dni zbierało się na deszcz.

Doron szedł powoli ulicą. Senność ogarniała jego umysł, marzył tylko o misce gorącej zupy i ciepłym posłaniu. O ile jednak to drugie czekało nań na pewno, to z pierwszym mogły być kłopoty. Już wczoraj zaczęły się problemy z kupnem żywności. Żołnierze Pazura przejęli spichrze bana, oddziały straży wybierały nawet ziarno z prywatnych komór. Trzeba wszak było dać jeść tym czterem tysiącom mężczyzn służącym nowemu panu. Pół biedy, gdy chodziło o daborczyków lub mieszkańców okolicznych osad. Ale przybysze z dalekich stron zdani byli tylko na wojskowe zaopatrzenie.

Ceny mięsa i mąki natychmiast poszły w górę, a i tak brakowało dobrego towaru. Ludzie korzystali jeszcze ze starych zapasów, ale Doron wiedział, że te nie starczą na długo, a wtedy widmo głodu zajrzy Białym w oczy. Pazur zaczął słać konwoje woih i psich zaprzęgów w głąb Leśnych Gór. Tylko że nie mógł wyprawić za miasto zbyt wielu wojowników - potrzebował ich w Daborze. A przysłowie mówi wszak, że poborca bez pałki jest jak wilk bez zębów.

Nieliczni o tej porze przechodnie mijali Dorona, spiesząc się do domów, karczm lub obozowych namiotów. Wielu mężczyzn na ramionach nosiło białe opaski.

Doron skręcił w boczną uliczkę i zatrzymał się przed niską, małą ziemianką obrośniętą trawą i bluszczem. Skrzypnęły drzwi i liść wszedł do środka.

- Kupiłeś coś? - spytał witającego go Magwera.

- Mleko. Panie, jak zobaczyłem, ile paciorków oddać będę musiał za kawałek mięsa, to jakby mi lód rękę ściał. Kupiłem mleko i trochę sera, chleb został jeszcze z wczoraj.

- Dawaj, co masz, bo zgłodniałem.

Magwer chwilę krzątał się przy piecu. Wynajęli tę izbę, bo u Gorady Magwer wolał się nie pokazywać. Postawił na stole dzban piwa, ser i miskę ciepłego mleka, w którym pływały kawałki chleba.

- Ale - powiedział Magwer - to nie wszystko. Doron spojrzał na niego z zaciekawieniem.

- Wiedziałem, że coś chowasz, szelmo, bo byś nie miał takiego uśmiechniętego pyska.

- Nasz gospodarz tak się wzruszył twoją hojnością, panie, że wygrzebał w swojej piwnicy skopek

miodu - postawił obok talerza z serem gliniany garnuszek pełen gęstego, złotego płynu.

Nie usłyszeli stuknięcia kubka o blat stołu. Tylko huk otwieranych gwałtownie drzwi.

Do izby wpadło trzech mężczyzn. Ubrani podobnie -w szare płócienne bluzy i nogawkę, na głowach mieli futrzane czapki. Ich ramiona opasane były białymi wstążkami. W dłoniach trzymali topory.

- Spokój! - krzyknął najwyższy z Białych, zrobił krok do przodu.

Doron ani myślał słuchać jego rozkazów. Poderwał się, ława huknęła o podłogę. Skoczył ku leżącej obok karog-dze. Magwer runął w bok, chwytając ze stołu krzemienisty nóż.

- Rusz się - mówił dalej wysoki. - A pożałujesz, że się urodziłeś!

- Czego chcecie? - warknął Doron.

- Rusz się, bydlaku - powtórzył wysoki - a rozbiję ci czaszkę.

- Spróbuj - Doron już miał w dłoni Pięść Gaju, powoli odwijął z niej baranią skórę. - Spróbuj.

- Dobra - odezwał się drugi z napastników. - Jeśli się wytłumaczysz, nic ci się nie stanie. Powiesz prawdę, to odejdziemy. Jak nie...

- Jaką prawdę?

- Kim jesteś? Chodzisz z bronią. Przyuważyliśmy cię. Widać, żeś wojownik. Nie przystąpiłeś do nas. Kim jesteś?

- Wolnym człowiekiem, a to rab mój.

- Może nie kłamiesz. Ale podaj swoje imię. Skąd po-

chodzisz, jak zwą twą matkę i ojca? Czego szukasz w Da-borze?

- Zbyt wiele pytań na raz.

- Biały Pazur powiedział: wśród was są zdrajcy, są ba-nowi szpicle, są sługusy Gwardii. Odszukajcie ich i wydajcie. Tak powiedział Biały Pazur. Kim jesteś, człowieku?

Magwer powoli przesunął się ku Doronowi.

- Szliśmy za tobą - powiedział wysoki. - Śledziliśmy cię już od rana. Chodzisz i podglądasz, nie sposób wytłumaczyć tego, co robisz. Więc albo sam nam to powiesz, albo cię powlecemy przed oblicze Białego Pazura. A tam ogień i mrówki wszystko z ciebie wydobędą.



- Chcecie więc wiedzieć, kim jestem? - spytał Liść powoli. Cicho.

- Tak - wysoki znów zrobił krok w stronę Dorona. Uśmiechnął się, ale był to uśmiech niczym warknięcie lisa rzucającego się na kurę.

Doron jednym ruchem zdarł skórę ze swej karoggi. Uniósł maczugę w górę. Nie pojęli od razu, ale on powiedział:

- Jam jest Liść.

Wysoki nie uwierzył. Był głupi albo przywędrował z daleka, a może zapomniał. Wziął zamach. Uderzył, lecz ostrze topora, miał rozbić głowę Dorona, rozcięło powietrze. Liść wbił karogę w pierś Białego. Mężczyzna jęknął. Puszczając topór, upadł na ziemię.

Magwer teraz dopiero ruszył do ataku. Był szybki, zawsze tak sądził, lecz Liść zdążył już zabić jednego wroga, nim on włączył się do walki.

Dwaj Biali skoczyli ku drzwiom. Zdziwienie odebrało im spokój i odwagę. Wszak wieść niosła, że Doron nie żyje. No, a mało kto ma odwagę stanąć przeciw pośmiertni-kowi. Magwer zwałił z nóg jednego, drugi padł z karkiem przebitym karogą Liścia.

- Źle się stało - powiedział Doron. - Ci ludzie nie musieli umrzeć.

- Wszak kryjesz się, panie, przed ludzkim okiem. Nikt nie wie, że żyjesz.

- Oni nie musieli umrzeć - powtórzył Doron w zamyśleniu. - Ale teraz jest już za późno. Zresztą, jeśli się nie najmiemy do wojska, co dzień ktoś będzie za nami ganiał. Trzeba odejść z Dabory.

- Do lasu? - spytał Magwer.

- Przynajmniej na kilka dni. Do lasu.

## 16. Spalenie

Słońce paliło skórę, mimo to dwaj ludzie leżeli bez ruchu. Wędrowali całą noc i teraz, gdy dotarli do swej starej kryjówki, mogli odpocząć. Zjadłszy rozmiękczone w źródlanej wodzie mięso, legli na mchu i zapadli w sen. Magwer nie pierwszy raz kładł się spać koło Dorona, ale zawsze niepokoiła go beztroska Liścia. Wszak było ich dwóch, jeden mógł stróżować, podczas gdy drugi by odpoczywał. Doron twierdził jednak, że nie potrzeba wartowników. Jeśli pojawi się jakieś niebezpieczeństwo, drzewa mu o tym powiedzą.

Rankiem, gdy tu dotarli, Doron rozłożył swój płaszcz i usnął jak zabity. Magwer pokręcił się jeszcze

chwile, ściągając pajęczyny z wnętrza ukrytego między krzakami szałas. Wszystko tu było takie, jak zostawili przed siedmioma dniami - żaden człowiek ani zwierz nie odnalazł ich kryjówek.

Magwer, od którego promienie poranka odgoniły senność, nabierał chrustu i przygotował ognisko, nabrał w bukłaki wody i postanowił upleść sidła. Kiedy jednak usiadł obok Dorona i wziął linkę do ręki, oczy zaczęły mu się znowu zamykać. Przygotował więc sobie posłanie i starając się nie myśleć o groźących im niebezpieczeństwach, zapadł w sen.

Słońce wspięło się na szczyt Góry, ruszyło ku zachodowi, a oni dalej spali. Oddychali miarowo i spokojnie.

Nagle Doron krzyknął. Magwer obudził się natychmiast. Liść krzyknął po raz drugi, a w jego głosie był ból,

żal i trwoga. Skulił się, zwinął, zagryzł wargi. Krople krwi spłynęły po brodzie.

- Panie, panie! - Magwer klęczał nad ciałem Dorona, starał się docisnąć je do ziemi, przytrzymać. - Panie! Co się...

Doron jęknął, otworzył oczy i usta, chciał coś powiedzieć, ale z jego gardła wydobył się tylko ochrypy char-kot. Leżał wyciągnięty jak cięciwa łuku, z napiętymi mięśniami, zaciśniętymi dłońmi.

- Panie!

Ciało Liścia zaczęło wiotczeć, krew odpłynęła z twarzy, palce okręciły trawę, pięty zaryły w ziemię. I znów char-kot - straszny, zwierzęcy, dziki.

- Panie!

Doron przekręcił głowę, spojrział na Magwera. Z wielkim wysiłkiem, aż stęknął, podniósł dłoń, chwycił młodzieńca za ramię. Usta ułożyły się do szeptu.

- Kaptorga.

Magwer chwycił wiszący na szyi Liścia woreczek, wysypał na dłoń garść proszku. Drugą ręką uniósł Dorona. Ale Liść pokręcił głowę, zsunął się trochę niżej i wciągnął powietrze przez nos, wdychając prawie połowę szarego pyłu. W chwilę później na twarz Liścia wróciły kolory, ustąpiła sztywność mięśni, ustało drżenie rąk, oddech się wyrównał. Doron wsparł się na łokciach i przy pomocy Magwera usiadł. Zaraz potem wstał.

- Las się pali - szepnął.

- Tutaj? - Magwer spojrział w górę. Niebo ponad konarami drzew było czyste, bez śladu dymu. - Tu nic nie ma. Chyba...

- Nie, na południowy zachód stąd - Doron przestał szeptać, jego głos nabrał zwykłej barwy. - O, Ziemi, dawno już tak nie bolało...

- Bolało?

- Drzewa płoną. Palą się ich liście i gałęzie, goreją pnie. Boli.

Doron zamilkł, a Magwer też nie odezwał się ani słowem. Słyszał wszak wcześniej opowieści o Liściu. O tym, że gdy ban daje znak i rusza wiosenne wypalanie, gdy po-

łacie puszczy giną w ogniu, podsycanym i kierowanym przez rębaczy, wtedy Liść - Brat Drzew - wije się z bólu na swoim posłaniu. Krzyk drzew miażdży wtedy jego umysł, ogień, co spopiela las pod nowe uprawy, pali od środka jego ciało. Trwa to dzień. Od świtu do świtu. Potem Doron wstaje, lecz przez cały czas wypalania chodzi ospały i gniewny, z twarzą jakby postarzałą, zmęczoną.

- To niedaleko -jęknął Doron.

- Co, panie.

- Czuję... czuję jeszcze coś. Koło Łysego Żlebu. Wiatr pcha ogień na południe, ku Zielonemu Rozlewisku.

- Duży ten pożar?

- Nie, drzewa tego nie mówią, ale chyba niezbyt wielki, boby już lament podniosły. To zły ogień, brakuje ludzkiej ręki, której by się bał i słuchał. Wolny ogień... głod-niejszy niż stado wilków w zimie. Ale czuję coś jeszcze!

- Panie!

- Raz jut musiałem.

- Co, panie?

- Słuchaj, Magwer - Doron nagle przerwał głośnie rozmyślania i zwrócił się do chłopaka: - Muszę iść. W ogniu rodzą się jego słudzy. Do tej pory dwa razy stawałem przeciw nim, a dawno już nie widziałem nikogo zesłanego przez Płomień. Muszę iść, to zły ogień, wolny ogień bez ludzkiej straży. Muszę iść. Jak chcesz, to zostań, za mną nie nadążysz.

- Pójdę, panie.

- Dobrze. To pół dnia drogi. Weź coś do jedzenia i nabierz wody do bukłaków. - Doron jęknął, złapał się dłońmi za głowę. Przez jego twarz przemknął grymas bólu. -Źle, o, Ziemi, jak boli przez ten ogień.

Magwer już krzątał się koło zapasów. Odciął kawał surowego mięsa, zapakował suchary i liście szczawiu, napełnił bukłaki.

Doron klęczał, czołem dotykając trawy, z dłońmi zagrzebanymi w ziemi.

- Nie... dam... - wychrypiał Magwer. Biegli już długo. Za długo.

Ogień był wokół nich.

Wciąż tłące się kikuty drzew, celujące wprost w zasnute dymem niebo, gorący popiół pod stopami, drżące od żaru powietrze. Huk walących się pni, trzask gałęzi, krzyk ptaków.

Doron biegł równym krokiem, jakby długi marsz zupełnie go nie zmęczył. Magwer już nie nadążał. Krzyczał, ale Doron nie słyszał jego wrzasku. Liść biegł ku sobie tylko znanemu celowi, zapatrzone w jakiś punkt pośród gorejącego lasu. Magwer przystanął, oddychał ciężko. Krzyknął raz jeszcze, nie wierząc, że zatrzyma Liścia. Doron nawet nie zwolnił. Biegł dalej, wprost ku największemu ogniowi. Tutaj las już się dopalał, tam płomienie wciąż pożerały drzewa. Jego braci.

Magwer otarł twarz ręką, rozmazując po policzku czarne smugi popiołu i potu. Jakaś siła ciągnęła Dorona w sam środek pożogi. Ze słów Liścia Magwer wywnioskował, że to siła zła, obca, której on, Liść, musi się przeciwstawić.

Magwer westchnął i ruszył za znikającym już w oddali Doronem. Kłęby dymu buchały w powietrze, ciężko było oddychać, wirujące iskry uderzały w twarz i odsłonięte ręce. Bijący od ziemi żar przenikał nawet podeszwy butów. Oczy, załzawione i zaczerwienione, prawie oślepyły. Gdzieś w oddali majaczyły plecy Liścia. Magwer biegł co sił, a serce łomotało mu tak, jakby za chwilę miało się wyrwać z piersi.

Nagle usłyszał krzyk. I drugi głos, jakby syk, skrzyp, ochryple warczenie. Wstrząsnął nim dreszcz, plecy przeszło dziwne mrowienie, niczym muśnięcie włosa cienkiego jak babie lato i gorącego jak tysiąc ognisk.

Wokół huczał ogień.

- Panie! Panie! - Magwer stał wpatrzony w kłęby dymu.

Tam już nie zdoła wejść. Żar zdawał się zapalać ubranie, popielić włosy, wytapiać oczy.

Gruchnął o ziemię płonący konar, podnosząc tuman iskier i popiołu. Gorejący płat przeleciał tuż obok twarzy Magwera. I dym, dym, kłęby dymu.

Tam już nie sposób iść. Tam tylko popiół ziemi, truchła zwierząt, kikuty drzew. Tam płonąca luna, powietrze zdolne wypalić gardło i trzewia. Nie sposób zrobić choć krok do przodu!

Ale przecież Liść poszedł. On nie zwykły człowiek, on Liść, ale poszedł! A tyś mu winien życie. Nie sposób! Nie! Tam paznokcie same odpadną od skóry, tam kamień rozpalony do białości. Tyś jego sługą, tyś druhem!

Nie sposób.

Syk głośniejszy się staje niż mlaskanie pożerającego las ognia. A jakże on temu mlaskaniu podobny. Nagle rozbrzmiewa drugi głos - bojowe zawołanie Dorona.

Magwer przytknął ramię do ust. I wszedł w dym i ogień.

Ściana żaru otworzyła się przed nim i wkrótce zamknęła za plecami. Aż sapnął ze zdziwienia. Stał na wolnym od ognia placu, otoczonym zewsząd płomieniami, jak leśna polana zielonymi drzewami. Powietrze dalej tu było gorące, dym walił w niebo. Ale zabrakło ognia, płomienie pożarły wszystko, co mogły. Tylko szary pył zalegał ziemię, gruby kożuch ze spopielonych drzew, krzaków, mchu i trawy. Pogorzelsko.

Lecz tu Magwer nie zobaczył Dorona. Za to, dziesięć może kroków od Magwera, leżał martwy łoś. Potężne zwierzę, o rogach zdolnych unieść człowieka, teraz sterczących niczym bezlistne badyle, zginęło zapewne zaduszone dymem. Martwymi, zaproszonymi oczyma patrzyło na świat.

- Panie! - krzyknął Magwer.

Nie ma go. Nie ma. Dokąd on pobiegł, po co, gdzie on jest?

Nagle chłopak dostrzegł jakiś ruch po lewej stronie, gdzie jeszcze płonęły drzewa, tam, gdzie ogień prażył najgorętszy. Cień - człowieczy, roztańczony pośród płomieni. Gdy Magwer zmrużył oczy i gdy cień nabrał ostrych kształtów, chłopak rozpoznał Dorona. Jeszcze bardziej wyteżył wzrok. I wtedy pośród ognia dostrzegł coś jeszcze. Usta chłopaka otwarły się do krzyku, ale ze ściśniętego gardła nie zdołał wydobyć się żaden dźwięk.

Naprzeciw Liścia stał ognisty stwór, dwukrotnie od

niego wyższy. Płonący człowiek. Magwer widział jego ciało, wielkie, czarne, chude, gorejące niczym pochodnia. Płomienie układały się wzdłuż rąk i nóg, ponad głową tworzyły jaskrawą czapę.

Stwór napierał na Dorona, Liść ustępował krok za krokiem, wycofywał się pomiędzy drzewa i znowu wracał na polanę, na której stał Magwer. Karogga w dłoniach Liścia zataczała kręgi, cięła płomienie otaczające stwora, lecz nie pojawił się na niej nawet ślad żaru. Na każdy zaś cios, który choćby musnął ogniste stworzenie, odpowiadało ono sykiem, gniewnym bardziej niżli bolesnym. Rozcapierzone łapska wyciągały się ku Liściowi. Każdy ruch potwora znaczyła smuga iskier, płomyki ulatujące ku gorze i zaraz gasnące lub czepiające się drzew.

Wtedy też poczuł Magwer ból. Gorąco - jakby w brzuch wepchnięto mu rozgrzany kamień - w jednej

chwili ogarnęło całe ciało. Cierpieniu towarzyszył strach. Jakaś przerażająca siła szarpnęła chłopakiem, wypełniła jego umysł dziwnymi obrazami: wizjami nieznanymi stworzeń, obcych rytuałów, okrutną wiedzą. Padł na kolana, teraz jak przez mgłę widział walczącego z potworem Liścia. Byli już prawie na środku polany, krążyli wokół siebie, zadając i przyjmując ciosy. Wypalone rany znaczyły twarz i ręce Dorona. Żółta, kipiąca posoka spływała po karogdze. To widział Magwer jak przez mgłę. Potem zaś ujrzał jeszcze coś... I zamarł w bezruchu, klęcząc z dłońmi wspartymi w gorącym popiele.

Łoś dźwignął się w górę. Szeroko rozstawił czarne kikuty nóg, zaparł się nimi, dziwnie przechylony. Skóra zwierzęcia, czarna, spieczona, odłaziła płatami, odsłaniając sparzone mięso, które jeszcze dymiło, parowało. Świeciła biała czaszka, bezwargi pysk odsłaniał żółte zęby. Jedyne zaproszone popiołem, wielkie i potężne rogi przypominały chwałę żywego zwierzęcia. Oczy łosia stały się białe, martwe - mleczone guziki bez źrenic i tęczówek patrzyły na walczących.

Magwer potrząsnął głową. To nie majak, ten potwór atakujący Dorona i ożywione nagle truchło, podniesione z ziemi tajemną siłą. Gorąco paliło język i dno oczu, falo-

wało w podbrzuszu, grzało paznokcie. Coraz większa ćma ogarniała wzrok. Magwer z trudem utrzymywał równowagę, uniesienie głowy wymagało ogromnego wysiłku.

Doron skoczył do przodu. Ciął. Jego karogga zagłębiła się w płomienie, sięgnęła czegoś twardego. Ognista łapa przejechała po głowie Liścia, ledwie zdołał jej umknąć.

Łoś podniósł łeb. Z jego przepalonego i odsłaniającego rusztowanie kręgów gardła wydobył się syk. Dźwięk niepokojąco podobny do tego, jakim krzyczał potwór, charkot przypominający nieco wężowy głos, ale dziesięciokroć głośniejszy i stokroć bardziej okrutny.

Magwer wstrząsnął głową. Chciał wstać. Podniósł jedną rękę. Stracił równowagę i zarył twarzą w popiół.

Doron uchylił się, potem wyprostował gwałtownie, wyprowadzając cios. Ale stwór to przewidział, jego ogień podniósł się na chwilę. Potwór odskoczył, ciskając w twarz Dorona garść iskier. Wybuchnęły jasnym blaskiem, zmieniły się w wiązkę ognia, niby kawał gorejącej płachty popłynęły ku Liściowi, by go oblepić i spalić. Doron jednym zamachem przeciął tę płachtę, skoczył w wyrąbaną przez siebie wyrwę.

Spomiędzy drzew, na przyzwane łosia, wychodziły zwierzęta. Bezlapy wilk - czarne mięśnie opinające żółte kości, jedynie oczy żywe w żółtej czaszce. Żbik, płonący jeszcze, choć spokojny, krocący cicho, jak to czynią koty. Dzik, nie różniący się niczym od zwykłego, gdyby nie to, że miast szabel dwa płomienie strzelały z jego pyska. I inne jeszcze zwierzęta, płonące lub spalone, martwe lub jeszcze żywe, wszystkie jednak straszne. Szły na zew łosia ku Doronowi i spaleńcowi. Magwer zrozumiał, że jeśli zdążą, to los Liścia będzie przesądzony.

Spróbował wstać. Zachwiał się, lecz utrzymał równowagę.

Zapłonął lewy rękaw kurtki Liścia. Doron krzyknął, cofnął się gwałtownie, strzepnął ręką. To nie pomogło, więc padł na ziemię, przygniatając ramię, tułowiem dusząc ogień. Spalenić skoczył w stronę człowieka. Na krótką chwilę przy tym gwałtownym ruchu przygasł jego płomień i Magwer dostrzegł olbrzymiego, czarnego, zwęglonego trupa.

Z nieba spadła sowa. Pierzaste skrzydła biły powietrze, unosząc między sobą czarną bryłę. Sowa zakołowała nad walczącymi. Całym pędem uderzyła w odsłonięte plecy Dorona. Łoś znów zasyczał. Zwierzęta odpowiedziały mu zgodnym chórem.

Magwer sięgnął po topór. Powoli szedł w stronę łosia.

O, Ziemi, jak boli.

Spalenić skoczył na tarzającego się po ziemi Dorona. Na krótką chwilę płomień zasłoniły Liścia.

Nienormalnie wygięty kark łosia kołysał się miarowo. Zwierzęta były coraz bliżej. Zaraz wyminą Magwera, a wtedy w kręgu pozostanie tylko Liść i potwór. Magwer szedł coraz szybciej.

Doron zdołał umknąć, czerwony ślad wykwitł na jego policzku, popiół oblepił wargi. Lecz gdy się podniósł, natychmiast skierował ostrze karoggi ku przeciwnikowi.

Magwer zrobił kolejny krok. Jest obok!

Syk łosia umilkł. Zwierzę zwróciło łeb ku człowiekowi, białe, martwe oczy spojrzały na Magwera, aż ten zadrżał. Żadne zwykłe stworzenie tak nie patrzy, żaden człowiek, zwierz czy ryba.

Ostatnim wysiłkiem woli, zbierając resztę sił, dźwignął topór i uderzył. Kark łosia chrupnął, kręgosłup prysnął niczym słomka. Łeb upadł na ziemię i w tej chwili zamarły w bezruchu wszystkie zwierzęta. Spalenić zatrzymał się zdziwiony, opuścił ogniste ramiona. Doron skoczył ku niemu i zanurzając prawie twarz w płomieniach, pchnął.

Straszny jęk wzbił się w niebo. I syk. I szloch. Magwer zemdlał.

## 17. Żywioty

Popiół wystygł już zupełnie, było zimno, nadciągała noc. Magwer uniósł głowę. Leżał na boku, z podkurczonymi pod brzuch nogami, z dłońmi zarytymi w pyłe. Nie miał sił, by wstać. Musiał wstać.

Jęknął i dźwignął ciało, obolałe po wczorajszym biegu i po walce ze spalenićem. Gwałtownie przekręcił się na plecy, a potem, pojękując, zaczął gramolić się na nogi. W głowie szumiało mu jak po dzbanie gorzałki, świat wydawał się wypalony i mroczny.

Czyżby to wszystko było tylko złudą, majakiem zmęczonego, rozgrzanego ciała? Ten łoś, ten stwór, te zwierzęta? Majak?

Ale przecież...

Tam jest Doron. Leży w bezruchu, więc trzeba do niego podejść. O, Ziemi, jak ciężko stawiać stopy.

Rozłożył ramiona. Przypomniwał sobie skoczków spacerujących po rozpiętej między drzewami linie, których widział kiedyś w Daborze. Nie trudniej im chyba niż jemu teraz.

Ruszył, a stopy grzęzły w popiele, tumany pyłu wzbijały się spod nóg, przesłaniając wszystko wokół. Dotarł wreszcie do leżącego ciała, pochylił się nad nim. Twarz Dorona była czerwona, spieczona, włosy na czole wypalone, tak jak brwi i broda. Tylko zieleń liścia na policzku zdawała się być czysta jak barwa świeżej wiosennej trawy.

Żył.

Magwer odetchnął, podniósł głowę. I wtedy zobaczył rogi łośa sterczące z ziemi.

Nagi Doron leżał w bezruchu. Na całym ciele widać było małe ranki i oparzenia, wargi miał spieczone, oczy przekrwione. Magwer powoli i dokładnie wcierał w jego skórę maść z ziół i niedźwiedziego sadła.

Pod wieczór, zebrawszy nieco sił, Doron zaczął mówić.

- Cztery są siły, które władają światem, cztery żywioły tworzą jego całość, z nich składa się wszystko, co jest, było i będzie. Ziemia, powietrze, woda i ogień. Ludzie nie znają ich imion, choć postrzegają ich istnienie, sami im służą i biorą na służbę. Lecz mało kto pamięta o prapo-czątku i czterech praprzyczynach rzeczy.

Człowiek jest dzieckiem Ziemi. *To* moc Rodzicielki objęła we władanie znaczną część świata. To z jej kości narodziły się drzewa, których bratem jest człowiek. Ludzie znają jej moc, dobroć i błogosławieństwo. Dlatego też składają jej pokłon, dlatego czczą Kręgi. Siła Ziemi przenosi się na ludzi zrodzonych na kamieniach Pierścieni, jej moc wykorzystują Matki i Łowcy, i ja także. Wielu myśli, że nie ma innych mocy, odmiennych światów. Są ślepi i głusi, bo nie dostrzegają tego, co tuż koło nich. Lecz ja znam część prawdy, słyszałem pieśń Świętego Gaju, pieśń o stworzeniu świata, walce żywiołów i podziale przez nie przestrzeni.

W środku świata jest ziemia. Otacza ją woda, powietrze jest ponad nią, a ogień pod spodem. Tak jak Rodzicielka ludzi i drzewa, tak i tamte żywioły stworzyły swe dzieci, często nam wrogie.

Cztery siły przeciwstawiają się sobie lub wzajem przenikają. Ustaliwszy pierwotną równowagę, nie próbują jej naruszyć. Tam, gdzie współistnieją, może powstawać zło, ale może i dobro. To już tylko



od ludzi czy też innych stworzeń zależy. Człowiek wie, jak czerpać ze wszystkich żywiołów, lecz tylko Ziemia jest jego prawdziwą matką. Ogień grzeje zimą, na nim pieczemy chleb i gotujemy strawę, ognia używamy do wypalania puszczy pod nowe

uprawy. Lecz potrafi on pożreć domostwo, całą wieś, miasto. Woda potrzebna jest do życia, ale nagła ulewa może zgnieść młode zboże, a występująca z brzegów rzeka zalać osady. Powietrze daje oddech, lecz wichura porywa ludzi, powala las, miazdży pola.

Żywioły trwają, podzieliwszy między siebie świat, i zwykle nie wkraczają do swoich dziedzin. Czasem jednak to się przytrafia. Gdy poszedłem na bagna, ja, Liść, od którego bije moc Rodzicielki, natychmiast zaatakowały mnie wodne stwory - naruszyłem ich spokój. A teraz ten sługa ognia wyszedł spod ziemi przywołany przez wielki pożar. Ja poczułem wezwanie drzew, prosiły mnie o ratunek.

Czy wiesz, że ja prawie nigdy nie pływam, bo wtedy oddalam się od Ziemi, stając się łatwą zdobyczą dla siły obcej mi, wrogiej: wody. Kiedy skoczyłem z wału Gor-czem, na krótką chwilę znalazłem się we władaniu powietrza. I to też było przerażające uczucie.

- A Kręgi? - odważył się spytać Magwer.

- To źródła mocy bijącej od Rodzicielki. Gdy świat powstawał z chaosu, Kręgi już stały. W każdej krainie jeden. Kobiety kładą się w nim w czasie połogu, pod plecami mając Rodzicielkę. Dziecko urodzone w Kręgu przychodzi na świat z darem, dzierży część mocy i błogosławieństwa Pierścienia. To dlatego Łowcy wędrują przez całe lata, by przywieźć do Miasta Os ziemię z odległych Kręgów. Czarna Pani sypie sobie pod plecy garść pyłu z każdego z tych Pierścieni i jej córka włada mocą każdego z nich. Tak jak Łowca.

Ale tu, w Daborze, mało kto o tym wie. Od tylu pokoleń żyjemy bez swego Kręgu. Nie nasze dzieci się w nim rodzą, tylko gwardzistów i możnych Miasta Os. I to w nich od pokoleń trwa błogosławieństwo Leśnych Gór, nie w nas. Ludzie zapomnieli albo nie chcą pamiętać, może nie muszą. Nawet Szepczący ich tego nie nauczali. Mówili jedynie o potędze dawnych panów Daborcy, a o matkach Leśnych Gór tylko wspominali... Pamiętaj, Krąg działa na człowieka podobną siłą, co Święty Gaj na mnie. Ktoś urodzony w Pierścieniu w starciu z człowiekiem Bez Matki ma wielokrotnie większą szansę na zwycięstwo...

- A spaleniec?

- To dziecko ognia. Sługa, który nie wie, czemu znalazł się w naszym świecie. Dawno takiego nie widziałem. I nie zabiłem.

- Powinniśmy wracać - Doron siedział wpatrzony w płomień. Zapach pieczonego królika przyjemnie drażnił nozdrza. - To wszystko jest dziwne i tym bardziej powinienem czuwać w Gorczem.

- By umrzeć... - cicho powiedział Magwer.

- By umrzeć - powtórzył Doron. - Nie, nie boję się śmierci. Ja wiem, że trwać będę w szumie drzew, moich braci, że moja krew zatętni w ich pniach, ciało wypełni ich korę. Lecz boję się... - Doron zamilkł, przekręcił trzymany w rękach kij, obrócił w dół nie przypieczoną jeszcze część królika.

- Czego, panie? - odważył się spytać Magwer.

- Przepowiedni. Nie wiem, na ile dobrze ją pojąłem. Muszę zabić bana, lecz moja śmierć przepowiedziana jest przed jego śmiercią. Aby dopełnić wróżdy, mój sztylet musi przebić jego brzuch, krew spłynąć na dłonie. Mogę go, tak jak chciałem, pociągnąć za sobą z wałów. Mogę go porwać, rozplatać mu brzuch i zostawić gdzieś w lesie konającego, a samemu obok popełnić samobójstwo. Szczejnie, lecz czy dopełnię wróżdy, czy to rzeczywiście ja oddam go Czarnej Róży?

- Tak, panie, ty, wszak to twoje ręce otworzą mu brzuch, na nie tryśnie jego krew.

- I mnie się tak kiedyś zdawało. Ale teraz brakuje mi pewności. Przecież sam nie ujrzę, czy dokonałem zemsty. A jeśli popełnię błąd, czy przyjmą mnie Bracia Drzewa, gdy nie pomszczę Olgomara?

- Przecież, przecież... miałeś plan, panie.

- Dalej mam plan. Tyle że teraz, po tym, cośmy ujrżeli, zaczynam weni wątpić. To wszystko wokół jest dziwne, nawet na mój rozum. Narodziny mego brata, Liścia, potem jego śmierć od szklanych sztyletów, wielki bunt w Daborze, no i nawet ten spaleniec.

- Myślisz, panie, że za dużo tych zdarzeń na raz.

- Właśnie. Słuchaj, Magwer. Ja i tak do Dabory nie

mogę wrócić, póki mi broda nie odrośnie. Ale dobrze by było, gdyby ktoś tam siedział i na wszystko miał oko. Rozdzielimy się więc. Ty wracaj do miasta. Tu się teraz będzie kręcić dużo ludzi. Tu ziemia niebezpieczna, spalona i na szlaku wojsk.

- A ty, panie?

- Ja się ukryję, las mi pomoże, nie bój się. Poszedłbym do Gaju wypytać o wszystko Święte Drzewa, ale to długa droga. Zresztą póki nie zmyję krwi brata, nie mogę wejść do Gaju. Za to Krąg blisko...

- Krąg?!

- Tak. Spróbuję się doń przedostać. Nie patrz na mnie, jakby mi tamto gorąco wypaliło z brzucha cały rozum. Nie bój się, nie zrobię żadnego głupstwa. Jeśli będzie tłoczno, to zawrócę. A i zobaczę przy okazji, czemu Gwardia jeszcze nie rusza na pomoc banowi i ile się tam wojska zebrało.

- Łatwo zginąć.

- Wojna teraz. Wszędzie łatwo. Może Krąg da mi jakąś odpowiedź i radę. W Daborze i tak nie jestem potrzebny. Ban siedzi w Gorczem, wylezie dopiero, jak przyjdzie Gwardia.

- Chyba że Biali zdobędą twierdzę.

- W to za bardzo nie wierzę.

- Tak, panie.

## 18. Sokolnik

Minał dzień od chwili, kiedy Doron rozstał się z Ma-gwerem. Przez cały czas szedł na zachód, bacznie omijając uprawne pola. Ludzkie sadyby mogły oznaczać, że podchodzi już do Kręgu. Musiał zachować ostrożność - tu łatwo spotkać żołnierzy. Szczególnie teraz, gdy, jak przypuszczał Doron, rozpoczęto pobór do wojska.

Najgęściej zaludnioną częścią Leśnych Gór były okolice Dabory. Tam bardzo ściśle wytyczono tereny dla poszczególnych klanów, a do bana należały wielkie pola uprawiane przez niewolników. W miarę jak rosła odległość od stolicy, ludzie osiedlali się rzadziej. Rody trzymały ogromne obszary ziemi. Co roku wypalano nowe pola, przesuwano domy, wsie pełzły po puszczy niczym czarne larwy. Za to po trzydziestu latach, gdy wracano na pozostawioną odłogiem ziemię, była ona nie tylko zarośnięta, ale też świeża, płodna, gotowa obdarzyć ludzi wielkimi plonami.

Na zachodzie, w okolicach Kręgu, osadnictwo znów się zagęszczało. Na utrzymanie wojska stacjonującego w Pierścieniu musiało pracować wiele służebnych wsi. W pobliżu Pierścienia Mchu zamieszkało też wiele rodzin z Miasta Os, sprowadzając tu swych poddanych i niewolników.

Zwykle stacjonowało tam trzystu gwardzistów i dwa razy tyle najemnego wojska, werbowanego głównie z pogranicznych ziem. Do tego dochodziła poborowa dymowa piechota bana, rekrutująca się z chłopów. Razem dawało to dwa tysiące wyszkolonych i uzbrojonych wojowników. Liczba wystarczająca, by znieść bunt jeszcze kilka dni te-

mu. Siły powstańców wciąż jednak rosły, teraz w Daborze zbierać się mogło i dziesięć tysięcy zbrojnego luda. W większości złożonego z rolników, ale tu już liczba rąk zaczynała grać rolę.

Tego właśnie Doron nie rozumiał. Gdyby Gwardia ruszyła na Gorczem od razu po otrzymaniu wysłanego pocztą gołębią listu, pewnie zgniotłaby bunt w zarodku.

Czyżby żadne wieści o powstaniu nie dotarły do Kręgu? Może zginęły wszystkie gołębie, a gońców dopadli Biali? Doron rozważał jeszcze jedną możliwość'. Prawdopodobnie gwardziści,

dowiedziawszy się o buncie, postanowili nie spieszyć się z pomocą banowi. Bo i po co? Niech się daborczycy wykrwawiają w bezsensownych bojach. Co prawda z każdym dniem napływają nowi buntownicy, lecz co to za żołnierze? Rolnicy i rzemieślnicy, wszyscy niby obeznani z bronią, ale nie władający orężem ze zbyt wielką wprawą. Z każdym dniem ich przybywa — a więc żywności jest coraz mniej, a każdy nieudany szturm obniża ich morale. Trzeba więc odczekać, a potem przyjść i ogniem wytepić osłabłych na ciele i duszy buntowników.

O tym wszystkim rozmyślał Doron, gdy wędrował ku Kręgowi. Powoli zaczynał odczuwać zbliżającą się moc Ziemi Rodzicielki, siłę przenikającą wszystko, co żywe i martwe, dającą i odbierającą życie. Doron szedł do Pierścienia, wciąż usiłując znaleźć rozwiązanie dręczących go zagadek.

Sny przychodziły od dawna. Są ludy, które wierzą, że sen stanowi część życia, tak samo prawdziwą jak jawa. Lecz Liść wiedział, że we śnie wyraża się moc Rodzicielki - czasem ożywiająca wspomnienia, czasami pokazująca przyszłość, innym razem wydobywająca tajemnice z najgłębszych zakamarków pamięci. Sny Dorona naznaczone były piętnem śmierci.

Miał umrzeć. Musiał umrzeć - tak mówiła wróżba. Nie lękał się śmierci, bo przecież stanowi ona początek innego trwania. Bał się tylko, że nie wypełnił swej misji, że źle

wykorzystywał dar Gaju przez te lata, że nie spełnił zadań, do których powołały go święte drzewa.

Śmierć nadchodziła - posępna władczyni czczona przez dzikusów ze wschodu, dobrodziejka cierpiących, najsroższy poborca.

Taką ją widział we snach - rozemglony cień rozpiętej na niebie pajęczej sieci, pokrywający ziemię i drzewa, oblepiający człowieka. Śmierć przeklęta - bo odbiera ciało i życie. Błogosławiona - bo oddaje to ciało Ziemi Rodzicielce i cykl może zacząć się od nowa.

Więc śnił. Widział ziarno zagrzebane w ziemi. Widział, jak pęka, jak cienkie witki pełzną między drobinami piasku i kamieni, węzła się, plotą, rozrastają. W górę strzela pęd, delikatny, ostrożny; uparcie przebija ziemię, rośnie, męźnieje. Woda pchana w górę przez korzenie tętni w żyłach drzewa, słońce karmi swym blaskiem jego liście. Lecz zmarnieje to drzewo, jeśli zabraknie człowieka. Bo skąd ma wziąć siły, skąd prężność, skąd pęd, co każe mu strzelać ku niebu?

Oto człowiek - rodzi się, dojrzewa, starzeje. Umiera, a jego współmałżonek kaleczy sobie skórę, jakby i jego przebił kolec Róży. Synowie i córki golą włosy. Cztery dni trup leży na marach, staruchy namaszczają ciało wonnymi wywarami. Potem zakopują zmarłego. W niektórych rodach przebija mu się oczy osinowymi zatyczkami, na południu odrąbuje głowę i kładzie między nogi, by człek, raz skonawszy, nie próbował wstawać.

I oto korzenie drzewa poznają ludzkie kości. Próbuje ich, cofają się niepewnie, lecz w końcu powracają. Wrastają w nie i drzewo szybciej dojrzewa, konary jego są rozłożystsze, kora bardziej twarda, liście zieleńsze. Człowiek oddał swemu bratu drzewu moc i siłę, a sam trwa w jego pniu i gałęziach, w szumie liści, skrzypieniu konarów. Znow stają się jednym, tak jak kiedyś, przed

początkiem świata.

Doron widział to wszystko we snach, wciąż obserwował narodziny, życie i śmierć, ten ciąg nieprzerwany, wieczny. Jeszcze niedawno wizje były odległe i słabe. Teraz, w miarę zbliżania się do Kręgu, nabierały barw i siły. Już nie-

długo pokłoni się Ziemi Rodzicielce i poprosi ją o dopełnienie zemsty. I do śmierci będzie coraz bliżej.

W lesie Doron słyszał i rozumiał dźwięki niedostrzegalne dla zwykłego człowieka. Drzewo szumiało poruszone wiatrem, a liść wiedział, czy jest zdrowe, czy chore. Mógł usłyszeć ryjącego pod ziemią kreta, skaczącego po gałęziach rysia, kicającego przez krzaki zająca. Wiele tych dźwięków - zwykłych i tajemnych, cichych i głośnych, raptownych i przeciągłych - dobiegało do uszu Liścia. Z początku wsłuchiwał się w nie uważnie, każdemu nadawał w myślach jakiś sens, odgadywał pochodzenie. Potem pojedyncze dźwięki złożyły się w melodię lasu - spokojną i cichą, wyśpiewywaną przez drzewa; ubarwioną ptasimi nawoływaniem; z rytmem nadawanym przez przebiegające zwierzęta. Wreszcie Doron przestał postrzegać i ten dźwięk. Zdusił go, odepchnął, tak że w uszach brzmiał tylko cichy szum. Jednak gdy coś niezwykłego wdzierało się w melodię lasu, słyszał to po stokroć głośniej i wyraźniej. Tak właśnie dobiegał uszu Dorona szum strumienia albo wilcze wycie, albo huk walącego się drzewa. Odgłosy te, zrywające lub zmieniające leśną pieśń, nie oznaczały zazwyczaj nic niebezpiecznego.

Tym razem Doron odróżnił od innych dźwięków trzask gałązek łamanych stopami człowieka.

Mężczyzna biegł i to od dawna. Był zmęczony. Kroki stawiał nierówne, bo nie potrafił już utrzymać jednolitego rytmu. A za nim, daleko jeszcze, ale z każdą chwilą coraz bliżej, pędziło czterech mężczyzn prowadzonych przez psy. Biegli wzdłuż szlaku Liścia, tyle że nieco z boku i w przeciwnym kierunku. Uciekający mógł być zwiadowcą bana lub zbiegiem z terytorium Kręgu. Jeden i drugi powinien sporo wiedzieć o tym, co dzieje się w Pierścieniu.

Doron szybko rozważył sytuację. Musiałby sam stanąć przeciw czterem, bo na pomoc zadyszanego i słabego człowieka nie miał co liczyć. No i te psy.

Nie warto ryzykować, ale można sprawdzić.

Doron skręcił, jego marsz przeszedł w trucht, potem w bieg. Liść zaczął się cofać, zboczywszy nieco z przebytej uprzednio trasy. Chciał przeciąć drogę uciekinierowi, obejrzeć zza zasłony krzewów i jego, i pościg.

Nagle zbieg potknął się i przewrócił. Wstawał powoli - oszołomiony, a może niepewny, co robić. Nie ruszył do dalszego biegu, odpoczywał. Musiał zdać sobie sprawę, że nie umknie prześladowcom. Chciał więc umrzeć jak wojownik i oddać Matce jak najwięcej wrogów. Odpoczywał.

Doron skręcił gwałtownie. Teraz biegł prawie na równi z czterema mężczyznami. Mimo że nie był

tak zmęczony jak oni, dopędził ich z trudnością. To byli wprawni tropiciele, gotowi biec za swoimi psami dziesiątki wiorst, nie za szybko może, ale za to niezmordowanie. Więc teraz, gdy on, Liść, ciężko łąpał oddech, ścigający mogliby nie zatrzymywać się choćby i do nocy. Na szczęście uciekinier też stracił siły i ten szaleńczy bieg już się skończył.

Doron obiegnął wypoczywającego mężczyznę, wciąż go nie widząc. Teraz zawrócił i powoli zbliżał się ku wskazywanemu przez drzewa miejscu. W końcu rozchylił gałęzie i zobaczył wysokiego jasnowłosego chłopaka, w podartym, zabłoconym ubraniu, z twarzą pokrytą czerwonymi pręgami - śladami uderzających gałęzi. Uciekinier wsparł się o drzewo, w dłoniach ścisnął karogę. Doron dostrzegł wytatuowaną na policzku młodzieńca głowę sokoła obwiedzioną kolistą linią. Chłopak należał więc do przypisanego Kręgowi klanu sokolników.

Spomiędzy drzew wybiegło czterech gwardzistów. Należeli do formacji tropicieli - łatwo ich odróżnić od kasty wojowników po długich nogach i szerokiej piersi. Z tym, że bili się nie gorzej niż żołnierze, choć może nieco mniej wytrwale. Szerszeni prowadziła para psów morderców, potężnych, o krótkiej czarnej sierści i doskonałym węchu. Tropiciele stanęli raptownie, dostrzegłszy swą ofiarę. Ich oddechy uspokoiły się po chwili, oczy załśniły w oczekiwaniu walki, usta wykrzywiły w grymasie ni to groźby, ni uśmiechu. Dwóch sięgnęło po przewieszane przez plecy topory, dwóch pochyliło się nad psami, zaczęło im szeptać do uszu polecenia. Chcą wziąć sokolnika żywcem. Zaraz

spuszczą psy. Zwierzęta rzucą się na człowieka, powalą go na ziemię, chwycą zębami za szyję, tak że nie poruszy się choćby o włos. Ich zaś, tropiciele, ominie przyjemność zamordowania zbiega i ten zawód wyzwolił w gwardzistach złość. Wciąż trzymając psy na smyczach, pokrzykiwali do chłopaka, drwiąc okrutnie, jakby strach ofiary choć trochę oddać im mógł utraconą przyjemność.

Sokolnik zacisnął wargi, jego ramiona drżały.

O, brzoza biała, co odganasz choroby - pomyślał Doron - zaraz poczujesz krew na swej korze. Pot i strach człowieka już płyną przez twe włókna, poruszają liśćmi, mrozą korzenie. Wybacz mu, bo nie ma mężczyzny, który na jego miejscu nie zaznałby trwogi.

Psy dyszały głośno, nie wiadomo, czy ze zmęczenia, czy z wściekłości. Napięły się smycze. Dwa czarne cienie skoczyły ku człowiekowi. W tej samej chwili sokolnik krzyknął. Przeciągle, jękliwie. Doron znał ten dźwięk. Sokolnicze przywołanie. Psy były już w połowie drogi, gdy z nieba spadły dwie szare kule.

Psy zawyły, zakotłowało się. Wrzask ptaków, krew z rozszarpanych psych pysków i strzępy pierza, i skowyt, i krzyk gwardzistów, i śmiech sokolnika, i ten toczący się po mchu, łamiący krzewy i paprocie kłęb futra, pierza, krwi, śliny, jazgotu i skrzeku.

Doron z podziwem patrzył na sokolnika. Choć młody, musiał być mistrzem w swoim kunszcie. Niewielu potrafi tak wytresować ptaki, by mu towarzyszyły w wędrówce, a wezwane krzykiem, broniły swego pana.

Nie trwało to długo. Zaskowyczał pierwszy pies, z rozszarpanym pyskiem, wydziobanymi oczami; skóra z jego głowy odeszła płatem, odsłaniając różową czaszkę. Wściekły, zacięty, od szczeniaka tresowany do walki, jeszcze teraz rzucił łbem, kłapnął szczękami, chcąc schwytać ptaka. Sokół odskoczył. Skrwawiony posoką psa i własną, z przetraconym skrzydłem polatywał ku swemu panu, prosząc skrzekliwie o pomoc. Drugi sokół leżał martwy obok martwego psa, z pazurami wczepionymi w jego oczy, z łbem ściśniętym białymi zębami.

Szerszenie stali w osłupieniu, patrząc na swe ukocha-

ne psy, tak silne jeszcze przed chwilą, tak wszechmocne. Sokolnik zaś głąskał, wciąż żywego, lecz już konającego ptaka, który przypadł do jego nóg. Chłopak się pochylił, chciał wziąć sokoła na ręce, ale nie zdążył. Szerszenie runęli na niego, mijając skowyczącego, oślepionego psa.

Doron wyskoczył z kryjówki. Nie poznali go, nie mogli poznać, pewnie nigdy go nie widzieli. Brud i trzydniowa szczecina zakrywały znamię na policzku Liścia, a nienawiść i pragnienie walki zabiło przeczucia tropicieli.

Sparował pierwsze uderzenie, wprowadził cięcie, schodząc z linii ciosu drugiego topora, wypchnął karogę do przodu. Czując miękkość na jej końcu, nie zatrzymał się ani na moment, skoczył w bok, odwrócił. Tropiciel za jego plecami padał na ziemię. Gwardzista przed nim zawahał się, zdziwiony łatwością, z jaką ten obcy mężczyzna walczy z najlepszymi wojownikami Ziemi Os. Ta chwila go zgubiła. Doron przesunął dłoń po karogdze, jej trzonkiem sięgnął brody żołnierza, usłyszał chrzęst łamanej kości, krzyk, drugi koniec pałki wbił gwardziście w brzuch.

Jakiś cień zamajaczył z boku Dorona. Liść dostrzegł ten ruch kątem oka, uchylił się, a kamienny topór przeciął powietrze nad jego głową. Sokolnik leżał na ziemi nieruchomo, z zakrwawioną twarzą, zamkniętymi oczami, rozrzuconymi rękami. Żył. To wszystko zobaczył Doron w krótkiej chwili, jaką mu dali gwardziści, nim znów ruszyli do ataku. Odskoczył. Tbpory nie musnęły go nawet. Karogga też rozpoczęła swój taniec. Szerszenie stracili pewność siebie - oto dwa trupy ich braci pośród paproci, oto człowiek dziwny, szybszy od nich, przepięknie składający się do ciosów, oto jego karogga, niezwykła jakaś, tajemnicza... To zdziwienie, do którego zdolni byli nawet dzicy słudzy Gniazda, nie mogło jednak przeważać ich wrodzonego instynktu i wyuczonych odruchów. Mieli się bić, mordować i zwyciężać - albo umierać. Lecz przecież wciąż nie myśleli o śmierci, wciąż uważali się za najlepszych.

Czerwona piana krwi i powietrza bluznęła z przeciętego gardła. Szerszeń długo odbijał ciosy, z niemą determinacją, spychany przez Dorona krok za krokiem. Gardził

śmiercią, a może zapomniał o ucieczce albo wciąż liczył na zwycięstwo. Tego Doron nie wiedział, bo żaden zwykły człowiek nie potrafił wnikać w myśli i uczucia tych dziwnych ludzkich stworów - gwardzistów. Liść odbijał więc rozpaczliwe uderzenia wojownika, a gdy zobaczył lukę w jego zasłonie - pchnął. Szerszeń zachwiał się, odsłonił, wtedy Doron uderzył go i przewrócił. Ostrzem karog-gi przybił do ziemi niczym robaka.

Nie mógł długo napawać się zwycięstwem. Sokolnik konał, a przecież mógł powiedzieć wiele ciekawych rzeczy. Liść otarł rękawem krew z twarzy młodzieńca. Czaszka była wgnieciona. Sokolnik szeroko otworzył oczy, przekrwione, przerażone, o dużych źrenicach; łzy bólu i strachu płynęły po twarzy umierającego. Wargi drżały, zęby zaciskały się, gryząc język do krwi.

- Co się dzieje w Kręgu?! Co z Gwardią!?

- Szykują się... szykują... - chłopak szeptał, cień uśmiechu przemknął przez jego twarz, jakby to, że może mówić, sprawiało mu ulgę. - Uciekłem... chciałem do naszych...

- Dużo wojska?

- Gwardia... cała... i trochę nowych, pięć dwunastek ze wschodu... Co tam?

- W Daborze? Kiwnięcie głową.

- Biały Pazur zebrał ludzi. Wielu dobrych wojowników. Będzie wojna, jakiej nie pamięta Gorczem, wielka wojna.

- A ty... Kim ty... Dlaczego...

- Myślałem, że mi pomożesz - Doron mówił szybko, chcąc przekazać konającemu jak najwięcej. - Zwą mnie Doron.

- Doron - szepnął sokolnik, jego wargi zadrżały, jeszcze raz powtarzając to imię: - Doron. Liść... Liść...

- Liść. - Doron kiwnął głową. Młodzieniec poruszył ręką, chwycił dłoń wojownika. Ścisnął ją mocno.

- Liść...

- Słuchaj, dlaczego gwardziści wciąż czekają? Dlaczego jeszcze nie ruszyli na Daborę? Od kiedy się zbierają? Kiedy przyleciały banowe gołębice?

Sokolnik drgnął.

- Gołębice? Oni... dwa dni...

- Dwa dni?!?

- Żadnych gołębi... nie było żadnych gołębi...

- Co ty mówisz?! Może nie widziałeś?! Kiedy...



- Jestem sokolnikiem - szept na chwilę podniósł się o ton. - Żadnych gołębi... nie było...

Wargi sokolnika zamarły w bezruchu.

Dwa kroki obok zdychający ptak zakrzyczał przeraźliwie, głosząc światu swój śmiertelny ból i swoją śmiertelną samotność.

## 19. Gorada

Magwer nie napotkał po drodze żadnych przeszkód. Po sześciu dniach dotarł do Modowl, jednej ze służebnych wsi Daboru. Przez całe popołudnie siedział ukryty w lesie i obserwował osadę. Mężczyzn zostało niewiele - tylko młodzi chłopcy i starcy. Wszystkie prace polowe wykonywały kobiety. To znak, że Biały Pazur dobrze się wziął za organizowanie swego wojska. Pod wieczór Magwer ruszył w dalszą drogę. Musiał obejść Daborę, przepłynąć Zieloną Rzekę i jeszcze dzień wędrować do kryjówki Dorona. W zasadzie mógłby od razu skierować się ku miastu. Jednak jego zmęczone ciało prosiło o odpoczynek, o jedną w pełni przespaną noc, o dobrze przyrządzony posiłek.

Niełatwo natrafić na pojedynczego, idącego lasem człowieka. Teraz jednak, gdy Magwer dotarł na gęściej zamieszkane tereny, mogły nań czekać różne niespodzianki. Magwer zwolnił i baczniej przyglądał się okolicy. A że w lesie ciągle coś się dzieje, często zdarzało mu się zapadać w zarośla po to tylko, by zobaczyć przebiegającą sarnę czy zającą. Wiedział jednak, że dopóki pozostanie ostrożny, dopóty ma spore szansę przeżycia, więc owe pomyłki szybko przestały go złościć.

Rzeka, o tej porze roku już spokojna, wolno płynęła na wschód. Szeroka może na sto kroków, na obu brzegach zarośnięta tatarakiem i sitowiem, leniwie toczyła swe wody. Magwer znalazł nieco węższe miejsce. Ukrył się w zaroślach i przez pewien czas obserwował przeciwległy brzeg. Nie wypatrzwszy żadnego zagrożenia, rozebrał

się, zwinął rzeczy w tobolek i przytroczywszy go sobie do głowy, wszedł do wody.

Umiał pływać, jako jeden z niewielu w wiosce. Ludzie unikali wody. Splawiali rzeką drewno, wozili towary, łowili ryby, budowali mosty. Lecz wszyscy, nawet flisacy i marynarze, czuli przed wodą lęk. Nie składali rzece ofiar, nigdy nie próbowali jej przebłagać.

Dalsza droga do leśnej kryjówki też nie sprawiła Magwerowi większych kłopotów. Gdy dotarł na miejsce, uważnie obejrzał wszystkie pułapki, jakie zastawili. Gałęzie przykrywające wejście ułożone były we właściwej kolejności. Dwie cienkie nici rozciągnięte na wysokości kolan i łydek pozostały napięte. Na piasku, którym wysypali jamę, nie znalazł żadnego śladu.

Zrzucił koszulę i nogawice, nagi poszedł do pobliskiej rzeczki. Zaczepił dwie garście drobnego żwirku i wyszorował się cały, mocno i dokładnie, aż skóra zaczęła boleć. Zdrapał sobie przy okazji

kilka strupów - małe strumyczki krwi spłynęły po ramionach i piersi.

Słońce wschodziło, różowy blask kładł się na drzewa i ziemię, tańczył na perlistej wodzie strumienia, oświetlał nagiego młodzieńca. Ciemny puch pokrywał jego piersi, szara smuga pierwszego zarostu kładła się na policzkach i brodzie. Szopa jasnych włosów opadała na czoło. Spojrzał w niebo. Ta wędrówka z Doronem nauczyła go wiele, dużo zobaczył i zrozumiał. I czuł, że las nie jest już taki sam jak kiedyś. Jakby drzewa rozpoznawały w nim druha Liścia.

Następnego dnia o świcie wyruszył do Dabory. Bezpieczniejsza oczywiście byłaby wędrówka nocą, ale Magwer bał się, że może zgubić drogę. Liczył, że jeśli utrzyma szybkie tempo i nie natrafi na jakieś niespodziewane przeszkody, powinien dotrzeć do granic stolicy tuż przed zmierzchem. Na ulicach mógł się spodziewać wielu ludzi - spieszących do domów, do swych oddziałów, wracających z pijatyk. W takim tłumie łatwo się zgubić i Magwer sądził, że bez przeszkód zdoła dojść w okolice Dużego Wału.

Nie pomylił się. Na Trzecim Trakcie dołączył do dużej karawany wozów ze zbożem. Gdy tylko minęła Zachodnią Bramę, opuścił ją i ruszył ku domowi Gorady.

Ulice pustoszały powoli. Przypuszczał, że lada chwila głośnicze obwieszcza zakazane godziny. Nie mylił się. Tylko kilka przecznic dzieliło go od celu wędrówki, gdy zagrzmiały odległe rogi, rozległy się okrzyki, potem goniec przemknął tuż obok Magwera, wołając, że czas już zejść z ulic. I że każdy schwytany przez patrole grodowych człowiek zostanie nazajutrz zabity. Goniec przebiegł i ostatni ludzie zaczęli znikać w bramach. Na pustej ulicy pozostał tylko on - Magwer. Miał niewiele czasu na podjęcie decyzji. Patrole już ruszyły na ulice, być może któryś wyjdzie zaraz zza najbliższego zakrętu. Magwer zanurkował w pierwszą z brzegu bramę, prowadzącą na ciesielskie podwórze. Wychylił się ostrożnie i nikogo nie dostrzegając, popędził w głąb ulicy.

Szybko dotarł do domu Gorady. Ze środka nie dobiegał najcichszy nawet dźwięk, najwęższy promyk światła nie sączył się przez szpary w okiennicach. Magwer podszedł do drzwi. Gorada zwykle ich nie zamykała. Zwykle - to nie znaczy zawsze. Tym razem zasunęła zatyczkę. Nie ze strachu przed złodziejami - niewiele miała cennych rzeczy, a i tak każdy złodziej poradziłby sobie z równie niewymyślnym zamkiem. Widocznie wiatr za mocno szarpał drzwiami. Magwer wyciągnął nóż i ostrożnie wsunął go w szparę między futryną a drzwiami.

Kroki usłyszał w ostatniej chwili. Rozpaczliwym susem rzucił się w bok, za niski chruściany płot. Przywarł do ziemi. Trzech grodowych wyszło zza zakrętu. Żywo o czymś rozprawiając, minęli Magwera i poszli dalej. Wrócił pod drzwi, znów wyciągnął nóż z wy szlifowanego rogu jelenia. Na jego trzonku muśnięciami krzemiennych dłut wykreślono niedźwiedzia, żubra i tura, aby ci trzej władcy lasu pomagali myśliwemu. Magwer podsunął ostrze pod zatyczkę i delikatnie popchnął ją do góry. Wysunęła się lekko, upadła na glinianą podłogę sieni z cichym stuknięciem. Magwer znów znieruchomiał, przyłożywszy ucho do drzwi. Cisza. Pchnął lekko. Przystąpił

próg i prawie po omacku ruszył ku izbie Gorady. Nie pierwszy raz przemierzał sień po ciemku, bał się tylko, by nie postawiono w niej jakiegoś sprzętu, o który mógłby zawadzić. Nie postawiono.

Stąpił na palcach najciszej, jak potrafił. Drzwi do izby Gorady były lekko uchylone. Magwer usłyszał znajomy, spokojny oddech odpoczywającej kobiety. Wsunął głowę do środka. Oczy powoli przyzwyczały się do półmroku i zobaczył, że Gorada śpi sama.

Wszedł do izby. Drzwi zamknął na zasuwę.

Obudziła się. Wsparła na łokciach, wpatrując się w ciemność, jeszcze nie w pełni świadoma. Skoczył w jej stronę. Dostrzegła cień, usłyszała stąpienie. Usta kobiety otworzyły się do krzyku.

Runął na nią, aż jęknęła, mocno docisnął do siennika, nakrył dłonią usta.

- To ja, Magwer - syknął.

Szarpnęła się raz jeszcze, jakby nie dotarli do niej te słowa. Z szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w jego twarz. Dłonie, którymi go odpychała, przesunęły się po biodrach, splotły na karku mężczyzny. I to dłonie poznały Magwera. Czuł jak mięśnie kobiety miękną, jak ramiona obejmują jego szyję.

- Tb ja - powtórzył cicho.

Podciągnął koszulę Gorady, uniósł się na chwilę, rozpiął pas. Gorada nic jeszcze nie powiedziała, przez cienki len czuł twardniejące sutki. Zapach kobiety oszołomił go. Za długo trwała ta wyprawa, za długo...

Kiedy wszedł w nią po raz pierwszy, krzyknęła cicho i mocniej objęła go udami. Nie próbowała go całować, lekko uchylonymi ustami głęboko chwytając powietrze, a jej oddech, przeciągły i długi, przeszedł w krzyk i wtedy Ma-gwerem wstrząsnęła fala rozkoszy.

Tuż przed północą Gorada wstała, żeby dać mu kilka pszennych placków i serwatkę. Nie miała dużych zapasów. Żywność w Daborze racjonowano, większą część ściągane go zewsząd ziarna przeznaczając na wykarmienie ar-

mii. To, co zostało, rozdawano mieszkańcom. Ceny na bazarach bardzo wzrosły, tylko mleka dalej wystarczało dla wszystkich. Dobre i to - z mleka można zrobić ser i masło, każdy coś tam sobie w ogródku hoduje, w sumie wystarczy. Choć więc daborczycy musieli zacisnąć pasa, to jednak z głodu nie umierało w mieście więcej ludzi, niż to się zwykle zdarzało.

Gorada cicho chodziła po izbie. Mieszkał już u niej nowy lokator - jeden ze sprowadzonych przez Białego Pazura cieśli, nadzorujących budowę machin oblężniczych. Go-radzie się on nie podobał - był mały, całkiem bezzębny,

0 pomarszczonej twarzy i ciągle dygocących rękach. Nie spała z nim, zresztą od odejścia Magwera niewielu mężczyzn dopuściła do swego łóżka. Kobieta mówiła szybko

I dużo, Magwer czuł, że się cieszy z jego powrotu. Kilkakrotnie tej nocy brał Goradę w ramiona i zabrakło czasu na poważne rozmowy. Teraz jednak, gdy leżał odprężony i nieco zmęczony, powoli zaczynał układać sobie w głowie pytania. Gorada nie była głupia, ale pewnych spraw nie potrafiła ogarnąć rozumem. Na pewno wiedziała o wszystkich ważnych wydarzeniach w mieście, bo kobiety zawsze o takich rzeczach wiedzą. Jednak to od niego, Magwera, zależało, jak wiele i na ile ważnych informacji wycisnie z Gorady.

Przez te wszystkie dni wiele zdarzyło się w Daborze. Pełną i absolutną władzę objął Biały Pazur. Podporządkowały mu się wszystkie klany, na jego wezwanie ciągnęły do Daborzy grupy zbrojnych chłopów i drwali. We wsiach na trzy dni drogi od miasta nie ostał się ani jeden zdolny do wałki człowiek. A i z dalszych stron szli do stolicy młodzi mężczyźni. Gorada nie znała się za dobrze na wojennych sprawach, ale z tego, co mówiła, Magwer wywnioskował, że Pazur dobrze sobie poczyna z tymi masami niekarnych żołnierzy. Podzielił ich na trzy formacje. Pierwszą stanowili ci, co przeszli służbę w banowym wojsku, żołnierze Penge Afry, którzy przyłączyli się do powstańców, i wojownicy znani z turniejów - dobrzy szermierze i siłacze. To najlepsze wojsko siedziało w koszarach, ćwiczyło twardo i dużo pod rozkazami Garłaja Jed-

nookiego. Drugą grupę stanowili możni kupcy i włodarze, ich poczty i członkowie ich rodów. Sami sobie wyznaczali czas ćwiczeń, a że klany szczyły się swymi wojownikami, to i tu spodziewać się należało wielu dobrych rębaj-lów. Porządku w każdym oddziale pilnował jego właściciel, a pieczę nad wszystkimi sprawowali druhowie Szepczącego - Greg Niedźwiedź, Usatnik i Tomton. Oni rozstrzygać mieli powstające między rodami spory, a potem poprowadzić tych ludzi do boju. Resztą powstańców -zwanych pospolitakami - dowodzili Alghoj Sokół i Ozyn. Pospolitaków podzielono zależnie od majątku i urodzenia, a obozowali oni na prawym brzegu rzeki. W tej gromadzie najwięcej się z początku zdarzało swarów i bijatyk, nie raz ziemia spływała krwią. Karano jednakże krewkich wojowników bardzo surowo - kilka publicznych egzekucji ostudziło co zapalczywsze głowy. Kaci i bez tego sporo mieli roboty, schwytano bowiem wielu szpicli bana i jego urzędników, kryjących się w różnych miejscach od czasu wybuchu powstania.

Czerwona Sotnia składała się z najbardziej zaufanych ludzi Białego Pazura - w większości ściągniętych z północnego Dalidanu, a więc z ziem, na których zwykle działał Pazur. Strzegli namiotu Szepczącego, do nich przyprawiano schwytanych szpiegów, mogli wydawać rozkazy dziesiątnikom i setnikom zwykłych oddziałów. Bezgranicznie oddani Białemu Pazurowi, kochali go miłością, jaką można obdarzyć swego wodza, starszego klanu, ojca... Ponoć część z nich przysięgła Szepczącemu wierność jeszcze w dawnych czasach. Wielu już walczyło wcześniej u jego boku, choć na stałe trzymał przy sobie tylko ową straszną siódemkę. Kilkudziesięciu czerwońców pochodziło z grup podległych innym Szepczącym. Z lasu wyszło bowiem czterech pielgrzymów, by pomóc Białemu Pazurowi. Go-tar zwany też Niewidzialnym, kulawy Szczepion - mędrzec i pustelnik, Waszmor Czarny - ludzie opowiadali o jego twarzy tak śniadej, że niemal smolistej, i pieśniach, które układał i śpiewał. Imienia ostatniego Gorada nie zapamiętała, a na pytanie Magwera o Ostrego wzruszyła tylko ramionami. Chyba nie żył, bo któż mógłby przetrzymać banowe tortury.

Pierwszą bitwę powstańcze wojska stoczyły w trzy dni po wybuchu buntu. Ze wschodu nadciągnęło

osiem setek wojaków prowadzonych przez namiestnika Gorczem -Nyilborka. Komes nie zdawał sobie jednak sprawy z siły zrewoltowanych. Zbytньо zaufał potędze swej armii albo liczył, że już na sam widok jego dobrze zorganizowanych i karnych oddziałów niesforna tłuszcza Pazura rozpięzchnie się w popłochu. Ośmiuset żołnierzy Nyilborka starło się z czterema tysiącami powstańców. Jego armia przyjęła bitwę na Wzgórzach Krzemiennych i ją sromotnie przegrała. Fala daborczyków zalała i zgmiotła szeregi żołnierzy. Nyilbork zawisł na drewnianym haku, a jego ciało osadzono potem na sosnowej żerdzi i obnoszono wokół Gorczem. Następnego dnia przybyło do Dabory dwustu mężczyzn przysyłanych przez Mistrzów Szkła z Uwegny. A dnia kolejnego zaatakowano Gorczem. Gorada też była na Przedgrodziu, opatrywała rannych, nosiła wojownikom zimną wodę i chleb. Poszły dwie fale szturm. Pierwsza odpadła od wałów Gorczem, niczym szmaciana piłka odbijająca się od ściany domu. Zaraz potem ruszył drugi atak - tym razem udało się przystawić do murów twierdzy drabiny. Jednak śmiałkowie, którzy wdrapali się na blanki, zginęli. Biały Pazur cofnął swoich ludzi i zdecydował, by na razie zaniechać szturmów.

Teraz trwała wytężona praca. Cieśle budowali maszyny oblężnicze i pomosty. Równocześnie jeńcy i niewolnicy próbowali usypać groblę, pod nieustającym ostrzałem broniących twierdzy łuczników wrzucano do fosy piach, gałęzie i żwir, lecz końca tej pracy widać nie było.

Miasto, choć to samo, zmieniło się bardzo. Nie dostawiono w nim żadnego nowego budynku, nie zagrodzono żadnej z ulic, a mimo to panował tu jeszcze większy tłok niż w czasie turnieju. W takim tłumie można się zawieruszyć niczym kamyczek w hałdzie piasku. Magwer od rana krążył po ulicach i placach Dabory, przypatrując się wszystkiemu i wsłuchując w głosy ludzi. Dowiedział się wielu nowych rzeczy, o których Gorada tylko wspomniała albo

nawet nie mówiła. Miasto przemieniło się w obóz warowny. Na mieszkańców nałożono nowe prawa, takie jak zakaz wychodzenia z domów po zmroku, przydziały żywności, obowiązek pracy dla armii. Niektórym ludziom szybko przeszła radość z pierwszego zwycięstwa, minął gniew obudzony na Placu Sędziów. Kiedy przyszło opamiętanie, ujrzeni, co może przynieść ta wojna - krew i pożogę, morderczą walkę i okrutną zemstę. Wielu zamożnych daborczyków - kupców, rzemieślników, urzędników - nie zaciągnęło się do powstańczego wojska. Każdy taki człowiek płacić jednak musiał duży podatek i oddać pod rozkazy Pazura swoich rabów. Waśnie owi niewolnicy wchodziłi w skład oddziałów zasypujących fosę. Padali gęsto, ale zaraz zastępowali ich nowi.

W grodzie panował ład i porządek. Wojska szykowały się tylko do szturm, co i do mogącej nastąpić lada dzień bitwy.

Obszedłszy miasto, Magwer skierował się ku oberży stojącej przy Placu Kasztanów. Kiedyś siadywał tu ze swoimi druhami, pił piwo i rzucał kości. Jakże głupi był wtedy i jakże pyszny zarazem. Rozpierała go duma, wypełniało poczucie własnej wartości. Wszak służył Szepczącemu, narażał życie dla Leśnych Gór. Tajemnica nadawała temu wszystkiemu dodatkowy smak, niczym korzenna przyprawa zupie. Pamiętał dokładnie te buńczuczne myśli, jasne wyroki, proste sądy. Czy coś z tego wszystkiego pozostało? Smutek i gorycz, klątwa i cierpienie. A korzyści? Poznał Liścia... tak, to było szczęście i błogosławieństwo służyć Doronowi. Czy coś jeszcze?

Nogi same niosły go po znajomych uliczkach. Zmarszczył brwi, wbił wzrok w ziemię.

Prawda.

Tak, poznał ją czy też się do niej zbliżył. Ostry okazał się zdrajcą, banowym pacholkiem. Ban zaś człowiekiem szalonym, podnoszącym rękę nawet na Liści, wybrańców Świętego Lasu.

Lecz przecież i to nie wszystko. Magwer czuł się innym człowiekiem, jakby to, co zobaczył i usłyszał, zmieniło sposób jego postrzegania świata, wyostrzyło zmysły. Pobyt

w ciele psa, powrotnikowe wizje, spotkanie z ognistym człowiekiem, bliskość Liścia. Magwer czuł, że przed jego umysłem otworzyły się nowe przestrzenie. Świat magii, tajemnych sił i źródeł mocy, kruchy i zwiewny, nienama-calny, choć możliwy do obejrzenia.

Nie odważył się wejść do oberży, popatrzył na nią tylko przez chwilę. A nuż ktoś ze znajomych by go rozpoznał... Magwer zawrócił więc i skierował się ku kwartałowi, w którym stał dom Gorady.

Myśl o kobiecie rozpędziła ponure wspomnienia. Magwer poczuł narastającą żądzę.

Przyspieszył kroku. Mogła wyjść z domu, mogła zajmować się tysiącem spraw, mogła być zmęczona. Mogła też czekać na niego. Zobaczywszy chatę Gorady, zwolnił nieco, nie chcąc w jakikolwiek sposób rzucić się w oczy. Skręcił ku drzwiom, spokojnie i bez śladu zdenerwowania. Nie oglądał się za siebie, nie sprawdzał, czy ktoś go obserwuje. Przecież żaden uczciwy człowiek nie musi tego robić.

Otworzył gwałtownie drzwi. Wszedł. Ogarnął go półmrok i wilgoć, w nozdrza uderzył zapach ziół i chleba, ciepły, bezpieczny, wypełniający całe gardło. Magwer zwilżył wargi językiem, dotknął palcami ściany. Przesunął po niej dłonią, zastygł w bezruchu. Słyszał wyraźnie skrzyp podłogi i głośny kobiecy oddech. Uśmiechnął się. Gorada była tuż-tuż i nie spostrzegła jego przyjscia. Skradał się więc dalej. Przyłgął do ściany tak blisko, że aż przytulił do niej policzki. Stapał powoli, ostrożnie, przy trzecim, czwartym kroku nieco śmieiej. Gorada stała przy palenisku, tyłem do sieni. Pochylona nad stołem gniotła ciasto na chleb. Magwer patrzył na jej wygięte w łuk plecy, wypięte biodra, naprężone uda. Widział, jak pochyła się raz za razem, jak linie jej ciała gną się i wikłają, głowa podnosi i opada.

Rozpinając pas ruszył w stronę kobiety.

Odwróciła się gwałtownie, odruchowo ocierając ręce o fartuch. Gdyby spojrział na jej twarz... Lecz nie spojrział, już stał przed Goradą sięgając dłońmi pod jej spódnicę.

Krzyknęła, odpychając go od siebie. Nie puścił kobiety,

teraz dopiero podniósł wzrok. Ujrzał czerwone od płaczu, przerażone, błagające oczy...

Tupot za plecami.

Odwrócił się, prze stępując z nogi na nogę. Chciał się schylić, by podciągnąć spodnie, ale nie zrobił tego. Czterech żołnierzy patrzyło na niego, wyszczerzając zęby w uśmiechu. Gorada łkała.

- Żal mi tych wszystkich dziewczuch - powiedział jeden z grodowych - które cię nie zaznały. Nikt już im nie da tej szansy. Zabieramy cię.

Magwer pochylił się, podciągnął i dopiął nogawice. Potem spojrział na Goradę. Chlipnęła raz i drugi, odwróciła głowę.

W tej samej chwili Magwer skoczył. Przewracając stół, potrącając ławę, dopadł do okna. Trzasnęło drewno, pękła rybia błona. Poczul ręce chwytające go za nogi. Wierzgnął rozpaczliwie, ktoś krzyknął z bólu, ale krzepkie dłonie już wciągały Magwera z powrotem do izby.

Przekleństwa żołnierzy, krzyk Gorady, własny jęk były ostatnimi dźwiękami, jakie usłyszał pod ulewą razów, które nań spadły.

## 20. Gołąb na wodzie

Im bliżej był Pierścienia, tym bardziej pragnął ujrzeć święte miejsce.

Zmieniały się też sny. Zniknęły z nich obrazy przedmiotów i ludzi, a pojawiły się zamglone i złudne wizje. Lecz i te w końcu odpłynęły, ustępując miejsca skłębionym falom kolorów, zapachów, dźwięków. *Te* nowe sny, nie do opowiedzenia, niosły jednak treści realne. Jakby umysł Dorona przedzierał się przez kolejne zasłony okrywające prawdę, zgłębiał mądrość w magiczny sposób związaną ze świętym miejscem. Pierwsza warstwa to prosta wiedza o przeszłości. Krąg Mchu pamiętał i mógł wspominać każdy krok człowieka czy zwierzęcia, każdą nową roślinę wczepiającą w ziemię korzenie, każdy pożar, powódź i huragan, wszystko, co wydarzyło się w Leśnych Górach. Głębiej, niżej zapisane zostały wydarzenia z czasów, gdy pierwsi ludzie nie wyszli jeszcze z drzew Świętego Gaju. Świat przybierał wtedy swój dzisiejszy kształt. Ścierały się ze sobą żywioły, których dziś nikt już nie może ani pojąć, ani nazwać. Na samym dnie, niczym w naj-sekretnej strzeżonym lochu, trwała wiedza najpotężniejsza, wiedza o prawach rządzących światem, o regułach, którym podlegał sam Krąg i Ziemia Rodzicielka.

Dla zwykłego śmiertelnika Pierścień to tylko błogosławione miejsce, w którym doznać można łaski płodności, proroczego snu lub uzdrowienia. Dziś niewielu mieszkańców Dabory pamiętało, czym naprawdę jest Krąg. Od po-

koleń jednak władali nim gwardziści z Gniazda, stał się symbolem utraconej wolności, niczym więcej.

Doronowi, wybrańcowi Świętego Gaju, drzewa przekazały część swej mądrości. Mógł więc zrozumieć przynajmniej niektóre z obrazów tłoczących się w jego głowie. Widział zastępy wojowników, krwawe pożogi, oddziały drwali, budowniczych miast. Słyszał dawno zapomniane pieśni. Nie potrafił jednak zapanować nad natłokiem tych wizji. Przybywały doń w snach, ukazując na mgnienie coraz to nowe obrazy z przeróżnych miejsc i czasów. Wszystko to pomieszane w straszliwym chaosie - nie umiał ich zapamiętać i ułożyć w jeden ciąg zdarzeń. Tak właśnie Doron odbierał pierwszą warstwę zaklętej w Kręgu wiedzy. Jeszcze mniej docierało doń z drugiej, głębszej. Pojedyncze, zamglone obrazy, do których opisanie nie znalazłby nawet odpowiednich słów. Istnienie trzeciej warstwy Doron tylko przeczuwał.

Bo i drzewa są jedynie dziećmi ziemi, choć pierwotnymi. Ich moc to tylko część pierwotnej siły Rodzicielki, wiedza - fragment mądrości. Podały Doronowi to, co ofiarować mogły i chciały. Zbliżyły go do poznania istoty świata, lecz obszar tajemnic wciąż pozostawał wielokrotnie większy niż poznany ład. Teraz właśnie, zbliżając się do Kręgu, Doron czuł, że jego wiedza i siła jest tylko cząstką, ułamkiem mocy i mądrości Ziemi Rodzicielki, objawionej w Kręgu Mchu.

Doświadczył już kiedyś podobnego uczucia - gdy szedł do Świętego Gaju po błogosławieństwo Piastunki Drzew i wróżbę. Wtedy też czuł, że z każdym krokiem zbliża się do jądra przeogromnej siły, miejsca, w którym narodziły się ludzkie plemiona. Jednakże teraz to wrażenie było po wielokroć mocniejsze. Gdyby tak potrafił zrozumieć płynące z Kręgu opowieści, gdyby potrafił zadać pytania! Iluż rzeczy mógłby się dowiedzieć, ile wydarzeń z przeszłości zobaczyć, o ile przepowiedni poprosić! Ale on służył Drzewom, a nie Kręgowi, i mógł tylko czytać znaki, a nie je kreślić.

Od spotkania z sokolnikiem minął dzień. Wędrując prosto na północny wschód, dotarłby do Kręgu w ciągu

dwóch dni, jednakże wtedy musiałby przejść obok kilku służebnych wsi i drwalskich osiedli. Poza tym na tej drodze spodziewać się mógł zbyt wielu zbrojnych. Gwardia i sprzymierzone z nią, wierne banowi oddziały albo już ruszyły ku Daborze, albo właśnie się szykowały do wymarszu.

Magwera ocucił chłód i ból.

Śmierdziało zgnilizną i ludzkimi odchodami. Lecz przede wszystkim śmiercią. W powietrzu unosił się zaduch choroby, gorączki, gnijących ran i trupów. Było zimno.

Ból przenikał całe ciało. Tętnił w głowie, spełzał w dół po kręgosłupie, ciągnął po plecach, usadowił się nawet w ustach, świdrując miejsca po wybitych zębach.

Magwer otworzył oczy i spróbował usiąść. Jęknął cicho, tak zmęczył go ten wysiłek. Patrzył przed siebie osłupiałym wzrokiem.

W lochu panował półmrok, światło wpadało do środka tylko przez dwa umieszczone tuż pod sufitem okienka. Lecz to, co ujrzał, wystarczyło, by przerazić najdzielniejszego człowieka.



Najpierw zobaczył siebie. W przepasce na biodrach. Obitego i skrwawionego, utyłanego w gnoju, na którym leżał nie wiedzieć ile czasu.

Grodowi nieźle sobie użyli, czuł teraz każde uderzenie, każdego kopniaka. Lecz nie sądził, by to oni obdarli go z kaftana, butów i nogawic. Zbyt zniszczone i stare miał ubranie, by mogło skusić żołnierzy. Za to mieszkańców tego lochu - z pewnością. Magwer wciąż jeszcze zbierał siły, ale uważnie przyglądał się wszystkiemu wokół.

Kilkunastu mężczyzn siedziało w kątach, nie bacząc na ciągnące od kamieni zimno. Właśnie pod ścianami zebrano grubszą nieco warstwę słomy, jeśli słomą nazwać można kupki wilgotnych, gnijących badyli. Cały środek lochu pokrywała warstwa gnoju.

Cela miała szerokość może dziesięciu, a długość piętnastu kroków. Strop wisiał tak nisko, że człowiek słusznej budowy musiał szurać czupryną o belki sufitu. Dłuż-

szą chwilę Magwer nie mógł odnaleźć wejścia, w końcu zadarł głowę i zobaczył klapę tuż nad sobą. A więc tu go zrzucili, tu upadł i tu leży do tej pory. I tu, nieprzytomnego, ktoś okradł go z odzieży.

Zaraz też zobaczył, kto. Siedzieli w jednym kącie, na pryzmie słomy wyraźnie wyższej niż posłania innych więźniów, ubrani też jakby bardziej przyzwoicie. Czterech, pomiędzy nimi leżały kaftan, buty i nogawice Magwera. Czterech na jednego. Dużo. A pewnie mają jeszcze paru pomagierów, gotowych rzucić się człowiekowi do gardła za kęs chleba.

- Więc wstałeś? - Nad Magwerem pochylił się nieznajomy mężczyzna. - Masz, napij się.

Gorąca woda parzyła rozbite wargi, ale Magwer nie odstawił od ust kamiennej miseczki, póki nie wylizał ostatniej kropli wilgoci. Każdy łyk rozgrzewał ciało, przywracał siłę. Lecz im cieplej się robiło w żołądku, tym dotkliwiej odczuwał zimno atakujące mięśnie.

- Ktoś jest? - spytał nieznajomy.

- Komen, z Sowny - w porę przypomniał sobie to wymyślone przez Dorona imię i miejsce.

Usiedli pod ścianą. Kaczor, bo tak zwali pytającego mężczyznę, ustąpił Magwerowi kawałek swojego leża, ale, jakby nie zwracając uwagi na szczękającego zębami chłopaka, o ubraniu nawet nie wspomniał. Jeszcze dwóch więźniów przysunęło się bliżej, by wypytać nowego, ale reszta jakby w ogóle nie zwróciła na niego uwagi.

- Za co?

- Na wojnę nie chciałem iść. Pierwszego dnia to się zgłosiłem, a później chciałem do domu... No i złapali.

- Psiekrwie - splunął jeden ze słuchających, niski gruby człowieczek o dużych dłoniach. - I co?

Magwer nie odpowiedział. Jeśli zostanie tu jeszcze choćby pół dnia bez ubrania, to nie ominie go choroba. A w tych warunkach, przy więziennym jadłach, na pewno jej nie przeżyje. Zresztą i tak zaraz go stąd mogą zabrać, może na męki?

Wzdrygnął się, tym razem nie z zimna.

Z każdą chwilą będzie coraz słabszy. Jeśli teraz tego nie zrobi, to później tym bardziej nie da rady.

- A ci co? Wszystkich tak jak mnie? - spytał cicho. Widać jednak nazbyt głośno jak na to miejsce. W kącie coś się poruszyło, dwóch mężczyzn wstało.

- Gadałeś coś, smarku? - złodzieje powoli podeszli do Magwera.

Byli może potężniejsi, ale Magwer nie uważał się za ułomka. Potrafił walczyć, ćwiczył wszak najpierw u boku Ostrego, potem Dorona.

- Zostaw chłopaka - głos Kaczora brzmiał niemal błagalnie. - Młody jest...

Nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi. Jeden z mężczyzn pochylił się nad Magwerem, chwycił dłońmi jego głowę, pociągnął do góry. Magwer nie opierał się, wstał posłusznie. Tyle, że zdążył podnieść z ziemi leżący pod ścianą kamień. Gdy poczuł, że uchwyt na głowie zelżał, uderzył.

Chrupnęła kość, skowyt mężczyzny poderwał na nogi wszystkich więźniów, ciepła krew chlupnęła na zimne dłonie. Nie miał czasu na smakowanie tego gorąca. Zszedł z linii uderzenia, pochylił, przepuszczając nad sobą włochatą pięść, kopnął w podbrzusze, aż mężczyzna sapnął i przysiadł. Wtedy zdzielił go w twarz kamieniem. Przydepnął kark napastnika, aby gnój oblepił zmiażdżony nos. Bosa stopa ślizgała się po mokrej skórze, ale pięta dostatecznie mocno wbiła w szyję.

Tamci zamarli. Bali się, by mocniej nie nadepnął na kark ich kamrata. Trzech. Źle, że aż tylu. Dobrze, że tylko tylu. Magwer mocniej zacisnął kamień w dłoni.

Długo to nie mogło trwać. Starcie musiało zaraz zacząć się na nowo.

Magwer przeniósł ciężar ciała na prawą stopę. Charkot i krew.

Na twarzach więźniów malowała się ciekawość i podniecenie. Tak, wreszcie dostali jakąś zabawę, ten młody goły chłopak zabił jednego z władców celi. I chciał walczyć z następnymi.

- Kaczor? - Magwer pytająco spojrzął za siebie. Mężczyzna pokręcił głową, cofnął się o krok. Magwer gwizdnął przeciągle. Dwóch na trzech - to mo-

że by się udało. Jeden na trzech - to szaleństwo. Runęli na niego z wrzaskiem. Przeszkadzali sobie trochę. Uniknął ciosu, uskakując w bok. Teraz miał przed sobą warczącego potwora o sześciu kopiących nogach i sześciu młócających powietrze rękach. Ale też o trzech brzuchach, w które można

walnąć pięścią. Magwer uderzył w jeden z brzuchów, cisnął kamieniem w jedną z głów stwora, odepchnął drugi brzuch. To wszystko, czego zdołał dokonać.

Pierwsze uderzenie spadło mu na kark, drugie odrzuciło do tyłu głowę, trzecie zgięło w pół. Kolejny raz tego dnia padał pod nawałą ciosów. Z tą różnicą, że poprzednio rozochoceni żołdacy chcieli sobie na nim po prostu pouży-wać. Ci tutaj bili, by zabić. Krew popłynęła ze starych i świeżych ran, powrócił dawny ból, a ciałem zawładnął nowy. Magwer zwinął się pod ich butami, osłaniając rękoma głowę, zbierał kopniaki niczym słomiana ćwiczebna kukła.

A kiedy zbito go już do szczętu, kiedy zdawało mu się już, że nie ma kawałka ciała, jakiś stłumiony, dochodzący z góry głos powiedział.

- No, a teraz smarku, zrobimy z ciebie babę.

Nie był pewien czy jęknął, czy tylko mu się tak zdawało, ale podciągnął nogi do piersi, osłaniając podbrzusze. Usłyszał daleki śmiech, szare plamy zbliżyły się do niego, tylko uchwyt na ramionach był jedynym pewnym odczuciem napływającym z ciemnego, rozmytego świata. Gwałtowne szarpnięcie otworzyło Magwera niczym muszlę rzeczno-małego. Brudne, silne dłonie zaczęły obmacywać jego ciało. I kiedy już wszystko wydawało się skończone, kiedy Magwer umarł już wielokrotnie, nagle poczuł gryzący zapach, usłyszał chrapliwy, dochodzący zewsząd kaszel. Po chwili i jego dopadła gryząca woń. Przeturlał się na bok, zaczął kasłać, tak silnie, jakby zaraz miał wypluć własne trzewia, oczy podeszły mu łzami, piec zaczęła nawet skóra.

Przy tym wszystkim zdołał na tyle zapanować nad swym ciałem, by zmusić je do pełznięcia. Z każdym ruchem oddalał się od zataczających się od kaszlu oprawców, z całej siły chcąc uwierzyć, że może im uciec. I pełzł

tak, upačkany we krwi i gnoju, charcząc żółtą plwociną, aż drogę zagroziła mu ściana celi. Dalej nie mógł uciec. Odwrócił się i usiadł oparty plecami o chłodne kamienie.

Gęsty dym wypełniał cały loch. Zaś ponad kłębówiskiem, w otwartej klapie widać było cztery rozradowane twarze. Żołnierze pokładali się ze śmiechu, obserwując wymiotujących więźniów. Magwer zrozumiał, co się stało. Słyszając odgłosy bójki, strażnicy cisnęli do lochu garść jakiegoś śmierdzącego, płonącego zielska. Po co mieli schodzić na dół, narażać się na niebezpieczeństwo, rozbijając łby pałkami? Starczy sypnąć trochę tej dymiącej trucizny i więźniowie sami spokornieją.

Magwer gwałtownie pochylił się w bok i dotykając twarzą podłogi, zwymiotował.

Kiedy, kaszląc i plując, podniósł głowę, zobaczył, że wszyscy oprócz niego wciąż wiją się z bólu na więziennym klepisku. Widocznie, mając twarz wepchniętą w błoto i słomę, łyknął mniej trującego dymu. Ten haust świeżego powietrza teraz dawał mu przewagę. Przewagę, którą zaraz mógł stracić. Chwiejnym krokiem ruszył ku swoim oprawcom. Pierwszego, który właśnie wstawał z ziemi, chwycił za gardło. Zdławił chrapliwy oddech, zdusił mocnym uściskiem szarpiącą się głowę. Nogi mężczyzny trze-pnęły o ziemię, ręce próbowały odepchnąć Magwera. Na próżno, wciąż wypełniający

płuca dym odebrał mięśniom siłę. Po chwili Magwer poczuł, że ścisną trupa.

Usłyszał krzyk, to następny przeciwnik, już oprzytomniały, walił się na niego całym ciężarem. Magwer złapał go za włosy. Uderzył pięścią, sam jęknął, kopnięty w brzuch twardym kolaniem. Nie puścił jednak, znów zaczepił palce we włosach mężczyzny, huknął jego głową o posadzkę, raz, drugi.

Poderwał się gwałtownie, czekając na kolejny atak, ale nie miał już z kim walczyć. Ostatni złodziej leżał dwa kroki obok, z twarzą zalaną krwią. Nad ciałem stał Kaczor, ściskając umazany w błocie i posoce kamień.

Doronowi nie udało się ominąć służebnych wsi. Wieczorem następnego dnia zobaczył smugi dymu z kominów.

Był jednak zadowolony. Potrzebował nowych wiadomości, a dostarczyć ich mógł tylko ktoś mieszkający w pobliżu siedzib Gwardii. Liść miał szansę dotrzeć do Kręgu jedynie wtedy, gdy wojska Miasta wyjdą zeń w całości.

Pierścienia Mchu strzeżono pilnie, swobodny dostęp do świętego miejsca mieli jedynie ban i jego syn. Kiedy Do-ron został Liściem, otrzymał prawo wstępu do Kręgu. Nigdy z niego nie skorzystał. Teraz musiałby się ujawnić, a tego chciał uniknąć.

Zmrok nadchodził szybko i Doron musiał przyspieszyć. Minał leśne wypaleniska, przeciął zaorane już pola i dotarł do skraju wsi. Musiał tu mieszkać niezbyt zamożny ród, podobny wielu innym w Leśnych Górach. Kilkanaście ziemianek i szałasów, jeden budynek z grubych bre-wion - poczerniałych i spękanych ze starości. Tym ludziom nie opłacało się budować solidnych siedzib. Wypalali coraz to nowe obszary puszczy, a po latach ich dzieci wracały na stare miejsce, gdzie las już odrósł, a ziemia odpoczęła. Nowe pokolenie przychodziło na świat podczas wędrówki, stawiało nowe domy. Niewielu zaś spotykało się ludzi, co więcej niż dwa razy powracali do miejsca swoich narodzin.

Doron bacznie obserwował wieś. Nie rozpoznał zatkniętych przed domami proporców. Powtarzający się motyw okręgu wskazywał jednak na przypisanie rodu do Pierścienia.

Kilku ludzi kręciło się po osadzie. Zasmarkane dzieciaki, mimo chłodu i późnej pory tylko w przepaskach wokół bioder. Kobiety o pozlepianych włosach, sękatych ramionach i obwisłych piersiach ledwie osłanianych przez skórzane łachy. Brudni, zarośnięci mężczyźni w kamizelkach z sarnich skór i lnianych spodniach. Różnili się od wieśniaków z okolic Dabory, tak jak wiejski kundel od psa bojowego. Im dalej od stolicy, im głębiej w puszcze, tym dziksi stawali się ludzie. Szczególnie tu, na wschodzie, gdzie żyło wiele rodzin i każda z nich władała niewielkim obszarem. Wyjałowiona ziemia dawała słabe plony, ludzie marnieli. O dwa dni drogi na wschód zaczynał się inny kraj - tam Gwardia trzymała swych rabów kamienną rę-

ką, ziemią gospodarowano mądrze, dawano jej wiele lat wypoczynku. Ci tutaj, choć też służyli Kręgowi, byli dzikimi ludźmi, nie znającymi pisma ni sztuki. W ciągłym zagrożeniu bliskością

wojowników Gniazda; porywani na krwawe obrzędy; najeżdżani dla uciechy żołdaków; obciążani dodatkowymi podatkami, powinnościami przewodu, stanu i śladu, żyli niczym zwierzęta, nic nie wiedząc o świecie. Pewnie i Szepczący nie docierali tu ze swoją nauką, bo mogło się to okazać zbyt niebezpieczne. Jednakże ci ludzie, tak od Gwardii zależni, musieli wiedzieć wszystko o ruchach, marszach i przeprawach wojsk Gniazda. Tu Liść mógł znaleźć dobrego języka.

Zmrok zapadł już i tylko księżyc oświetlał drzewa, gdy z jednej z chat wyszła ciemna postać i najbliższą przesieką ruszyła w głąb lasu.

Doron uśmiechnął się - na takiego właśnie człowieka czekał przez cały czas. Myśliwy ruszający na nocne łowy, kobieta idąca kąpać się w jezioru, znachor szukający ziół w świetle księżyca. Spotkanie z każdym z nich mogło mieć swoje dobre strony. Znachor wiedziałby dużo o posunięciach wojsk, wprawny łowca znać musiał prowadzące ku Kręgowi ścieżki, a kobieta... Doron poczuł gwałtowne uderzenie krwi, długo już nie miał kobiety. Nagle przed jego oczami pojawiła się Soła, córka Salota, mocna, krągła. Doron uspokajał się chwilę. Wreszcie ruszył za znikającym już pośród drzew człowiekiem. Mógł właściwie pochwycić go od razu, ale chciał, żeby ofiara oddaliła się od osady.

Księżyc świecił jasnym, srebrnym blaskiem. Piękna noc - jasna i ciepła - otuliła las. Wiatr lekko kołysał konarami drzew, łagodnie szumiały liście, gwiazdy migotały. W taką noc mięsożercy zabijają wiele ofiar, w taką noc mech spływa krwią. Tb dobra noc dla lasu.

Wieśniak minął brzozowy zagajnik i skierował się ku gęstym krzakom leszczyny porastającym niewielką polanę. Tu wreszcie stanął. Podszedł do jednego z drzew, wydobył zza pasa kamienny nóż i odciął kawałek kory. Teraz Doron mógł mu się przyjrzeć uważniej. Był to mężczyzna niski, o krótkich, wręcz karłowatych nogach i dziwnie

długich rękach. Mógł być znachorem. Jadownikiem. Albo czarownikiem. W każdym z tych przypadków należało go unieszkodliwić i wziąć na spytki. Doron wahał się jednak, ciekawiło go, czego ów mężczyzna szukać może w lesie

O tej porze.

Kiedy więc wieśniak stanął między rzadko rosnącymi sosnami, Liść podszedł do niego, jak mógł najbliżej. Nie atakował jednak. Czekał i obserwował. W tym czasie mężczyzna wyjął zza pazuchy niewielki obły kształt. Położył go na ziemi, przykucnął. Po chwili Doron zorientował się, że mężczyzna rozsypuje szmatę, w której zawiązał jakiś cenny przedmiot. Wydobył go, chwilę przyglądał się mu z uwagą. Zza pazuchy wyjął coś jeszcze. Coś żywego, piszczącego, trzepoczącego w mocnych dłoniach, nim te ukreśliły mu łepiek. Mężczyzna jednym szarpnięciem rozerwał martwe ciało i szepcząc cicho, u mazał sobie krwią twarz. Potem wprawnymi ruchami palców wypatroszył, jak się w końcu dopatrzył Doron, ptaka, a w miejsce wyrwanych wnętrzności włożył tajemniczy przedmiot. I znów sięgnął za pazuchę, wyciągając spod kurtki zwitek nici. Nici...

Doron zrozumiał. Uczestniczył w strasznym obrzędzie - mężczyzna rzucał urok i to urok okrutny. W

Daborze nazywany mrówczą śmiercią, na południu mrówczyą, na wschodzie dziurawnikiem. Przewidywania Liścia potwierdziły się, gdy mężczyzna, owinąwszy truchło ową kępką nie przedrzy przecież, a ludzkich włosów, wstał i podszedł do małego kopczyka. Mrowiska. Stał nad nim i zaczął śpiewać cichą modlitwę, co jakiś czas pochylając się gwałtownie, by z twarzą tuż przy kopcu głośno powiedzieć imię ofiary. Mrówki muszą je usłyszeć i zapamiętać.

Skończył, zmiął w dłoniach martwego ptaka wyciskając na mrówczy kopiec strużkę krwi, a następnie położył zawiniątko na szczycie pagórka. Jeśli dobrze przeprowadził obrzęd, to do świtu zniknie z mrowiska ptasie mięso

1 schowana w środku, ulepiona z chleba figurka przedstawiająca ofiarę.

Dotknięty urokiem człowiek, czując dziwne swędzenie w całym ciele, zacznie się drapać. Lecz swędzenie nie

zniknie, zacznie narastać, zmieniając się w ból. Straszny, szarpiący całym ciałem, rozrywający mięśnie, grzęznący w trzewiach... Na skórze pojawią się setki ranek i zauroczony już wtedy pojmie, jaki koniec go czeka. Spróbuje się podnieść, by samemu zadać sobie śmierć, lecz zabraknie mu sił. Zacznie prosić o pomoc bliskich, ale oni uciekną, bo niewielu wie, że mrówcza śmierć to nie zakaźna choroba, a urok. Odczekają kilka dni i spalą jego szałas, jego psa i krowy, jego dzieci. Lecz nim to wszystko się stanie, człek ów żył jeszcze będzie pół dnia, dzień. I ujrzy, jak z każdej ranki popłynie sznur mrówek, wyjadających jego ciało od środka. Tak, by żył jak najdłużej. Bo gdy on umrze, mrówki w jednej chwili zamienią się w proch.

Doron zdrzął, przypomniawszy sobie to wszystko. To okrutna śmierć, straszna nawet teraz, gdy wojna zabija setki ludzi, gdy podrzynane są gardła, przebijane serca, miażdżone czaszki. Niewielu znało prawdę o mrówczym uroku, a jeszcze mniej potrafiło go rzucać. Ten tu obdar-tus przejął pewnie wiedzę od swojego ojca i przekaże ją synowi. Tajemnica pozostanie ukryta, a śmierć spadnie na każdego, kto przeciwstawi się woli czarowników.

Doron nie znał ani kata, ani ofiary i niewiele go oni obchodzili. Jednakże gardził takim sposobem zabijania tak samo silnie, jak bałby się takiej śmierci. Uczciwie jest, gdy dwaj mężczyźni stają naprzeciw siebie z nożami z szarego kamienia albo strzelają zatrutymi strzałami, albo staczają walkę na konarach wielkiego drzewa. Lecz mrówcza śmierć... Kiedy koślawiec zabrał się do ostatecznego zacyniania uroku, Liść wynurzył się spomiędzy krzaków.

- Stój!

Mężczyzna zamarł w bezruchu. Powoli odwrócił się ku Doronowi.

- Ktoś ty? - spytał ze śpiewnym akcentem, właściwym dla mieszkańców tych terenów.

- Kim ty jesteś, że na ludzi rzucasz uroki? - Doron postąpił krok do przodu, groźnie unosząc karogę.

- Litości, panie. Tutejszym, ze wsi, tu *zaraz*, panie...
- Kogoś chciał ukatrupić?
- Chciał, chciał, uuu... a co ja mogę chcieć. Po co mnie ludzi ukatrupiać? Prośbę zem dostał, to i robię. Jaja i miód za to mam dostać, co mnie tam po ukatrupianiu.
- Dobra. Co o Gwardii wiesz? Siedzi w Kręgu?
- Zbiera się, panie, uuu... zbiera i sroży. Dwa dni na-zad, jak do wsi zeszli poborcy. Zboże zabrali, krowy... uuu... dobre, mleczne, i chłopów czterech. Silnych i robotnych. Toć z tego zabrania zaklinam.
- Jak to?
- No, bo paru się od poboru wywinęło i ci we wsi zostali, a że jeden se babę upatrzył, to obmyślił, żeby jej mąż z wojny nie wrócił. Ona mu ochotna, to co miałem...
- Przecież spalą ją w chałupie.
- Uuu... Jak on na wojnie zemrze, to kto się dowie, jak...
- Gwardia już wyszła ze stanic?
- Toć ja niewiedzący. Ale ludzie coś tam gadają, ja coś tam usłyszę, to i wiem. I z ptaków spłoszenia, i z dymów na niebie. Jeszcze w Kręgu siedzą. A ruszą lada dzień.
- Dużo ich?
- Wielu. Mówią, że dwa grose gwardzistów i po trzykroć innych wojowników.
- Trzystu - mruknął Doron. - Moc. Tb kiedy ruszą, mówisz?
- Uuu... Gadali coś ci poborcy, że jutro o zmroku.
- W Kręgu ilu zostanie?
- Uuu... A skąd mam to wiedzieć, panie, skąd?

Liść uważnie wpatrywał się w twarz mówiącego, wsłuchiwał w brzmienie jego słów. Pokurcz nie kłamał. No a jeśli oszukiwał, robił to nad wyraz zręcznie.

- Zajmij się swoją robotą - powiedział Liść i cofnął się w las, znikając z oczu równie przerażonego, co i zdziwionego człowieka.

Trupy leżały w lochu jeszcze cały dzień, widocznie strażnicy doszli do wniosku, że tym sposobem odzwyczajają więźniów od zabijania się nawzajem. Dopiero nazajutrz kazano wynieść ciała. Potem związano więźniom ręce i pognano na drugi koniec miasta. Na szczęście panował jeszcze mrok i niewielu ludzi mogło ich zobaczyć.

Magwera przeraziło to z początku, czuł wstyd i rozpacz, ale potem przestał zwracać uwagę na mijanych ludzi. Co innego pochłaniało go teraz. Prowadzono ich do jakiejś roboty, to pewne. Każdemu więźniowi przed wymarszem założono na lewą łydkę skórzaną obręcz z plecionym uchwytem. Przez te ucha przeciągnięto długą linę. Maszerowali niczym gigantyczna gąsienica - o ucieczce nie było co marzyć.

Gdzieś w połowie drogi zrozumiał, że prowadzą ich do przystani.

- Wezmą nas na wioślarzy - mruknął idący za Mag-werem Kaczor.

Młodzieniec struchlał. Wioślarze. Znał los tych rabów. Krótkie życie spędzali z nogami w drewnianych dybach, z karkami zgiętymi przez wysiłek, wyblakłymi oczami odwykłymi od słonecznego blasku. Tb gorsze niż loch, gorsze! Stamtąd nie ma uciezki.

Dawał już się wyczuć chłodny, ciągnący od rzeki powiew wiatru. Powoli schodzili ku nabrzeżu portowemu. Minęli rząd rybackich łódek, kilka barek, odgrodzoną część portu, gdzie stały onegdaj wycieczkowe okręciki bana. Z daleka dobiegło ich pokrzykiwanie ludzi i ryk wołów.

- Do tratw nas wzięli - szepnął ktoś z przodu.

Wyłożony kamieniem trakt prowadził wprost ku rozległej zatoce. Tu Szara Rzeka płynęła szerzej, tworząc niewielkie rozlewisko prawie że stojącej wody. Na kilku pomostach poruszali się - w porannym półmroku Magwer dobrze widział ciemne postacie - ludzie z bosakami. Rzeką płynęły tratwy z nieokorowanych jeszcze drzew. Po śliskich belkach zwinnie skakali flisacy. Najgorsza praca zaczynała się tu właśnie, gdy trzeba było wypychać tratwy z głównego nurtu i kierować w bok, ku nabrzeżu. Tam zaś czekały już zaprzęgi wołów, by powieźć drewno dalej. Powstańcy potrzebowali mnóstwa drewnianych bali - na obłąznicze wieże, tarany, pomosty, szańce. O tym wszystkim zdążył pomyśleć Magwer, nim kopniak i szturchaniec pognały go w stronę wody.

Od Kręgu dzielił Liścia dzień drogi. Być może zbyt wiele. Może za mało. Wszystko zależało od tego, kiedy Gwardia opuści swe garnizony w Komie, twierdzy leżącej może dwie wiorsty od Pierścienia. Powinien znaleźć się tam tuż po odejściu wojsk, jednak nie za późno. Doron musiał wszak potem dogonić i prześcignąć maszerującą armię, by dotrzeć do Gorczem wcześniej niż ona. Szykowała się bitwa, wielkie starcie, w którym udział wezmą całe siły buntowników, armia bana i wojska Gniazda. Ban na pewno ruszy do walki. Opuści bezpieczną kryjówkę i Doron miał nadzieję, że zdoła pochwytać władcę. Liść nie spodziewał się łatwego wyścigu z Gwardią. Szerszenie mogli maszerować i kilka dni bez snu. Na szczęście szli razem ze swoimi sprzymierzeńcami, a za wojskiem wlokły się jeszcze tabory. Zwyczajni ludzie i woły muszą wypoczywać - to dostatecznie opóźni pochód.



Ciekawe, co robi Magwer. Młody, narwany, ale niegłupi. Mądry wręcz. Brak mu tylko doświadczenia i umiejętności czekania. Wojownik powinien potrafić czekać. Na decydujące pchnięcie, na okazję do ataku, na sposobność ucieczki. Musi poddać się odruchom i przeczuciom, ale nie może im zawierzyć do końca.

Krąg przyzywał Dorona, Liść czuł magiczny, oszołamiający puls świętego miejsca. Pamiętał jednak o zadaniu, jakie miał do wykonania. Jeśli sprawy ułożą się niedobrze - zrezygnuje z wizyty w Pierścieniu.

W południe minął Garwołę, jedną z większych osad leżących w pobliżu Kręgu, słynącą z potężnych, starych dębów. Tu już zaczął się spory ruch. Po drodze wiodącej do Komy wędrowało wielu ludzi.

W Garwoli Liść nie zobaczył ani jednego gwardzisty, choć po wsi krążyły patrole żołnierzy. Byli w pełni wyekwipowani, pod bronią. Wojska z Kręgu ruszyć więc miały lada chwila. Kiedy jednak dokładnie? Za dzień, półtora, dwa? A może dziś wieczór.

Doron przepakował rzeczy, ukrył karogę w plecaku i wyszedł prosto na drogę.

Cały dzień ładowali drewniane bale na ciągnięte przez woły sanie. Praca nie była może cięższa od roboty rąbiących to drzewo drwali czy spławiających je flisaków. Jednakże tamci pracować mogli spokojnie i miarowo, swoim rytmem, więźniów wciąż poganiano; od rana do zmroku nie mieli ni chwili spokoju. Kulili się ze strachu, gdy tylko nadchodził któryś ze strażników. Na obiad dostali jedynie miskę kleistej kaszy, w której niełatwo było wygrzebać choćby kawałek mięsiwa.

Nic więc dziwnego, że gdy wieczorem zagoniono ich z powrotem do więzienia, większość od razu pogrążyła się we śnie. Pojękiwania i chrapanie dobiegały spod wszystkich ścian.

Magwer nie spał. Ściągnąwszy mokry kaftan, położył go obok. Skulił się, zwinął, zamknął oczy. Ziębnięty i mokry, ze stłuczonymi kolanami i pozdieraną na rękach skórą, próbował spokojnie pozbierać myśli. Cały ten koszmary dzień minął wolno, bardzo wolno. Praca nie była trudna, była wręcz bezmyślna. Stać po kolana w wodzie i przepychać powiązane belki albo ładować je drewnianymi żerdziami na sanie - to wszystko, czego od nich wymagano.

Trzeba uciekać, póki starcza sił. Ta robota, tak wykonywana, umęczy człowieka po jednym dniu. Po kilku może go nawet uśmiercić. Zresztą nie tylko o to chodzi. Gwardia pewnie wkrótce nadejdzie, a więc i rychło można się spodziewać szturm. Kto jednak wie, co zrobią z więźniami strażnicy, gdy już przestaną ich potrzebować. Poślą na pierwszą linię ataku, na pewną śmierć. Albo też sami pierwiej zatłuką. Trzeba uciekać.

•

Nie dotarł do Kręgu, nawet go nie ujrzał z daleka. Kiedy znajdował się w połowie drogi między Garwołą a Komą, zobaczył maszerujące oddziały. Zszedł z traktu. Ukrył się w lesie i spokojnie obejrzał armię Gniazda defilującą przed nim niby na paradzie.

Całą kolumnę prowadził oddział gwardyjskich tropicieli. Za nimi maszerowało tysiąc najemników. Ziemi Os nie

broniły inne wojska prócz Gwardii, tu jednak, w Leśnych Górach, utrzymywano korpus żołnierzy złożony głównie z oltomarczyków i pogranicznych rzezimieszków. Za oltomarczykami kroczyło piętnaście secin piechoty dymowej -każda wieś służąca Kręgowi musiała dostarczać do tych oddziałów młodych mężczyzn. Dalej posuwały się tabory -psie tobogany i wozy ciągnięte przez woły. Później przed oczami Dorona przemaszerował następny oddział. Niewielki, ale straszny. Siedemdziesięciu Pasterzy Psów, prowadzących bojowe wilki - potężne, czarne, o wielkich pyskach i muskularnych łapach. Psy szły ciche i spokojne, gdy czasem któryś szarpnął smycz lub zawarczał, Pasterz karmił go natychmiast, słowem spokojnym, wręcz delikatnym. Potężny zwierz uspokajał się zaraz, poddając prośbie opiekuna.

Za Pasterzami kroczyło sześć setek sjeni, niewolników Miasta, wychowanych w niepojęty dla Dorona sposób, tak że żyli w przekonaniu o słuszności swego poddaństwa. Stanowili siłę może nie najlepiej wyszkoloną, jednak gdyby dostali rozkaz walki, zginęliby wszyscy, broniąc każdej piędzi ziemi.

Dopiero za nimi postępował trzon armii - pięciuset gwardzistów - siły najwyraźniej wsparte posiłkami z Ziemi Os. Prowadził ich ślepy Przewodnik - mały chłopiec, uderzający rytmicznie w zawieszony u pasa bębenek. Przechodzili tak, szereg za szeregiem, dumni i niepokonani.

Kolumnę zamykało dwudziestu tropicieli z psami. Wkrótce otoczą oni pochód żywym pierścieniem, wyłapując szpiegów i ostrzegając przed atakami. Armia szła szybko i Liść wiedział, że jeśli pójdzie dalej do Kręgu, to może potem nie zdążyć do Dabory. Zdecydował więc zawrócić.

Następnego dnia zaczęli pracę jeszcze przed świtem. W czasie pierwszej przerwy dostali po misce ciepłej, choć rzadkiej zupy. Tuż po południu pozwolono im na dłuższy odpoczynek. Tym razem mogli napchać brzuchy kaszą, rzecz jasna zimną i bez omasty.

Kolejna przerwa zaczęła się wkrótce potem, zgoła nieoczekiwanie. Do brzegu przybił właśnie nowy spław, ze trzydzieści tratw z potężnych bukowych bali. Magwer wraz z innymi więźniami uwijał się jak w ukropie. Nagle od strony przystani handlowej rozbrzmiały okrzyki. Gwar podnieconych głosów narastał z każdą chwilą. Zza zakrętu wyszło kilkunastu ludzi otaczających mężczyznę, niosącego coś ostrożnie w dłoniach. Coś małego, delikatnego i żywego.

Wszyscy przerwali pracę, zwracając zaciekawione spojrzenia w stronę niezwykłego pochodu. Magwer otarł dłonią wodę ściekającą z włosów na oczy. To był gołąb. Tylko łepki i ogon ptaka wystawał pomiędzy dłoni mężczyzny, lecz i to wystarczyło, by dostrzec pióra umazane krwią.

- Co to? - dowódca strażników podszedł do ludzi. - Co to za ptak?

- Gołąb - mężczyzna uśmiechnął się głupkowato. -Dziwny jakiś, ze sznurkiem u łapki, ot tu - podsunął rękę pod nos żołnierza. Niebaczenie rozłożył dłonie. Gołąb szarpnął się gwałtownie. I poderwał się w

górze.

- Żesz ty! - zaklął mężczyzna, bezradnie machając rękami, ale ptak krążył już za wysoko. Bił jednak skrzydłami nierówno. Chwilę szybował, lecz zaraz runął w dół, uderzając w piasek tuż na granicy jeziora. Pierwsza fala liznęła jego zakrwawione pióra.

Rzucili się ku niemu: i mężczyzna, i strażnik, i stojący najbliżej więźniowie. Magwer stał w bezruchu, patrząc, jak wszyscy przepychają się wokół szamoczącego się ptaka. Jak żołnierz chwytą w końcu rannego gołębia i jednym szarpnięciem ręki odrywa mu łeppek. Teraz ptak nigdzie już nie ucieknie, a przecież nie on jest ważny, tylko to, co niesie przywiązane do łapki. List.

Pocztowy gołąb bana. Już na początku swej wędrówki musiał spotkać się z jakimś drapieżnikiem - sokołem lub jastrzębiem. Uszedł z życiem, ale poraniony wpadł w łapska ludzi. I tu skończyła się jego misja.

Magwer chwilę jeszcze patrzył za odchodzącym żołnierzem, ale usłyszawszy krzyki strażników i pierwsze chłaśnięcia batów, zabrał się do roboty. Wciąż jednak my-

ślał o ptaku. Gołąb, gdy uciekł z rąk mężczyzny, leciał nie na zachód - tam, gdzie stacjonowała Gwardia - ale na północ, ku Uwęgnie. Może strach, zmęczenie i śmiertelna rana pomieszały mu kierunki. Być może... Lecz to gołąb pocztowy, one i umykając przed sokołem, pilnują swej drogi. Ten leciał na północ. Po co?

Marsz powrotny zmęczył Dorona znacznie bardziej niż wędrówka ku Kręgowi. Nic dziwnego. Szedł niewiele krótszą drogą, za to musiał się spieszyć. Najpierw ominąć, a potem prześcignąć Gwardię, tak by psy Tropicielei nie złapały śladu. Nie było to takie proste, jak myślał z początku. Kolumna wojska szła traktem - on przedzierał się przez las. Żołnierze Miasta byli syci i wypoczęci - on wędrował już długo, od dawna nie dosypiał. Gdyby nie to, że wozy ze spyżą ciągnęły w środku kolumny, mógłby nie zdążyć. Ale dlaczego trzon armii dostosowywał się do taborów? Z tego samego chyba powodu, dla którego zwlekano z wymarszem. Gwardziści nie dowiedzieli się o buncie od bana. Być może ptaki zginęły po drodze, wiele wszak czyhało na niebezpieczeństw - ludzkie strzały, jastrzębie pazury, jesienne burze. Być może więc wysłane gołębie nie doleciały do Komy. Albo... Po tym, co wcześniej usłyszał od Magwera, po tym, co sam widział, mógł uwierzyć we wszystko. Ban nie wzywał odsieczy. I b czekanie mogło mu przynieść korzyść. Gwardia też od razu nie ruszyła z pomocą, a kiedy już wyszła z Kręgu, to poruszała się znacznie wolniej, niż mogła. Czyżby i ban, i Gwardia czekali, aż powstanie się zorganizuje, okrzepnie? Może tak, może chcieli, by wszyscy wichrzyciele zebrali się w jednym miejscu. Gdy zostanie zgnieciona buntownicza armia, na długo struchleją serca. Padną w tej walce Szepczący, ich pomocnicy i wszyscy, którzy im sprzyjają.

Lecz mogło też być inaczej. Ban prowadzi swoją grę. Zwlekał z wezwaniem pomocy, czekał, aż bunt urośnie w siłę. Może... może liczył się ze zwycięstwem powstańców nad Szerszeniami. Zawczasu przygotowany na taką ewentualność, wprowadziwszy w szeregi buntowników

swoich ludzi, takich jak Ostry, mógłby objąć pełnię władzy nad Leśnymi Górami. Śmiało

przypuszczenie. Prędzej już chce wykrwawić i Gwardię, i powstańców. Osłabiając jednych i drugich, wzmocni swoją potęgę. Może... Ale przecież równie dobrze Gniazdo może mieć podobne plany, uznać, że choć bunt nie obali władzy bana, to jednak osłabi jego pozycję. Jeśli widmo klęski zajrzy Afrze w oczy, tym pokorniej przyjmie pomoc Szerszeni.

Te dni uświadomiły Liściowi, jak skomplikowana gra toczy się wokół niego. Choć nie widział jej celu i nie znał siły graczy, powoli zaczynał rozpoznawać reguły. Finałem gry będzie bitwa. I śmierć bana. I śmierć jego, Liścia.

Ucieczkę zaplanowali na wieczór. Nie wymyślili nic mądrego, bo też i nie za bardzo była po temu okazja. Z lochu nie umkną - ściany za grube, a na górze strażnicy. W ciągu dnia też raczej nie — pracowali wszak na odkrytym terenie, wokół przystani kręciło się mnóstwo ludzi. Pozostawały dwa wyjścia: albo rano, gdy będą iść do roboty, albo po zmroku, tuż przed jej zakończeniem. Kaczor chciał uciekać rano, musieliby tylko doczekać świtu, potem mogliby się wmieszać w tłum daborczyków. Agyag wolał uciekać wieczorem. *To prawda*, mówił, że będą wtedy zmęczeni i zziębnięci po całym dniu pracy, za to zyskają noc na ucieczkę i zatarcie śladów. Zdecydował głos Mag-wera. Chłopak nie chciał zostawać w mieście. Miał zamiar dotrzeć do leśnej kryjówki Dorona i tam czekać na powrót Liścia. Żeby zaś wydostać się z Dabory, lepiej dokonać tego w nocy niżli za dnia. Ustalili więc, że spróbują się wymknąć tuż przed końcem pracy. Strażnicy i poganiacze będą już wtedy zmęczeni, mniej skorzy do pilnowania więźniów. Kto wie, może przy odrobinie szczęścia uda się niezauważenie opuścić przystań...

Rozpoczęli tę dniówkę, myśląc tylko o ucieczce. Nad wodą rozeszli się do różnych prac. Gdyby pracowali razem, musieliby starać się tak jak wszyscy - przypadała wszak na nich określona ilość drewna do przerzucenia. Teraz mogli nieco zwolnić, mniej siły wkładać w dźwiga-

nie mokrych belek. Narażali się tym nie tylko na baty od nadzorców, ale i na to, że wieczorem współwięźniowie zechcą ich obić. Tego Magwer bał się nawet bardziej niż kilku pręg na grzbiecie. Mógł mieć tylko nadzieję, że tej nocy nie spędzi już w celi.

Na obiad zjadł jeszcze więcej kaszy niż wczoraj. Wiedział, że pełny brzuch przeszkadza w pracy, ale nie mógł się powstrzymać. Kto wie, kiedy zdobędzie następny posiłek.

Słońce chowało się już za drzewami, śląc lekki poblask po powierzchni jeziora. Zapłonęły pierwsze ogniska, przy których siadali strażnicy. Za to pozostali nadzorcy częściej strzelali batami nad głowami pracujących. Niebo było czyste, bez jednej chmury. To dobrze, bo blask księżycy ułatwi ucieczkę. To źle, gdyż pomoże pościgowi.

Wreszcie słońce spłynęło poza krąg świata.

Ważnie w tej chwili, gdy ostatni czerwony blask kładł się za odległymi drzewami, Magwer pomyślał o Kaczorze i Agyagu. Dogadali się wszak w sprawie ucieczki od razu, omówili wszystko, uzgodnili, że razem spróbują umknąć grodowym. Tylko że to nie miało sensu. Łatwiej wszak jednemu człowiekowi ukryć się pod pomostem i tratwami, jednego ciemność łatwiej osłoni.

Zobaczył płynące z prądem belki. Związane sznurem, musiały się oderwać od jakiejś tratwy, a zmrok sprawił, że nie dostrzegli ich flisacy. Wąski, długi cień na drżącej powierzchni wody sunął powoli w blasku odbijających się w rzece pochodni. Trochę za wcześnie to się wydarzyło, ale kto wie, może to właśnie znak, zaproszenie...

Magwer rozejrzał się wokół. Paru strażników stało na brzegu, dwóch na najbliższym pomoście. Nie patrzyli w jego stronę. W pobliżu pracowało kilku więźniów - zanurzeni po pierś w wodzie przepychali tratwy ku brzegowi. Gdyby zanurkował, może by tego nie zauważyli - ot, jeden cień mniej pomiędzy beładnie rozrzuconymi tratwami i pniakami.

Dwie belki niedługo przepłyną na jego wysokości.

Kaczor i Agyag pracowali spokojnie. Stali bliżej brzegu niż Magwer, odwrócenie do chłopaka plecami.

Belki nadpływały.

Zaczerpnął głęboko w płuca powietrze i zanurkował.

Zszedł blisko dna. Zaczął płynąć w poprzek nurtu. Rzeka spychała go tak jak i belki. Jeśli więc mocno popracuje ramionami, to powinien je dopaść. W ustalaniu kierunku pomagał mu nurt rzeki, do pomiaru odległości - zapas powietrza w płucach. Sporo wysiłku kosztowało go utrzymanie się blisko dna - nie mógł wszak zbyt wzburzyć powierzchni wody.

Widział mało, lecz wyraźnie dostrzegł ciemny cień sunący nad głową. Zaczęło mu brakować powietrza. Ostatnim wysiłkiem woli wypchnął się w górę i wynurzył tuż obok czarnych bali. Udało się! Udało się!

Dopiero po chwili do uszu Magwera dotarły pierwsze dźwięki. Wrzaski dochodzące od strony przystani, łagodny szmer rzeki. I chlupot. Zdążył się odwrócić, by zobaczyć ciemny, obły kształt łodzi, twarze wychylone przez burty i pióro wiosła zbliżające się do jego głowy.

Wyciągnęli go na pokład, a potem zaczęli bić. Dopłynąwszy do brzegu, wyrzucili na piasek i bili dalej.

Potem odzyskiwał przytomność bardzo rzadko.

Bili.

## 21. Ranek

.Miasto czekało.

Jeśliby stanąć na jego granicy, wspiąć się na dach któregoś z domów lub na wysokie drzewo i spojrzeć na wschód, wtedy daleko, na linii horyzontu, dostrzec by można smużki dymu pochylone przez lekki wiatr. To płonęły obozowe ogniska. Tam właśnie, jeszcze poprzedniego wieczora zatrzymał się pochód Gwardii.

linia wojowników Gniazda oparła się o dwa niewielkie wzgórza, rozciągając się na przestrzeni dwóch tysięcy kroków. Pole przed nimi było równe, trawiaste - lepszego do stoczenia otwartej bitwy nie sposób sobie wymarzyć.

Wojska Białego Pazura czekały na granicy miasta. Widząc jednak, że przeciwnik się nie zbliża, Szepczący przesunął swych ludzi ku gwardzistom. Wydawało się, że obu stronom odpowiada bój na otwartej przestrzeni, a nie mozolna walka na ulicach Daborcy. Tylko w regularnej bitwie wojownicy Gniazda mogli w pełni wykorzystać siłę i karność swego wojska. Z kolei daborczykom zależało na odepchnięciu wroga od grodu. Walka w obrębie miasta oznacza jego ruinę - domostwa strawione przez ogień; kobiety i dzieci narażone na śmiertelne niebezpieczeństwo. Więc jeśli zajdzie taka potrzeba - cofną się do Daborcy. Na razie woleli zetrzeć się z wrogiem z dala od swych domów.

Miasto opustoszało. Co bogatsi kupcy i rzemieślnicy odprawili swe rodziny do pobliskich wsi, za rzekę. Część kobiet zgromadziła się na tyłach wojska, czy to z ciekawości, czy to chcąc pomagać rannym. Reszta siedziała w do-

mach, pilnując dzieci i strzegąc dobytku. Mocno bowiem obawiano się złodziei, którzy teraz bezkarnie mogliby grasować po opustoszałym mieście. Tylko kilka patroli przemierzało ważniejsze ulice stolicy, i nie po to właściwie, by ścigać rabusiów, lecz by zapewnić bezpieczeństwo gońcom przynoszącym wiadomości między polem bitwy a oblegającymi twierdzę ludźmi Ozyna.

Dabora czekała na swych wybawicieli lub zdobywców w ciszy. Nieswojo czuł się Doron, idąc pustą ulicą. Zawsze panował tu ruch i gwar, codziennie potoki ludzi przepływały ku placom handlowym, kramarze krzykiem zachwalali swój towar, płakały dzieci. Teraz pozostał tylko szum wiatru, ptasi świergot i dalekie nawoływania strażników.

Przez cały poprzedni dzień Liść siedział ukryty w szopie, w okolicy Przedgrodzia. Rankiem wymaszerowały z miasta prawie wszystkie oddziały i tylko pięć secin pozostało, by szachować przygotowujących się do nagłego wypadu obrońców twierdzy. To mogło świadczyć tylko o jednym - bitwa rozpocznie się wkrótce. Może już w nocy, może nazajutrz.

Doron dokładnie przyjrzał się opuszczającym Daborę wojownikom. Było ich wielu, od czasu najazdu Kamenów przed sześćdziesięcioma laty nie widziano w Leśnych Górach tak potężnej armii. Licznej, ale czy dobrej - tego chyba nikt nie potrafił powiedzieć. Wszak niewielu zaciągnęło się do niej doświadczonych żołnierzy, co już stawali w prawdziwych bojach, Zamieszki na ulicach miasta, nieudane próby zdobycia Gorczem i jedna wygrana bitwa ze słabym, acz przekonanym o własnej potędze wrogiem - to za mało, by sprostać w otwartym boju dobrze wyćwiczonym, karnym i dowodzonym żelazną ręką formacjom. Doron patrzył więc na tych odchodzących mężczyzn ze smutkiem. Jeśli przegrają, niewielu wróci do domów. A i zwycięstwo zostanie krwawo okupione -

bo tylko powódź krwi może zatopić gwardzistów.

Kolumny wojowników dawno już przeszły, gdy przed oczami Dorona zaczął wędrować jeszcze jeden pochód. Woły ciągnęły sanie załadowane ociosanymi drewnianymi pniakami. To belki na krzyże, które staną tuż za linią

wojsk Białego Pazura. Zawisną na nich ludzie - twarzami ku bitewnemu polu, tak, by nasycić się mogli widokiem walki.

Gdy ostatnia para wołów zniknęła za domami, Doron usłyszał głośnie pokrzykiwania. Po chwili zza zakrętu wychyły jeszcze dwa wozy. Sunęły powoli po wyboistej drodze, skrzypiąc i telepiąc się na boki. Obok zaprzęgów szli uzbrojeni w łuki i maczugi strażnicy. Pokrzykiwali na zwierzęta i kłębiących się na wozach ludzi. Więźniowie mieli zarośnięte twarze, włosy pozlepiane brudem, a pewnie i krwią.

To oni złożeni zostaną w ofierze Czarnej Róży, to krew z ich trzewi odciągnąć ma śmierć od wojowników Białego Pazura.

Doron nie oglądał skazańców zbyt długo. Wozy zniknęły za rogiem, a Liść usiadł na podłodze i wsparłszy się plecami o glinianą ścianę szopy, zamknął oczy.

Jadą umrzeć.

I ja też umrę niedługo. Kto wie, wcześniej niż oni czy później? A może w tej samej chwili co i któregoś z nich, mnie dotknie kolec Czarnej Róży?

Coraz bliżej.

Z każdym dniem, z każdą chwilą... nadchodziła, krążyła wokół jak krogulec i teraz spadnie, nagle, choć spodziewana.

Śmierć za śmierć, morderco mego brata!

Dotarł do domu Gorady bez przeszkód. Natknął się co prawda na jeden patrol, ale żołnierze, widząc brudnego, zarośniętego, przygiętego do ziemi dziada, nie zatrzymali go nawet. Doron minął ich, skulony, powłócząc lewą nogą. Zdziwiliby się, gdyby zobaczyli karogę ukrytą pod przerzuconym przez plecy podartym płaszczem. Albo gdyby zajrzeli do któregoś z dźwiganych przez starucha worków.

Doron odprowadził żołnierzy wzrokiem, a gdy zniknęli w najbliższej przecznicy, wyprostował się na chwilę, jęknąwszy z bólu. Przeszedł pół miasta udając kulawego i droga ta zmęczyła go bardziej niżli wcześniejsza wędrowka do Kręgu. Jednak opłaciło się.

Stanąwszy obok domu Gorady nasłuchiwał chwilę. W tej strasznej ciszy spowijającej miasto niczym

mgła, ciszy, od której aż ciarki szły po grzbiecie, usiłował odnaleźć jakiś znajomy dźwięk - śmiech, rozmowę, kroki, skrzypienie wozu.

Stuknął w drzwi i nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, wszedł do chałupy. Drzwi skrzypnęły, a Dorona ogarnęła ciemność. Nagle oślepy, wyciągnął przed siebie ręce. Cisza i ciemność. W domu nie było nikogo. Oczy Liścia po chwili przyzwyczały się do mroku, zaczął rozróżniać stojące w sieni przedmioty. Wszedł do największej izby. Od pieca było jeszcze przyjemne ciepło, zapach jedzenia zakręcił Doronowi w nozdrzach. Dawno już nie miał w ustach niczego prócz dziczyzny i owoców, od wielu dni nie jadł posiłku przyrządzonego ręką wprawnej gospodyni.

Nigdzie mu się nie spieszyło. Przynajmniej na razie. Musi poczekać na Goradę, bo tylko ona mogła znać kryjówkę Magwera. A Magwer był mu potrzebny.

Doron usiadł na drewnianym zydłu stojącym obok pieca. Ściągnął przebranie, cisnął je pod ławę. Zdjął też z pleców karogę, ostrożnie położył koło siebie. Teraz dopiero dostrzegł, że na stole leży kilka podpłomyków. Wziął jeden, powąchał.

To dobrze - pomyślał, wbijając weń zęby - że Gorady jeszcze nie ma.

Obudził go chłód poranka. Otworzył oczy, lecz jeszcze przez chwilę leżał w bezruchu. Gorady ciągle nie było. Nie weszłaby do domu bezszelestnie, a obudziłoby go choćby skrzypnięcie. Czy aby na pewno? Przecież to nie las, gdzie całe ciało chłonie znaki, gdzie rosną bracia drzewa, zawsze gotowe pomóc. To miasto, co roku obory-wane przez bana sochą z czarnego drewna. Pod stopami gliniane klepisko, a nie Ziemia Rodzicielka. Tu się inaczej śpi, oddycha, słyszy. A i ten sen, po długim marszu i czuwaniu, mocny był, twardy. Doron stracił pewność, że Gorady jeszcze nie ma w domu. Mogła jednak wrócić i pójść spać, nie zajrzawszy nawet do kuchni. Bo, prawdę mówiąc, co miałyby tu robić po nocy?

Zrzucił z siebie derkę i wstał z ławy. Przetarł dłońmi oczy, przeciągnął się. Upewnił się, że Gorada nie wróciła do domu. Opuścić zaś go musiała niedawno, najwyżej dwa dni temu. Zostawione w kuchni podpłomyki były jednak nieco suche, ale jeszcze nadające się do jedzenia. Gdzież więc mogła pójść? Za wojskiem, na pole bitwy? Wszak nie miała tam męża, brata ani synów, którymi mogłaby się zajmować. Może uciekła z Dabory przed wojną? W takim przypadku zabrałaby jednak z domu przynajmniej najpotrzebniejsze rzeczy, tu zaś wszystko leżało na swoim miejscu.

Wtem, tuż za ścianą, rozległ się głośny kobiecy śmiech. Doron drgnął. Jednym susem przeskoczył próg izby. Sam skryty w półmroku, mógł obserwować wejście.

Kobieta otworzyła drzwi, wpuściła do środka czarnowłosego mężczyznę. Zachichotała, gdy ten przycisnął ją do ściany, sięgając rękami pod spódnicę.

Chichot zamarł na jej ustach, gdy zobaczyła wychodzącego z izby Dorona. Nerwowo odepchnęła od



siebie mężczyznę, który teraz dopiero pojął, że dzieje się coś dziwnego. Liść uderzył mocno, nie na tyle jednak, by złamać mu kark. Czarnowłosa padł na ziemię u stóp Gorady.

Kobieta właśnie otwierała usta do krzyku. Doron nie dał jej na to czasu, przyciskając do ściany, tak jak przed chwilą czarnowłosa. Pomyślał właśnie o tym: „Tak jak czarnowłosa<sup>11</sup> i poczuł, jak miękko układa się pod nim ciało kobiety. Z prawą dłońią na jej ustach, lewą obejmującą w pasie, czuł wzbierającą żądzę. Gorada dostrzegła to, przestała drżeć, już go nie odpychała. Doron odetchnął głęboko. Spojrzał prosto w oczy Gorady i dostrzegł w nich, prócz strachu i zdziwienia, błysk rozbawienia. A może triumfu. Oprzytomniał. Odsunął się nieco i puszczać jej usta spytał:

- Gdzie jest Magwer?

Jakby trzymał w ramionach kamień. Zesztywniała, pobladła, odetchnęła głośno.

- Wiesz?! - potrząsnął nią. - Nie bój się, nic ci nie zrobię. Szukam Magwera.

Kiwnęła głową. W oczach, a chyba oczy były najładniejsze w jej twarzy, pojawiły się łzy.

- Co się stało, kobieto?!

- Zabrali go... - wyszeptała.

- Kto? - spytał, choć odpowiedź mogła być tylko jedna.

- Żołnierze... Ukrywał się tutaj, ktoś musiał zauważyć, donieść... Przyszli rankiem...

- Kiedy?

- Zaraz - policzyła na palcach. - Cztery dni temu. Wyglądało to tak, jakby go mieli za uciekiniera albo tchórza, co się nie stawiał na wezwanie Białego Pazura.

- Co z nim zrobili dalej?

Wzruszyła ramionami. Doron wyczuwał w jej zachowaniu coś dziwnego. Nie potrafił powiedzieć co, a nie miał teraz ani czasu, ani ochoty się nad tym zastanawiać.

- Biały Pazur trzyma więźniów w koszarach, co się ostały po banowym wojsku. Tam ponoć mają jakieś lochy...

- Są - Doron kiwnął głową. - Nie słyszałaś, co robili z więźniami?

- A bo ja ciekawa takich rzeczy - podniosła głos. Twarda jest - pomyślał Doron. - Jeszcze przed chwilą

drżała ze strachu, a zaraz zacznie pyskować. Na głos spytał jednak:

- Nie ścięli ich, nie wieszali?

- Pewnie nie, o takich bym wiedziała - spojrzała na Dorona i urwała w pół słowa. Już jej nie słuchał. Oczami błędził ponad głową kobiety, jakby coś sobie przypominając, wyobrażając.

Czy to możliwe - myślał - że wczoraj widziałem te wozy i że na jednym z nich siedział Magwer? Nie dostrzegłem go przecież, ale mógł gdzieś tam siedzieć ściśnięty... A jeśli tak...

- Słuchaj, kobieto - potrząsnął Goradą. - Jeszcze tu wrócę. A spróbuj na mnie kogoś napuścić, to źle skończysz. Jeśli się Magwer pojawił, to mu powiedz, że ten, który poskromił ogień, jest już w Daborze. Niech czeka w umówionym miejscu.

Puścił ją, ruszył w stronę drzwi. Zatrzymał się nad ciałem czarnowłosego mężczyzny, pochylił się nasłuchując oddechu.

- Wstanie niedługo. Lepiej by się dla niego skończyło,

gdyby nikomu nie rozpowiadał, co tu się stało. A ty, kobieto, pomyśl trochę o tych dzielnych wojownikach, którzy dziś połączą się z Ziemią Rodzicielką. Pomyśl o krwi, która użyźni pola. To nie jest dzień radości, kobieto. Odwrócił się i wyszedł z ziemianki.

Magwer niewiele pamiętał z tego, co wydarzyło się później. Posmarowano jego rany maściami tamującymi upływ krwi, napojono go, nakarmiono, ostrzyżono włosy. Potem ciśnięto na drabiniasty wóz, między innych, takich jak on, nieszczęśników i powieszono gdzieś... Nieprędko pojał, gdzie, wciąż miał przed oczami mgłę, do uszu nie docierały żadne dźwięki, nozdrza pamiętały jedynie zapach krwi. A ból, którego ostatnio doświadczył, choć już nie tak przejmujący, nie tak straszny, tkwił pod skórą, mrowił opuszki palców, wprawiał wargi w drżenie. Czy to jednak gwałtowne kolebanie wozu na nierównej drodze, czy poszturchiwania sąsiadów, czy podniecone głosy mijanych przechodniów sprawiły, że powoli zaczął odzyskiwać przytomność. Chociaż obrazy dalej zdawały się rozmazane, a dźwięki łączyły w szum z rzadka przechodzący w zrozumiałe frazy, to jednak umysł Magwera znów zaczął pracować.

Nie zabili go, a nawet opatrzyli rany. To mogło oznaczać, że prowadzą ich na publiczną egzekucję. Albo... Jeśli wkrótce pójdzie szturm na Daborę, to Biały Pazur nie zechce wystawiać swych najlepszych wojowników na pewną śmierć. A będzie przecież potrzebował wielu Cieni.

On, Magwer, sługa Szepczącego, pomocnik Liścia, szczególnie na krzyżu z brzuchem rozoranym nie wojennym toporem, tylko nożem ze źle wygładzonego krzemienia. Umrze w zgiełku bitewnym, patrząc na walkę i męstwo, sam nie drgnąwszy nawet. On i wszyscy ci stłoczeni na wozie mężczyźni.

Pierwszy raz usłyszał o Cieniach, gdy był małym chłopcem. Ojciec mówił o bitwie nad Czarnym Potokiem, którą wojska bana stoczyły z najeźdną hordą Kamenów. Tam też, jeszcze przed bitwą,

ustawiono krzyże. Na nich roz-

pięto schwytych wcześniej jeńców. Bitwa rozpoczęła się, a oni mogli patrzeć na jej przebieg. Potem zaś, gdy walka rozgorzała na dobre, trzech żołnierzy przeszło wzdłuż szeregu rozciągniętych na krzyżach mężczyzn i zabiło ich wszystkich. Umierający jeńcy stali się Cieniami, przyzywali ku sobie śmierć. Ich konanie, szybkie i wspólne, odciągało śmierć z pola bitwy, odwracało jej spojrzenie od wojowników bana. Na jak długo i jak mocno - tego nikt nie wiedział. Lecz pewne było, że w czasie, gdy zarzynano jeńców, wielu żołnierzy bana nie dotknął kolec Róży Śmierci. Jeśli więc teraz szykuje się szturm Dabory, a może i bitwa z gwardzistami, to Magwer znał swój los. Zostanie Cieniem; swym rozprutym brzuchem odciągnie śmierć od pnących się na wały wojowników.

Wszystkie te wspomnienia przepłynęły przez głowę Magwera i może trwałby dalej pogrążony w rozmyślaniach, gdyby nie głos, który rozległ się nagle tuż obok.

- Boli! Oczy, błagam, jak to boli!

Poznał głos. Lecz nie poznał twarzy. Dwie rany w miejscu oczu, wybite zęby, pocięta skóra, postrzępione uszy. Magwer zadrżał ze zgrozy, na chwilę zapominając nawet o bólu wypełniającym jego własne ciało. Znał tego człowieka - młodego chłopaka, milczącego, zawsze lekko uśmiechniętego. Tb Pozm.

Tortury zdarły uśmiech z jego twarzy. Musiały mu też pomieszać rozum. Wciąż bełkotał, powtarzając te same kilka słów, i błagał o litość. Wychudły i poczerniały, brudny i skrwawiony niewiele miał wspólnego z dawnym, barczystym i pewnym siebie Pozmem. A jednak to był on, Magwer nie mógł się mylić. Za co znalazł się na tym wozie, wiozącym swych pasażerów ku śmierci? Za co męczono go aż tak strasznie? Czy to przypadek, czy może... W jednej chwili powróciły wszystkie przemyślenia i wnioski wyciągnięte z rozmów z Liściem.

Magwer nie mógł przesunąć się ku Pozmowi.

- Kto to? - spytał szeptem.

Przez dłuższą chwilę trwała cisza. Mężczyźni poruszyli się, zwracając twarze ku Magwerowi, ale milczeli. Słysząc było tylko miarowe skrzypienie drewnianych kół wozu i posapywanie wołów.

- Zwariował - odpowiedział w końcu ktoś siedzący za plecami Magwera. Chłopak musiał mocno przekręcić głowę, by zobaczyć starszego, łysego mężczyznę. - Ponoć to szpicel naślany przez Gwardię. Tb i wzięli się za niego dobrze - mężczyzna splunął. Magwer nie zdołał się domyślić, czy gest ten miał być reakcją na wspomnienie Gwardii, Pozma czy też jego oprawców. - Rozum od tego stracił, teraz to tylko o tych oczach gada, ale wcześniej bełkotał coś o Szepczących.

Pozm przestał nagle jęczeć, jakby usłyszał, że o nim mówią. Zamarł w bezruchu, jak zając nasłuchujący nadchodzącego drapieżcy.

- Nie ma ich, nie ma! - wyjąkał po chwili. - Nie ma i nie było. Są tu, są tam, nie ma ich, nie ma...

- Zatkajcie mu gębę! - warknął w końcu któryś z więźniów, ale nikt się nie ruszył.

W tej chwili wóz skręcił i wyjechał spomiędzy domów. Jakiś czas posuwali się drogą, potem skręcili w bok. Zza pagórka wychynęły krzyże. Dwie skrzyżowane skośnie belki z nieokorowanego drzewa. Na kilkunastu wisieli już ludzie. Magwer zadrżał. Ktoś jęknął, ktoś zapłakał. Tylko Pozm wciąż zawodził. Krzyczał cały czas, nawet gdy ubrani na czarno mężczyźni zaczęli ściągać ludzi z wozu. Odciągnęli ślepego chłopaka, a do uszu Magwera doszły jeszcze jego słowa:

- Ostry! Widzę cię! Widzę cię, Ostry!

Dwóch mężczyzn założyło Magwerowi na nadgarstki skórzane pętle.

W uszach wciąż brzmiały mu słowa Pozma. „Ostry! Widzę cię!”

Strach.

Ból.

I zrozumienie.

Chłopak mógł już nie żyć. Lecz jeśli zabrali go tylko za to, że unikał służby w powstańczym wojsku, to pozostawał jeszcze cień nadziei. Chyba że czatowali tu nasłani przez Ostrego siepacze... Doron wzdrygnął się na myśl o śmierci, jaka mogła spotkać Magwera.

Gdzie teraz był? Czy umarł zamęczony torturami? Czy zabito go w czasie robót? Czy może oczekiwał śmierci rozpięty na krzyżu? Tylko to ostatnie Doron mógł sprawdzić. Skradał się więc ku obrzeżu miasta, omijając ulice, po których krążyły patrole.

Szczęśliwie nie spotkał ani żołnierzy, ani strażników powołanych przez cechy. Wydostał się z Dabory od strony zachodniej, teraz zatoczył musiał duży łuk, by dotrzeć do bitewnego pola. Tam zaś na pewno zgubi się w tłumie starych dziadów, żebraków i podrostków, którzy licząc na łatwe łupy, ciągnęli za wojskiem.

Dzień wstawał pogodny.

- Iii raz! - krzyknął któryś z katów, powrozy napięły się, ciało Magwera pojechało w górę. Poczuł korę szorującą plecy, ból wykręconych ramion, odrętwienie ściśniętych rzemieniami dłoni. Ktoś szybkimi i sprawnymi ruchami przywiązywał jego ramiona do krzyża. Magwer zawisł bezwładnie. Gwałtownym szarpnięciem rozpięto na krzyżu jego nogi. Po chwili zelżał ból w wykręconych ramionach.

Magwer przekręcił głowę, ale na sąsiednich krzyżach nie dostrzegł Pozma i nie słyszał jego głosu.

Ani krzyku: „Ostry żyje!”

To przecież nie majak. Tak, chłopak zwariował, ale to nie złuda szalonego umysłu. Ostry żył i to on winien jest cierpieniu Pozma. Kto wie, czego od niego chciał, kto wie, za co go ukarał. Lecz Ostry żył, żył na pewno - jakby jakiś głos szeptał Magwerowi do ucha, że tak być musi, że tak jest. A to oznacza, że szpieg bana, uważany zapewne za jednego z najbliższych towarzyszy Białego Pazura, jest w obozie powstańców.

Czy może powieść się bunt, gdy na jego czele stają podstawieni ludzie władcy? Ileż krwi spłynie na tę ziemię, gdy ban i Gwardia zgaszą powstanie. Bo bunt nie ma szans - teraz właśnie Magwer to zrozumiał. Ban wie o wszystkim, co dzieje się w powstańczym obozie. W każdej chwili może narzucić Białym swoje decyzje. O tak, mądry to człowiek, okrutny i zły, ale mistrz w grze, którą toczy.

Magwer na krótką chwilę zapomniał o bólu.

## 22. Bitwa

Świt zbliżał się powoli, lecz kiedy nadszedł, w obu obozach nikt już nie spał. Armie stały naprzeciw siebie na równinie, która jeszcze nie miała nazwy. Nikt nie wątpił, że wkrótce ludzie dadzą temu miejscu imię. Pochwalne i błogosławiące, wspominające zwycięstwo i odwagę. Lub trwożne i straszne, niosące wieść o krwi, śmierci i klęsce. Łąki ciągnęły się po horyzont, ziemia pod stopami wojowników była twarda i zgrużona, wystudzona przez nocne chłody. Komu dziś będziesz służyć, Rodzicielko? Czyje ramię wesprzesz w walce, czyim pięściom dasz siłę? Nie twoim rabom przecież, nie rolnikom i drwalom, kupcom i rzemieślnikom, którzy żyją tu od zawsze. Bo nikt z nich nie przyszedł na świat w Kręgu Mchu. Za to wszyscy gwardziści tam właśnie byli zrodzeni. Wszak to dla nich Łowca Ziemi wyrusza na swe wyprawy, odwiedza Pierścienie innych krain i przywozi ziemię, by sypnąć choć po grudzie pod plecy rodzących gwardzistek. A one wydają na świat dzieci, którym Ziemia sprzyja.

Oba wojska stały może pięćset kroków od siebie.

Na lewym skrzydle armii, od strony rzeki, Biały Pazur ustawił pięć tysięcy pospolitaków. Uzbrojeni w łuki, krzemienne topory, zaostrzone i wypalone w ogniu drągi nie tworzyli dobrze wyszkolonego wojska. Ciężko było nimi kierować, sprawnie poprowadzić do uderzenia. Dowodzeni przez Alghoja Sokoła mieli ruszyć do przodu i swą masą zgnieść przeciwnika. W centrum szyku stało trzy i pół tysiąca wojska rodowego. Las barwnych proporców i tote-

mów wznosił się ponad głowami wojowników. Tu było wielu tęgich rębaczy, bo aż siedem drwalskich klanów stawiało się na wezwanie Białego Pazura. Stali tak, oddział koło oddziału, zapomniawszy na ten czas o dawnych swarach, wróždach, rodowych pomstach. Więcej, każdy

pysznił się i szykował do walki, tak by swym niedawnym wrogom pokazać siłę i zdecydowanie. Wojownicy zostali podzieleni na trzy kolumny. Każdą z nich prowadził jeden z zamaskowanych sług Białego Pazura: Greg Niedźwiedź, Usatnik i Tomton. Mimo że rodowych było mniej niż pospolitaków, to stanowili oni nie mniejszą siłę bojową.

Na prawo od nich zebrał się jeszcze z tysiąc ludzi. Chłopacy zbyt młodzi, by ktoś chciał ich wziąć do swego oddziału, włóczęgi i żebracy, złodziejaszki, którzy przed bitwą powyłazili ze swych kryjówek, grupki niewolnych i trochę innego tałatajstwa. Wiele się po nich Pazur nie mógł spodziewać, ale zawsze to więcej o tysiąc ludzi, których można rzucić do gardeł gwardzistów. Warowali więc na swej pozycji, wpatrzeni chciwie w obóz Szerszeni, licząc na łupy i krwawą zabawę. Nie prowadził ich żaden wódz, ruszyć mieli do przodu razem z rodowymi.

W drugiej linii stały mniej liczne, ale najgroźniejsze powstańcze oddziały. Dwa tysiące regularnego wojska zebranego z najtęższych rębaczy oraz wojowników służących niegdyś w armii bana. Mniej tu trafiało się młodzia-ków, więcej za to dojrzałych, doświadczonych mężczyzn, pogrupowanych w dziesiątki i setki, od paru dni szkolonych regularnie i ciężko. Dowodził nimi Garłaj Jednooki. Poznał już swych ludzi i wiedział, że może mieć do nich zaufanie. Na lewo od tych oddziałów, na niewielkim wyniesieniu czuwał Biały Pazur ze swymi czerwońcami.

Szepczący stał na drewnianym podeście, który zbudowano jeszcze poprzedniego dnia.

Rozpięty na krzyżu Magwer widział Pazura wyraźnie - sylwetkę siwowłosego mężczyzny w białych szatach, oświetloną promieniami wstającego słońca. Ręce wodza wydawały się z tej odległości dziwnie długie, sięgały niemal ziemi. Magwer wiedział jednak, że to zwykłe ludzkie ramiona, od łokci zmieniające się w drewniane szpony, ostre i przed bitwą na nowo odmalowane.

Pod pomostem czekało ze dwudziestu młodych chłopaków - gońców mających roznosić polecenia Pazura w czasie bitwy. Tam też warował karzeł Niegradaj z psami bojowymi, tam skupili się dobosze i trębacze. Drewnianą trybunę otaczały trzy setki dowodzonych przez Olgomara Łysego czerwońców. Najmężniejszy, najlepiej wyszkolony i najgroźniejszy oddział powstańców. Byli ostatnim odwozem i ostatnią twierdzą Białego Pazura. Ich oczy błyszczały, a usta zacięły się w pogardliwym półuśmiechu. Od wczoraj w powstańczej armii nie wolno było pić żadnych mocnych trunków. Dopiero dzisiejszego ranka wydano każdemu kubek mocnego, zaprawionego wódką piwa. Czerwońcy żuli ponadto kulki odurzających ziół. Kiedy zacznie się walka, tylko śmierć zdoła ich zatrzymać.

Pięciuset pospolitaków pod wodzą Ozyna Biały Pazur odesłał do Gorczem, aby pilnowali przeprawy. Mieli zatrzymać żołnierzy zamkniętych w twierdzy. Bo wszyscy, tak jak i Doron, sądzili, że Penge Afra tego dnia ruszy jeszcze do walki.

Wojsk Miasta Os zebrało się dwa razy mniej niż powstańczych.

Na prawym skrzydle, naprzeciw pospolitaków stanęły trzy tysiące ludzi. Dwa tysiące zebrane z żołnierzy, poborców i urzędników z ziem na zachód od Dabory. Cztery setki łuczników

przyprawionych przez brata Penge Afry - Harko Mrę. Wreszcie sześć secin sjeni należących do szlacheckich rodów Miasta Os, które miały swoje siedziby w okolicach Kręgu Mchu. Sjeni nie byli najlepszymi żołnierzami, ale wiedziano, że bić się będą dzielnie, do końca wierni swym panom.

Na lewym skrzydle postawiono tysiąc najemnych olto-marczyków i półtora tysiąca piechoty dymowej - wojsko karne i dobrze wyćwiczone. Ciężka więc robota czekała stojące naprzeciw nich oddziały klanowe.

Środek armii Miasta tworzyło czterystu pięćdziesięciu gwardzistów. Tylko czterystu pięćdziesięciu. Albo - aż tylu. Straszni w pojedynkę, gdy uderzali grupą, mordowali swych przeciwników z nadludzką zawziętością.

Armią dowodziła Tbszi z rodu Zielonej Pszenicy. Trzy

lata temu Czarna Pani wysłała ją do Kręgu Mchu, by sprawowała tam namiestnictwo. Upłynęły te lata tak samo, jak minęły dziesiątki poprzednich - na ściąganiu daniny, odsyłaniu do Gniazda niewolników, szkoleniu wojska. I na oddawaniu czci Kręgowi.

Teraz jednak przyszedł czas, by porzucić spokojne gospodarowanie i Toszi z radością przyjęła odmianę losu. Miała już czterdzieści lat, dowodziła w młodości oddziałami Gwardii w czasie wiosennych Łowów i w kilku wyprawach przeciw góralom z Marke-Dib. Jednak nigdy tak wielu ludzi nie miała pod swymi rozkazami i nigdy też nie decydowała o losie tak dużej armii. Dlatego też Tbszi często zasięgała rady Tesuny - dowodzącej najemnymi oltomarczykami - i Kaosy, która na wieść o buncie przyprowadziła do Kręgu dwustu gwardzistów.

Jako odwód Toszi pozostawiła gwardzistów i Pasterzy Psów.

Słońce podnosiło się coraz wyżej, rozgrzewając ziemię i ludzkie kości. Wschodziło za plecami armii Gniazda, paląc oczy żołnierzy Białego Pazura.

Długie cienie krzyży kładły się na zdeptaną łąkę. Po cieniu nie poznasz, czy krzyż jest pusty, czy wisi na nim człowiek. W cieniu nie kryje się ból ani pragnienie. Cień kurczy się z każdą chwilą, tak jak kurczy się czas, który został dany ofiarom. Bo kiedy bitwa rozgorzeje na dobre, przyjdą tu i wbiją ci w brzuch krzemienisty nóż, by odciągnąć śmierć od swoich wojowników, sprowadzić ją tutaj. Do ciebie, Cieniu.

Ktoś krzyczał, ktoś płakał, ale Magwerowi nie starczało już ochoty i sił, by rozglądać się na boki. Tam nie ma przecież nikogo więcej niż kilkudziesięciu takich samych nieszczęśników jak on. Za sobą miał miasto, o które stoczy się ta bitwa. Przed sobą, jakby to był paradny przemarsz czy ćwiczebna walka, tysiące zbrojnych mężczyzn, gotowych do śmiertelnego zwania. Strach otrzeźwił Ma-gwera ostatecznie.

Biały Pazur dał znak. Zadudniły bębny, rozległo się buczenie trombit. Zaklinacze i szamani rozpoczęli taniec. Śpiewali i krzyczeli, kołatki klekotały głośno, stopy wybijały oszalały rytm.

Ryk trombit zagłuszył śpiewaków. Posłańcy popędzili z rozkazami.

Drgnął szereg wojowników na prawym skrzydle, podniosły się wyżej rodowe proporce. Na samym czele lśniło w słońcu krzemienne ostrze długiej włóczni Usatnika. Greg podniósł maczugę nabijaną niedźwiedzimi kłami, Tbmton posłał w niebo płonącą strzałę. Trzy i pół tysiąca wojowników ruszyło do ataku. Szli szybkim krokiem, wykrzykując rodowe zawołania i wznosząc pieśni swych klanów. Wrzaski te łączyły się z warkotem werbli i graniem rogów.

Szli walczyć jako pierwsi, uzbrojeni najczęściej w maczugi, krzemienne siekiery i młoty. Ale też wielu tu się znalazło bogatych ludzi - ci nieśli karoggi i włócznie

o ostrzach z pasiastego krzemienia. Nie wszyscy mieli tarcze, ale jeśli już, to małe, z hartowanej skóry lub drewniane. Na czele kroczyli łucznicy, napinający właśnie cięciwy do pierwszego strzału.

Na ten widok ruszyło też stojące na prawym skrzydle pospólstwo - tysiąc łachmianarzy i parobczaków bezładną kupą pociągnęło za rodowymi. Tu już nie było żadnej broni lepszej niż tęgi drąg i mało kto miał na sobie mocniejszą osłonę niżli kawałek futra.

Żołnierze Gniazda nie drgnęli nawet, tylko gońcy biegali z rozkazami. Stojący w pierwszym szeregu oltomar-scy łucznicy sięgnęli do kołczanów, reszta wojowników mocniej chwyciła drzewca włóczni.

Tyraliera powstańców zbliżała się powoli. Stojąca na podwyższeniu Toszi dostrzec już mogła rodowe znaki na proporcach, rozróżnić kolorowe malunki na kaftanach

1 barwy, jakimi członkowie poszczególnych klanów ozdobili sobie przed bitwą brody. Gestem ręki przywołała jednego z gońców. Pochyliła się nad nim, wydała rozkazy. Chłopak co sił w nogach popędził ku dowódcy najemnej piechoty, oltomarczykowi Haebozemu. Ten wysłuchał posłańca uważnie i odesłał go z powrotem.

Znów zagrały trombity w obozie Pazura. Runęło do przodu prawe skrzydło - blisko sześć tysięcy żołnierzy. Tym dane będzie zetrzeć się ze sjeni i gwardzistami.

Tymczasem rodowi zbliżyli się do oltomarczyków na odległość strzału z łuku. Zagrały cięciwy. Pierwsza krew spłynęła na ziemię.

Setnicy dali znak dobošom. Ci uderzyli w bębny, nakazując rodowym przyspieszenie kroku. Im szybciej pobiegną wojownicy, tym mniej ich zginie od strzał wypuszczanych z długich oltomarskich łuków. Na czele swych ludzi biegł Greg Niedźwiedź. Maczuga w jego rękach drżała, chciwa już krwawej roboty. Tomton poprowadził swoich tak, by uderzyli w najsłabszy punkt lewego skrzydła - tam, gdzie szyk oltomarczyków łączył się z dwuszeregiem piechoty dymowej. Chciał rozbić i rozdzielić oba oddziały, by potem ciąć je osobno. Lecz ani ludzie Grega, ani Tomtona, ani Usatnika nie dopadli piechoty Gniazda. Oto, na znak dany przez setników, karne wojsko zaczęło się cofać. Wciąż w szyku, wciąż zasypując nadbiegających wrogów chmarą strzał, krok za krokiem. Szli wolniej od biegnących daborczyków, jednak dostatecznie szybko, by znacznie opóźnić bezpośrednie



zwarcie. Wykorzystywali celność i wyszkolenie swych łuczników, by zmniejszyć liczebną przewagę wroga.

Tymczasem na drugim skrzydle oba wojska starły się już ze sobą. I tutaj daborczyków było dwakroć więcej. Ale tu stała Gwardia.

W pierwszym rzędzie tarczownicy z dużymi, podłużnymi szczytami z hartowanego drewna, w futrzanych czapach i jopach z jeleniej skóry. Wszyscy mieli topory o krótkich trzonkach i ostrzach z żółtego kamienia. W drugim rzędzie ustawiono najlepszych rębaczy. Nieśli lekkie, okrągłe, plecione z wikliny tarcze, ściskali karoggi lub ciężkie młoty. W trzecim szeregu czekali włócznicy, ich długie drzewca o wypalanych ostrzach sięgały ponad głowy tarczowników i częstokołem nastawiały się ku nadbiegającym wrogom.

Pospolitalicy uderzyli na ten kordon w pełnym biegu. Naparli na mur tarcz, a potem, kluci i rąbani, musieli się cofnąć.

Oltomarczycy stanęli wreszcie, wciąż nie łamiąc szyku, czekając już na nadbiegających wrogów. Pierwszy wpadł w ich szereg Greg Niedźwiedź. Zakręcił maczugą, która spadać zaczęła na skórzane tarcze i hełmy, łamać ręce i miażdżyć czaszki. Już i ludzie Tbmtona zwarli się z najemnikami, już i Usatnik wpadł ze swoimi na piechotę dymową.

Tylko część ciągnącej za armią tłuszczy wdała się w walkę z regularnym wojskiem Gniazda. Reszta obesła szereg piechoty dymowej, by skierować się ku taborom. Tbszi dostrzegła tę bezładną kupę, złożoną w większości z młodych otroków, mieszkańców najędzniej szych kwartałów Daborcy. Dała znak. Pasterze Psów pochyłili się nad swymi zwierzętami. Zamknawszy oczy, rozpoczęli krótki rytuał zamawiania. Do ich śpiewnej modlitwy przyłączył się zaraz cichy, ale wieszczący śmierć psi warkot. Załśniły obnażone zęby, wyprężyły się ogony, zjeżyła sierść.

Pasterze Psów wyprostowali się niemal równocześnie, a potem popędzili na pomoc załamującemu się szeregowi chłopskiej piechoty. Psy biegły obok, wściekle ujadając. Sięgały swym opiekunom do pasa, mięśnie pod ich skórą grały w rytm biegu. Piana spływała na pyski.

Psy zaatakowały niczym stado potworów. Rozszarpywały gardła i karki, odgryzały ręce, samym impetem przewracały na ziemię. Zawsze odróżniały swoich od wrogów. W chwilę później i Pasterze włączyli się do walki.

Daborczykom nie trzeba było wiele. Umazane krwią i kurzem, ujadające wściekle psy podobne się zdały ludziom do bagiennych stworów. Nie zważały na ból, na rany, na zmęczenie. Póki żyły - mordowały. Atak sfory odrzucił daborską hołotę. Ludzie rozpierzchli się, część umknęła z pola bitwy, reszta cofnęła się tylko i wsparła rodowych.

Daborczycy mieli liczebną przewagę. Lecz w armii Miasta służył w większości żołnierz wprawiony, doświadczony, nauczony nie tylko dobrze bić się, ale i sprawnie

wykonywać rozkazy dowódców. No i miała Toszi pod sobą pięciuset gwardzistów, którzy niczym szarżujący żubr miażdżyli wszystko na swojej drodze.

Rozpięty na krzyżu Magwer szeroko otwartymi oczami patrzył na to ludzkie kłębowisko. Widział masę splątanych ciał, kurz podnoszony tysiącami stóp. Widział chwiejące się i padające sztandary, szalonych doboszy tańczących w takt wybijanych przez siebie rytmów, gońców pędzących z rozkazami. To wszystko Magwer dostrzec mógł z daleka, z miejsca, w którym stał jego krzyż. Lecz równocześnie widział bitwę inaczej. Może to głód i cierpienie wyostrzyły jego zmysły, może odurzające napary, jakie wypił rankiem, uczyliły umysł Magwera.

Bo postrzegał też z tej odległości pojedynczych ludzi. Widział tatuaże na ich policzkach, krew na dłoniach, zdawało mu się, że potrafi wyróżnić z ogólnego wrzasku oddzielne głosy

Oto pies skacze do gardła drwala z klanu Kosmanów. Mężczyzna podnosi topór, ale bure cielsko śmiga pod jego opadającym ramieniem, uderza w pierś, przewraca. Kotłują się na ziemi, pies miażdży w szczękach prawe ramię drwala, zbliża zakrwawiony pysk do gardła człowieka. Mężczyzna gwałtownie podkurcza nogi, lewą ręką wyciąga zza cholewy buta ostry krzemienisty nóż. W chwili, gdy pies chwyta jego gardło, wpycha ostrze w brzuch zwierzęcia. Charkot psa i krzyk człowieka przechodzą się w gasnący skowyt, oba ciała zamierają w bezruchu, stygnące, martwe.

Oto dwaj oltomarczykowie zaplątali się w sam środek sporej grupy rolników z klanu Koguciego Pazura. Wsparli się o siebie plecami odbijają ciosy wrogów. Kmiecie, pewni swej liczebnej przewagi, idą do przodu, niebacznie wystawiając na uderzenia. Oltomarczyk śmieje się głośno, lecz nie potrafi zastawić następnego ciosu włócznie. Osuwa się na ziemię. Jego druha, czując, że za plecami nie ma już nikogo, odwraca się gwałtownie. W tej samej chwili cios krzemienistego topora rozłupuje mu czaszkę.

Gdzie indziej stoi naprzeciw siebie dwóch mężczyzn o zielonych brodach. Przyjaciele z jednej wioski, jeden powołany do służby w wojsku bana, drugi - powstaniec. Lecz to zawahanie trwa tylko chwilę. Zaraz ramiona wznoszą się do ciosu, a usta wykrzykują to samo klanowe zawołanie.

Widział Magwer konających ludzi, którzy jeszcze chcieli zabijać. Psy z potrząskanymi łapami, wciąż kłapiące nogi wrogów. Kołujące nad polem bitwy, krzyjące ptaki, którym rozdeptano gniazda.

Te dwa sposoby widzenia dopełniały się. Pierwsze - z góry, z daleka - ułatwiało ocenę przebiegu walki. Było niczym oglądanie glinianych żołnierzyków rozstawionych na piasku przez małych chłopców. Drugie pozwalało obejrzeć bitwę prawdziwą, poznać jej smak, zapach i dotyk.

Wysłuchać się w jej pieśń.

Na prawym skrzydle wojsk Białego Pazura trwała zażarta walka. Rodowi, dzięki liczebnej przewadze, złamali Unię oltomarczyków, wbili się w szeregi piechoty dymowej. Jednak ich napór i pęd zatrzymał się - to psy i Pasterze urządzili daborczykom krwawą łaźnię.

Podobnie wyglądały sprawy na lewym skrzydle powstańczej armii. Pospolitalcy spięli się tu z

równymi im uzbrojeniem i umiejętnościami, choć nieco mniej licznymi oddziałami Gniazda. Może gdyby znajdowała się tu sama piechota z poboru, skrzydło pękłoby. Ale przezorna Toszi postawiła na nim jeszcze Urodzonych ze swoimi sjeni.

O tych zaś wiadomo było, że nie odstąpią. Że będą trwać, nawet gdyby padali jak muchy; że utrzymają linię obrony, choćby ich miało zostać pięćdziesięciu czy dziesięciu. Że

1 ostatni sjeni dalej będzie rąbać wrogów.

Nie ma zaś trudniejszej do pokonania armii niż wojsko, które nie ucieka. Zwyczajny żołnierz, gdy widzi padających towarzyszy, gdy czuje zapach Czarnej Róży, gdy otaczać go zaczyna tłum wrogów - podaje tyły. W panice lub nie, ustępuje pola, jeden, drugi, dziesiąty, a potem już nikt nie potrafi tego zatrzymać; kto tylko może, bierze

nogi za pas. Nic łatwiejszego, jak wsiąść uciekinierom na karki i ciąć ich bezlitośnie. Ucieczka z pola bitwy przydarzyć się może każdemu - najemnikom i szlachetnie urodzonym, drużynnikom i powstańcom. Ale nie sjeni. Ci stawiają opór do końca, w milczeniu zabijając i ginąc.

Tak, jak zwycięska Gwardia.

O ile bowiem na skrzydłach toczył się bój wyrównany, to w środku pola walki zwyciężali wojownicy Gniazda. Zrazu trudno to było dostrzec. Niewielki oddział Gwardii trwał niewzruszony niczym skała, lśniąc błyskiem odbitym od setek krzemienych ostrzy. Naprzeciw kłębiły się wielokrotnie liczniejsze oddziały powstańców.

Tyle że po pierwszym szturmie na ziemi leżało tylko dwóch martwych gwardzistów. Tarcze ich towarzyszy zsunęły się natychmiast, znów domykając linię szyku. Za to naprzeciwko zaległ trawę zwał trupów. Wiele razy cofnąć się jeszcze musieli pospolitacy, zostawiając setki zabitych i rannych. I nagle okazało się, że liczebna przewaga powstańców zmaląła, że pokrywają oni jeszcze Szerszeni jak pęk gałęzi dławiący ognisko, lecz prędzej czy później ogień pożre ich i znów zalśni gorącym blaskiem.

Tym bardziej, że prerażeni rzezią towarzyszy i nieskutecznością swego naporu pospolitacy zaczęli się cofać, umykając do tyłu i na boki.

Biały Pazur, widząc, że w centrum jego armii może zaraz powstać wielka wyrwa, krzyknął na gońców. Pognali ku Garłajowi Jednookiemu. Dwa tysiące stojącego dotąd beczynnie powstańczego wojska ruszyło do przodu.

Tbszi jakby na to czekała. Teraz już prawie całe siły Białych weszły do walki. Gwardyjscy dobosze zmienili rytm.

Tarczownicy podnieśli się z klęczek. Odrzucając wielkie, ciężkie tarcze, sięgnęli po topory, maczugi i karoggi.

Szerszenie szli na żołnierzy Garłaja.

Z lewej strony dobiegł do uszu Magwera krzyk. Chłopak, odrywając wzrok od pola bitwy, przekreślił głowę, na ile tylko mógł.

Zobaczył kilku mężczyzn. Grajków z fletami, wykastrowanych śpiewaków i dwóch ubranych na czarno wojowni-

ków. Właśnie zatrzymali się przed jednym z krzyży. Czarny wojownik wziął zamach i wbił długą włócznię w głowę ukrzyżowanego człowieka.

Biały Pazur uznał, że już czas na ofiarę.

Zdeptana ziemia znaczyła drogę, po której maszerowały tysiące wojowników. Armia powstańców przetoczyła się przez daborskie pola niczym olbrzymi gład, gniotąc trawy i nie zżęte jeszcze zboże, znosząc chruściane płoty, przewalając kukły do straszenia ptaków. A tuż obok rosło żyto, piękne, dorodne, aż przyjemnie wziąć w ręce taki kłos, rozetrzeć go w dłoniach.

Doron leżał w tym zbożu, na samym skraju pola, tak że tylko pojedyncze źdźbła oddzielały go od rozciągającej się dalej łąki. Te pełne kłosa, łodygi drzące w takt podmuchów wiatru sprawiły, że na chwilę zapomniał o zemście i krwi. Jego myśli pobiegły ku odległemu domowi, ku należącym do niego polom. Co tam się dzieje, czy któryś z mężczyzn został na miejscu, by zadbać o ziemię? Salot na pewno uznał, że za stary już jest na wojaczkę, ale czy ktoś jeszcze...

Lecz ponad ten łagodny szum żytnich łanów wzbijał się inny dźwięk - ogłuszający twardością, okrucieństwem, potęgą. Bitewny zgiełk. Krzyki i jęki, tupot nóg, trzask pękających maczug i kości, stukot pałek uderzających o tarcze, wrzaski dowódców, buczenie rogów sygnałowych, bicie bębnow, śpiewy zaklinaczy, ujadanie psów, okrzyki zachwytu obsiadających drzewa dzieci. Wszystko to pomieszane, splecione ze sobą, ogłuszające, uderzające w uszy niczym krzemienne szpile. Doron czuł w tym hałasie przemożną potęgę, straszną i okrutną, lecz równocześnie podniecającą, poruszającą krew w żyłach do szybszego biegu, rozgrzewającą mięśnie.

Prawie nie widział bitwy.

Wzgórze, na którym stał Biały Pazur i Czerwona Sot-nia, przesłaniało swą wypukłością plac bitewny. Tylko koniec lewego skrzydła ukazywał się oczom Liścia, ale i to wystarczyło, by przyciągnąć bez reszty jego uwagę. Wi-

dział, jak bojowe psy wbijają się w bok linii buntowników, jak ruszają wreszcie do przodu szeregi oltomarczyków i piechoty dyniowej, a stojące naprzeciw wojsko rodowe, nie potrafiąc stawić czoła wyszkolonej armii, zaczyna się cofać. Wciąż walczy, nie poddając się popłochowi, ale ustępuje pola, zostawiając wielu zabitych.

Tyle dostrzegł Doron. Gdyby przesunął się jakieś sto kroków na prawo, wtedy miałby przed sobą

całe pole bitwy. Lecz wstając, przypomniał sobie nagle, po co tu właściwie przyszedł.

Żeby przyjrzeć się rozpiętym na krzyżach ludziom, musiał podejść bliżej wzgórza, do stanowiska Białego Pazura. Było to niebezpieczne, ale możliwe; wielu ludzi - gońców, rannych, uciekinierów i dzieciaków - kręciło się na tyłach powstańczej armii. Doron wstał. Aż jęknął w duchu na myśl, że znów musi udawać starego dziada. Przygarbił się i pokuśtykał ku wzgórzu.

Zobaczył ubranych na czarno żołnierzy z długimi włóczniami. Otaczali ich śpiewacy i tancerze.

Widocznie nie tylko na lewym skrzydle sprawy działały się źle i Pazur rozkazał zabić więźniów. Wśród nich mógł być i Magwer. Jeśli tak istotnie było, Doron wiedział aż zbyt dobrze, że nikt nie zdoła już pomóc chłopakowi.

Liść poczuł wzbierającą wściekłość. I smutek.

Dobosze uderzyli w bębny, zaklinacze rozpoczęli modły, kilku tancerzy zawirowało wokół krzyży. Wszystko to działo się za daleko, by usłyszeć, co mówią i kogo wołają. Lecz Doron widział dokładnie. Ostrze włóczni wbiło się w twarz, a drugie w podbrzusze ukrzyżowanego człowieka. Więzień zadygotał, wyprężył, jakby chciał zerwać rzemienie krępujące jego nadgarstki i łydki. Umarł, stając się Cieniem.

Doron podszedł bliżej. Stąd dostrzec już mógł twarze najbliższych więźniów. Żaden z nich nie był Magwerem.

Żołnierze stanęli przed następnym krzyżem, podczas gdy tancerze i śpiewacy krążyli wciąż wokół pierwszej ofiary. Krzemienne ostrza przeszły ciało człowieka, by odciągnąć śmierć od walczących żołnierzy Białego Pazura.

Grupa ofiarników podzieliła się. Tancerze i śpiewacy zostali z tyłu, a żołnierze z włóczniami nieco szybciej poszli do przodu, zatrzymując się przed krzyżami i zabijając kolejne ofiary.

Magwer poczuł strach. Serce zaczęło tłuc jak oszalałe, tłocząc nowe porcje krwi w żyły. Chłopakowi zdało się nawet, że odzyskuje czucie w rękach i nogach. Mrowienie przebiegło odrętwiałe palce, ból jakby zelżał. Nagle zniknęło otępienie i ospałość. Umysł pracował jasno i szybko, oczy czujnie wpatrywały się w nadchodzących zabójców. Bo coś jeszcze oprócz strachu poczuł chłopak, coś jakby przecucie, znak nadchodzący z daleka, spoza granicy osiągalnej rozumem, podobny snom, które nawiedzały go, gdy towarzyszył Liściowi.

- Ten, Illomi - powiedział jeden z żołnierzy. Twarze mieli młode. Należeli do klanów, świadczyły o tym tatuaże na policzkach.

I znowu to dziwne uczucie. Magwer patrzył na twarze tych dwóch, może jego rówieśników, może i młodszych jeszcze chłopaków, których wyznaczono do spełnienia ofiary. Dlaczego ich?

Charkot wydobyty z gardła przebitego ostrzem włóczni.

Teraz już czas na ciebie. Teraz. Już. Za chwilę.

Koniec nie taki, jak sobie wymarzyłeś, głupcze. I życie nie takie, jakie chciałeś prowadzić. Za dużo zdrady, za dużo krwi, za dużo ucieczek.

- Nie żyje, Hlan - odwrócili się od krzyża, ruszyli ku Magwerowi.

Dobrowolne powstańcze oddziały naparły na cofających się pospolitaków. Ci, którzy nie zawrócili lub nie pierzchli na boki, padli pod ciosami swych ziomków. Wojownicy szli w trzech kolumnach, po siedem setek w każdej. Nikt tu nie walczył boso, nikt na nogach nie miał plecionych łapci - dla tych oddziałów przez wiele dni pracowali wszyscy szewcy Dabory. Ciała wojowników chroniły miękkie jopy lub kaftany z hartowanej skóry.

Krzyk przeszedł wzdłuż szeregów. Podniósł się na le-

wym skrzydle, tam, gdzie walczyli pospolitacy, zgęstniał, przepłynął na prawo, poprzez rodowe wojska, podchwycili go maszerujący do ataku wojownicy. I szli z tym okrzykiem na ustach, powtarzając jedno tylko słowo:

- Pazur! Pazur!

Lecz oto z przeciwka parla inna siła. Gwardziści. Do tej pory padło ich kilkudziesięciu, zdołali jednak utrzymać szyk. Krew spływała po tarczach i zbrojach wojowników Gniazda, pokrywała twarze, parowała na krzemienych ostrzach toporów i włóczni. Nie ich to była jednak krew, ale ich wrogów. Choć nie, wśród nich byli też i ranni. Gwardzistka, która kikut odrąbanej ręki ścisnęła skórzanym pasem. Gwardzista z twarzą na pół jakby rozrąbaną, z wylupionym okiem i wybitymi zębami, upiorny nawet pośród swych strasznych współplemieńców. Inny, któremu kiel dzika zdobiący hełm wbiło w czaszkę uderzenie młota. Nawet tacy szli w szyku, gotowi do walki. Bo gwardzista, póki żyje, póki może się poruszać, póki zapach krwi wypełnia jego nozdrza, a bitewna wrzawa rozsadza uszy, poty walczy.

Dwie armie zbliżały się do siebie.

Tu dwa tysiące świeżego wojska; starego, ćwiczzonego, zaprawionego w bojach. Dwa tysiące rębaczy silnych jak tury, szermierzy wsławionych pojedynkami na turniejach, zwiadowców z pogranicznych stanic. Ich oczy błyszczały podnieceniem i strachem.

Tam pięciuset ludzi-nieludzi, wielkich, rozjuszonych walką, od dziecka ćwiczonych do wojaczki, zrodzonych na ziemi z Kręgu Mchu. Ich oczy lśniły nienawiścią.

I Biały Pazur, i Toszi wiedzieli, że od tego starcia w samym środku pola zależeć będą losy bitwy.

Illomi, Illan... Jakby rozgrzany kamień nagle opalił twarz. Pamiętał! Pamiętał te imiona, słyszą! je na pewno! Hlomi, Illan, czy sam ich poznał, czy ktoś mu o nich opowiadał, o, Ziemi, kiedy to było, co mówił, Ziemi, na pewno, przecież, tak, gdzie, kiedy, idą, zaraz staną pod krzyżem, zaraz podniosą wzrok, zmrużą porażone przez

słońce oczy i wezmą zamach... Ty ich przecież znasz, człowieku, tatuaże na policzkach, klan, co to za klan, już podchodzą, tancerze wiele kroków za nimi, a ci stoją tutaj, pod twoim krzyżem, przecież słyszałeś o nich, no przecież, głupi bydlaku, wiedziałeś kiedyś, jaki klan ma za znak żółty kwiat, musisz sobie przypomnieć, bo oni już szykują się, by wypchnąć włócznie w górę, przebić twą skórę i kości, otworzyć czaszkę, rozszarpać gardło, musisz to sobie...

- Stój, Hlomi! - wychrypiał Magwer.

Ostrze dębowej włóczni zatrzymało się o palec od jego oczu, cofnęło nieco, ale wciąż czuł zapach krwi spływającej po wypalonym w ogniu drzewcu.

- Widziałem cię w moim śnie. Zdumienie na ich twarzach.

Muzykanci tańczyli i krzyczeli. Wybijana na bębenkach i wygrywana na świstawkach melodia pochłonęła ich całkowicie, nie zwracali uwagi na to, co dzieje się wokół. Pot na skórze lśnił, zmazując uroczne malunki; bosc stopy uderzały o ziemię; głowy chygotały w szaleńczym rytmie.

- Ciebie też, jego bracie.

Opuścili włócznie. Znalazł! Przypomniał sobie! To oni, to rzeczywiście oni!

- Pszczoły was połączyły - mówił dalej Magwer; teraz, gdy odnalazł właściwą skrytkę w pamięci, zdawało mu się, że potrafi powtórzyć każde słowo Dorona. Któregoś wieczora, przy ognisku, Liść opowiedział Magwerowi o swoim spotkaniu z dwoma młodymi pszczelarzami. - Widziałem.

- Wielu zna nasz los - powiedział starszy z żołnierzy po chwili milczenia. - A imiona usłyszałeś teraz.

- Miałem sen, żołnierzu. Wczoraj, gdy związano mi ręce i nogi, przywleczono tutaj i napojono ziołami śmierci. Widziałem dwóch młodych zapaśników z karoggami w rękach. Widziałem starca patrzącego na nich z miłością, gdy ćwiczyli walkę. Obok stał jeszcze jeden mężczyzna... - Magwer zobaczył, że Illomi drgnął, bracia spojrzeli na siebie. - Nie pamiętam twarzy, ale czułem bijącą od niego moc i siłę. Obserwował was, a gdy skończyliście walczyć,

zwrócił się do starca ze słowami, których nie potrafię powtórzyć. Mówił coś o kłamstwie... Illomi sapnął ze zdumienia.

- Lecz życzył wam dobrze. Wtedy starzec podziękował mu i wypowiedział wasze imiona. Taki miałem sen, żołnierzu.

Chwilę szeptali między sobą. Spojrzeli za oddalającymi się tancerzami. Illomi gwałtownym ruchem włóczni rozciął skórę na piersi Magwera. Ciepła krew wolno spłynęła po napiętym brzuchu.

- Teraz nie możemy ci pomóc, człowieku, który o nas śniłeś - powiedział w końcu Illomi. - Zostań tu i udawaj martwego. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, przyjdziemy po ciebie.

Tbszi pchnęła gońców na prawe skrzydło swej armii, tam, gdzie walczyły regularne oddziały oltomarskiej piechoty. Zaświergotały gwizdki sygnałowe, dłonie doboszy zwolniły rytm, a potem takt uderzeń zmienił się. Żołnierze Gniazda zaczęli się wycofywać. Lecz to nie był odwrót - oni tylko porządkowali szyk, grupowali wokół dziesiąt-ników. Na krótki czas na bitewnym polu zrobiło się jakby więcej miejsca. Lecz zaraz gwizdki i werble przekazały żołnierzom nowy rozkaz. Naprzód!

Ruszyli w tej samej prawie chwili, gdy w środku pola gwardziści starli się z doborową częścią powstańczej armii.

Sam Garłaj Jednooki wiódł swych ludzi do walki. Przed bitwą pomalował zatknięty w lewym oczodole kamień na czerwono, jako zapowiedź krwi, co zostanie przelana.

Niewielu zwykłych ludzi dorównywało Szerszeniom wzrostem i twardością budowy. Garłaj należał do tych nielicznych, przerastał większość gwardzistów o pół głowy. Maczuga w jego rękach kreśliła straszne łuki, znacząc w powietrzu swą drogę kroplami krwi. Ryk radości wydarł się z setek gardeł. Oto ich wódz zabił pierwszego Szerszenia, oto i drugiego! Więc można ich zabijać, ten

wilczy pomiot, tych półludzi, więc śmiertelni oni jak wszyscy, trzeba tylko dość sprytu, celności i siły...

Lecz Garłaj był jeden, może i silniejszy od gwardzistów, ale jeden. Nikt w armii Białego Pazura nie mógł się z nim równać. Więc choć Jednooki i jego najbliżsi towarzysze bili żołnierzy Gniazda, to tuż obok toczyła się inna walka. Wykorzystując swą liczebną przewagę, wojownicy Pazura napierali bez ustanku. Padali martwi, odniósłszy rany, czołgali się po ziemi, ale następne szeregi bezlitośnie tratowały ciała towarzyszy. Cóż z tego, w tym tłoku często bardziej przeszkadzali sobie niż pomagali. Gwar-dyjski szereg, choć luźny, wciąż trzymał linię. Każdy wojownik walczył ze swoimi przeciwnikami, osłaniając równocześnie boki sąsiadów. Gdy padł, jego miejsce zajmował ktoś z odwodu.

Ława gwardzistów zatrzymała się dopiero na Garłaju, uginając się na nim jak cięciwa napięta palcami łucznika. A potem pękła. Atak Szerszeni załamał się, bitwa w centrum zmieniła się w setki pojedynków, w których każdy gwardzista walczył z kilkoma przeciwnikami. Lecz to da-borczycy częściej ginęli. Daborczycy...

Magwer wisiał na krzyżu z opuszczoną głową i pół-przymkniętymi oczyma. Krew na jego piersi zaschła już. Spękane wargi drżały lekko, prawie niezauważalnie.



Doron nie widział jeszcze bijących się gwardzistów. I nie potrafił ich sobie wyobrazić, bo trudno było przecież pojąć, iż jeden człowiek może w tak krótkim czasie zabić trzech innych. Nie bohater jakiś, jedyny mocarz w swym narodzie, a zwykły żołnierz, pierwszy z brzegu, losowo wybrany z szeregu. A oni właśnie w tak nieludzko szybki sposób potrafili rozprawić się ze swoimi przeciwnikami.

Widziano wszak Szerszeni występujących podczas turniejów. Już tam pokazywali, jak świetnymi są szermierzami. Lecz pojedynki turniejowe nie do końca mówią prawdę o wojowniku. Tam walczy się w ograniczonym polu, nie

używając tarcz, tam rozjemca w każdej chwili może przerwać starcie.

Tu karoggi nie trzeba zatrzymywać, gdy spaść ma na nieosłoniętą głowę czy przebić gardło wroga. Tu nieważne jest piękno ruchów - liczy się tylko siła i celność.

Inaczej więc stawiali gwardziści na placu bitewnym niż turniejowym. Zapach krwi rozdymał ich nozdrza, wypełniał piersi. Bębny przewodników wprowadzały ciała we właściwy rytm. W takt zawierający wszystko - atak, unik, cios, jęk, krzyk. W gwardzistach budził się instynkt drapieżcy, niepojęty dla zwykłych ludzi, tak jak niezrozumiałe pozostają dla nich obyczaje Szerszeni. Prawieczny instynkt, przekazywany z pokolenia na pokolenie, dziedziczony przez ów klan wojowników, których często nie uważano już za ludzi.

Ginęli. Bo przecież gwardzista, któremu przebiją serce, rozszarpia gardło, zmiażdżą czaszkę, tak samo zostaje trupem, jak i zwykły człowiek. Więc ciała Szerszeni również zaległy ziemię, choć wszędzie obok jednego przybranego w żółto-czarne barwy trupa leżało trzech, czterech daborczyków.

Wszędzie, z wyjątkiem samego środka pola bitwy. Tam rąbał Garłaj Jednooki, tam stało też kilkunastu jego towarzyszy, co chadzali na banowych poborców jeszcze pod Białym Pazurem. A wokół zebrali się i inni, pokrzepieni tym przykładem powstańcy. Po bokach gwardziści już zaczęli spychać doborowe oddziały Białych, tu jednak, w środku, Garłaj dawał odpór Szerszeniom. Ze trzydziestu wojowników Miasta leżało martwych, a Garłaj nie cofnął się choćby o krok.

Toszi, spostrzegłszy co się dzieje, pchnęła na pole bitwy gońca. Chłopak przemknął między walczącymi zwinnie jak wiewiórka. Zmierzał ku turkoczącemu ponad głowami żołnierzy zielonemu proporcowi. Tam walczył Kog, setnik gwardzistów, najmocniejszy spośród nich.

Goniec zatrzymał się obok proporca Koga. Uderzył w przyczepiony do pasa bębenek. Jego dłonie wybijając zaczęły rytm przyzywania: ra-ta, ra-ta, ta-ta, ra-ta. Nie trwało długo, gdy z kłębowiska walczących wojowników

wynurzył się Kog. Jego nieosłonięte żadnym hełmem włosy zlepiała posoka, twarz miał umazaną ziemią, krew pokrywała zbroję i dłonie, kapiała na buty i znaczyła ciemnymi plamami nogawice.

Kog otrząsnął się, jakby wyszedł z wody. Zbliżył do gońca, przykucnął. Twarz wojownika znalazła się naprzeciw oczu chłopca. Kog nie miał lewego ucha, czarna szrama biegła przez jego brodę i szyję. Spękane wargi odsłoniły dziąsła z powybijanymi zębami. Chłopiec przekazał wojownikowi polecenie Toszi. Szerszeń kiwnął głową i podniósł do ust prawą rękę. Do opasującej nadgarstek skórzanej bransolety przyczepiona była świstawka. Z tego małego instrumentu popłynęła przenikliwa melodia, cichsza znacznie od sygnałowych rogów, ale dostatecznie głośna, by usłyszeli ją najbliżej walczący żołnierze Koga.

Po chwili stanęło obok niego kilku Szerszeni. Mały od-działek skierował się na lewo. Nie wdając się w żadne pojedynki, zmierzał ku miejscu, w którym ludzie Garłaja bili się z Gwardią jak równi z równymi.

Magwer odważył się poruszyć. Nie przypuszczał, by ktokolwiek teraz na niego patrzył. Bał się, rzecz jasna, lecz ciekawość przemogła strach. Podniósł głowę właśnie wtedy, gdy oddział Koga natarł na ludzi Garłaja Jednookiego.

Cienie krzyży skurczyły się w bezkształtne plamy. Słońce wpełzło na sam szczyt Góry.

Garłajowy szyk zadrżał. Lecz Jednooki o krok nie cofnął się ze swej pozycji, maczuga w jego rękach wciąż zataczała śmiertcionośne kręgi. Prysnęła czaszka kolejnego gwardzisty. Następny Szerszeń umarł ze strzaskanym karkiem.

Lecz oto naprzeciw Garłaja stanął Kog, zdyszany, zakrwawiony, rozpędzony.

Szli ku sobie, jakby wokół nich nie było bitwy, jakby śmierć i cierpienie nie otaczały ich zewsząd, jakby tylko oni dwaj czekali na środku pola.

Szli powoli zrazu, a potem krok za krokiem przyspie-

szali, niecierpliwie pragnąc zetrzeć się w śmiertelnym pojedynku. Prawie już biegli, gdy zderzyły się ich maczugi. Pierwszy walnął Kog, a potem bili na zmianę. Uderzali z całą mocą, bacząc tylko, by się nie odsłonić. Tłukli bez opamiętania, chcąc powalić i zmiażdżyć przeciwnika.

Garłaj z krwawym kamieniem w prawym oczodole.

Kog w żółto-czarnych barwach Miasta.

Nie zwolnili choćby na chwilę. Zwarcie za zwarcie, atak za atakiem. Garłaj krzyczał, zadając ciosy, Kog charczał przy każdym oddechu. Pot dawno już rozmazał na ich twarzach wojenne barwy. Długie, splecione w warkoczyki włosy Garłaja lśniły w słońcu. Kościane grzechotki przy butach Koga terkotały przy każdym kroku.

Magwer zapomniał o niebezpieczeństwie. Wpatrywał się w walkę, mrużąc oczy, wyciągając do przodu głowę, zachwycony i przejęty tajemniczą grozą. Jakby dwa tury zwarły się ze sobą w czasie

godów, silne i szybkie, buchające parą z nozdrzy. Tłukące łbami raz za razem, w obłąkańczej wierze w wytrzymałość własnej czaszki. Jakże silne musieli mieć obaj ręce, że nie wypuściły uderzających o siebie maczug. Jakże twarde kości, że nie pękły, gdy miażdżące ciosy spadały na wiklinowe tarcze.

Niewiele dało się wyczytać z ich twarzy. Że zmęczeni, że zawzięci, że wściekli... Kog zdziwiony. Niewielu gwardzistów mogło mu dotrzymać pola. Tu, jak równy z równym, stawał naprzeciw niemu zwykły człowiek. Wielki jak niedźwiedź, silny jak żubr, gibki jak żbik. Zwykły człowiek.

Wciąż biegali. Doskakiwali do siebie, cofali się, cały czas zataczając kręgi, w pędzie wyznaczonym przez rytm kroków i uderzeń.

Co chwila ich sylwetki znikały z oczu Magwera. Zobaczył jednak to, co okazało się najważniejsze.

Jeden ze stojących nieco z tyłu Szerszeni wyciągnął z łubiów łuk. Krótki, do walki na bliskie odległości.

Kog i Garłaj rozczepili się na chwilę.

Łucznik przesunął się do przodu. Dostrzegł to jeden z żołnierzy Białego Pazura, krzyknął coś, wskazał ręką. Szereg wojowników zafalował.

Garłaj uskoczył w bok.

Strzała przebiła jego gardło, gdy jeszcze leciał w powietrzu. Martwe ciało łupnęło o ziemię. Krew Jednookiego połączyła się z Rodzicielką.

Przeraźliwy wrzask i tumult podniósł się w szeregach buntowników. Oto ich wódz stojący przeciw innemu wodzowi został podstępnie zabity! Pomsty! Pomsty! Runęli na gwardzistów niczym woda z rozbitej tamy. Pierwszym impetem odepchnęli ich do tyłu, tak że Kog ledwie zdołał skryć się wśród swoich. Rąbali i siekli, szarpali gołymi rękoma, ranni chwyтали nogi wrogów, zębami wpijali się w ich nogawice. Szerszenie zaczęli się cofać, przerażeni tą siłą i bezwzględnością.

Lecz wśród powstańców zabrakło Garłaja. Ręce zwykłego człowieka nie potrafiły ciągle pracować ponad swoje siły. Zmęczenie już pełzło po ciałach, rozpalając stawy, ściągając w bolesnych skurczach mięśnie, nie dając skrzepnąć krwi na zdartych dłoniach.

Atak załamał się. Szerszenie znów naparli, łamiąc obronę Białych. Gwardziści szli do przodu, pędząc przed sobą liczne jeszcze, lecz wymęczone i przerażone śmiercią dowódcy, doborowe powstańcze wojska.

Na lewym skrzydle oltomarczycy i piechota dymowa napierali na rodowych; na prawym dzielnie do tej pory stojący pospolitacy, widząc cofający się środek, też zaczęli podawać tyły.

Tuż po południu nastąpiła ostatnia faza bitwy. Najpierw odwrót powstańców. Potem ucieczka, coraz

bardziej szaleńcza.

Później rzeź.

Doron widział cofający się tłum. Ludzka masa wpełzła na pagórek, spłynęła z niego, rozciągnęła się na polu. Część buntowników umknęła na boki, najbliżsi, biegnący wprost na Dorona wojownicy byli już niedaleko. Lecz większość kierowała się ku Daborze. Taki widać rozkaz wydał przed bitwą Biały Pazur. W mieście wszak długo jeszcze można walczyć, kryjąc się w domach i ciasnych uliczkach.

Kiedy Doron uznał, że wokół krzyży i stanowiska czer-wońców panuje dostatecznie duże zamieszanie, poderwał się z ziemi i popędził ku wzgórzu.

Tylko rząd krzyży pozostał nieruchomy pośród ludzkiego kłębowiska. Tak jak rzeczny nurt załamuje się na słupach mostu, tak jak jego bystrzyna zapętleła wokół oślizgłych belek, tak i ludzka rzeka tu właśnie szarpała się i dzieliła. Kolejne grupy mężczyzn zbiegały ze wzgórza ku Daborze. Już za chwilę za plecami uciekających pojawić się mogli wojownicy w żółto-czarnych kaftanach.

Doron biegł ku krzyżom, wiedząc, że nie wystarczy tylko przedrzeć się przez ten tłum przerażonych ludzi. Że trzeba jeszcze odciąć Magwera, a potem razem z nim, na pewno osłabłym i odrętwiałym, umknąć przed Gwardią.

Biegł potrącany i sam potrącał, w podniesionym tysiącami stóp kurzu, pod białym od południowego żaru niebem. Tylko ten rząd krzyży pozostał nieruchomy pośród zamieszania... Tylko?

Nie! Doron aż się zatrzymał. Na wzgórzu, na swym drewnianym podeście wciąż stał Biały Pazur. Odbijające się od drewnianych szponów światło aż raziło w oczy. Otaczali go wojownicy z czerwonej sotni. Nie próbowali już zatrzymać uciekających żołnierzy, dobierać sobie pomocników do ostatniej, śmiertelnej roboty. Wytrawni wojownicy, ślepo posłuszni Pazurowi, gardzili tłumem, który ich pan prowadził do walki. Teraz czekali, by swoją śmiercią dać tej hałastrze szansę ucieczki. A Liściowi, choć nikt z nich tego nie wiedział, czas na uwolnienie Magwera.

Czoło uciekającego ku Daborze tłumowi zwolniło, ugięło się i pękło. Spomiędzy domów wypełził długi czarny wąż najeżony setkami ostrzy.

Gwardziści, przybocznicy, zwykli żołnierze, niewolnicy. Oto ban wy dostał się z oblężonego Gorczem i szedł z pomocą Gwardii.

Doron przyspieszył kroku. Był już na wzgórzu.

W paru susach znalazł się przed krzyżem Magwera.

- Żyjesz, chłopcze? - spytał.

Czarne ptaki krążyły nad polem bitwy. Z góry inaczej musiały wyglądać ludzkie zmagania. Tam nie docierał wrzask mordowanych, radosny ryk zwycięzców, pośpiech ściganych i ścigających. Odmienne widziały tę walkę ptasie oczy.

Resztki powstańczej armii skupionej wokół czerwonych. Setki ludzi kręcących się bez celu, szukających miejsca, coraz bardziej spychanych. Od czoła nacierała na nich linia gwardzistów. Ptasie oczy dostrzec by musiały ten żółto-czarny szereg na tle brunatnej ziemi. Z prawej flanki Urodzeni prowadzili swoich sjeni, coraz bardziej gniotąc pospolitaków. Z lewej równa linia oltomarczyków naciskała na dające jeszcze słaby odpór resztki rodowych. Drogę ucieczki w bok odcięli powstańcom Pasterze Psów. Linia wojowników napięła się coraz bardziej, opasała wzgórze, na które pięli się teraz gwardziści. Nikt nie wierzył, że czerwony zdołają powstrzymać Szerszeni. Tym bardziej, że na wzgórzu zostawało coraz mniej wojowników z innych secin. Widzieli oni, co się święci - już niedługo pagórek zostanie otoczony, a jego obrońcy wyrżnięci bez litości. Opuszczali więc Białego Pazura równie szybko, jak jeszcze niedawno przyłączali się do buntu. Nie mogli uciekać na boki, pozostał jeden kierunek odwrotu. Dabora.

Ptaki zobaczyłyby setki mężczyzn biegnących w stronę miasta. Niektórzy w pełni ulegli swojemu strachowi. Odrzuciwszy broń, zdarłszy z głów hełmy gnali wprost przed siebie, chcąc zaszyć się w jakimś bezpiecznym kącie. Inni pamiętali rozkazy Białego Pazura. W wyznaczonych miejscach czekać mieli na nich nowi dowódcy. Po przegrupowaniu długo jeszcze będzie się można bronić na uliczkach Dabory. I właśnie po to, by dać czas uciekającym, Biały Pazur poświęcił swych najlepszych ludzi.

Dla ptaków sotnia stanowiła tylko czerwoną plamkę, jakże niewielką wobec okrążającej ją żółto-czarnej linii.

To wszystko widzieć mogły tylko ptaki.

A potem trzystu wojowników bana wynurzyło się spomiędzy domów i stanęło na granicy miasta. Pęd ludzkiej rzeki zmalął. Niektórzy powstańcy, widząc przed sobą nowego wroga, próbowali pierzchnąć na boki. Lecz większość Białych biegła dalej, wprost na linię żołnierzy Pen-ge Afry.

Doron przeciął krępujące Magwera więzy. Ciało chłopaka opadło bezwładnie na Liścia. Chwycił je, mało się nie przewracając. Gdy układał Magwera na ziemi, poczuł mocne uderzenie w kark.

W tej samej chwili gwardziści starli się z czerwonymi. Walczyli może o trzydzieści kroków od krzyży.

Cios był wystarczająco mocny, by przewrócić Liścia. Nie na tyle jednak silny, by odebrać mu przytomność. Ciało Magwera łomotnęło o ziemię, a Liść poturlał się za nim. Od razu jednak wstał, obracając się w stronę napastnika. Zaskoczony, aż sapnął.

Zobaczył twarz potwora.

Ta chwila zawahania mogła go kosztować życie. Sękaty drąg zatoczył łuk i niewiele brakowało, a trafiłby w czaszkę Dorona, Liść ocknął się jednak, uchylił. Zrzucił opadający na plecy płaszcz, sięgnął po karogę.

To, co wziął za pysk jakiegoś bagiennego stwora, było ludzką twarzą pokrytą tatuażami i malunkami. Pot rozmazał rysunki, zmył niektóre z nich, zmieniając rysy człowieka w straszną maskę. Naprzeciwko Dorona stał jeden ze śpiewaków towarzyszących obrzędowi składania ofiar.

Doron kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Drugi kastrat skakał w jego stronę, ściskając w dłoni krzemienną szpilę. Doron ciął, rozorując brzuch napastnika. Ranny śmiertelnie śpiewak chwilę jeszcze stał, aż kolana ugięły się pod nim i runął twarzą na ziemię.

Nikt z biegających wokół wojowników nie zwrócił uwagi na walkę. Bo i każdy z nich musiał zadbać o siebie - pierwsi gwardziści wdrapali się już do połowy wysokości

wzgórza. Doron słyszał, jak uderzają o siebie drewniane maczugi.

Przerzucił bezwładne ciało Magwera przez plecy i ruszył ku Daborze. Nim zbiegł ze wzgórza, Szerszenie przedarli się przez czerwońców, a Biały Pazur wbił sobie szpony w czaszkę.

Najdłużej stawiali opór ci, po których najmniej się tego spodziewano - pospolitacy. Na przeciwnym skrzydle dawno załamał się szyk rodowych. W centrum padli już wszyscy czerwońcy, a gwardziści przekroczyli linię krzyży. Zaś na prawym skrzydle wciąż trwała walka. Pospolitacy nie osiągnęli przewagi, ale sami też nie ustępowali pola. Lecz nie mogli przeważać losów bitwy. Gdy zobaczyli, jak chwieją się i łamią doborowe powstańcze seciny, jak Szerszenie zdobywają wzgórze, jak ginie Biały Pazur, również rozpoczęli odwrót. Sokół i Olzyn nie rozsyłali już gońców. Sami biegali wzdłuż szeregów, tuż za plecami walczących, narażając się na strzały i razy. Wykrzykiwali polecenia, próbowali utrzymać spójność szyku. Czyż jednak dwóch może zatrzymać kilka tysięcy? Pospolitacy cofali się powoli, jeszcze pilnując szyku, ale jednak cofali. Kiedy zaś spora część gwardzistów, miast rzucić się w pościg za uciekającymi rodowymi, uderzyła na nich od flanki, nic już nie mogło zatamować powodzi. Cztery tysiące ludzi, bo tylu ich jeszcze zostało żywych, rzuciło się do ucieczki, powalając tak stojących na drodze przeciwników, jak i swoich dowódców.

Alghoj Sokół, druh Białego Pazura, zginął od ciosu topora drwala z Wrzosowych Lasów. Podobnego do niego jak dwie krople wody Olzyna przewrócił i zdeptał uciekający tłum.

Wszystko to działo się za plecami Dorona. Gdyby pospolitacy bronili się krócej, gdyby czerwońcy nie zastąpili drogi Szerszeniom, już teraz ogarnąłby go pościg. Otrzymał jednak od umierających wojowników dar najcenniejszy-

szy - czas. Biegł tak szybko, na ile pozwalał mu dźwigany ciężar. Magwer odzyskał przytomność, ale krew nie wróciła do jego ścierpniętych stóp i dłoni, nie byłby w stanie zrobić trzech kroków. Liść kuśtykał więc przygięty do ziemi, nie mogąc rozejrzeć się ani bronić. Nie wiedział, jak daleko za nim są Szerszenie, lecz czuł, że już niedługo znajdą się tuż za jego plecami. Zmęczenie dawało znać

O sobie, zwalniał, wyprzedzało go coraz więcej uciekających wojowników. Mógłby tu zostawić Magwera, licząc, że żaden z gwardzistów nie zechce dobić tak ciężko rannego chłopaka. Lecz wiedział, że myśląc w ten sposób, oszukuje sam siebie - Szerszenie zawsze mordowali leżących na ziemi przeciwników. Prawidła wojennego rzemiosła nakazują zabijać jak największą liczbę wrogów i zabraniają litować się nad pokonanymi. Mógł więc poświęcić Magwera

I nie powinien mieć o to do siebie żadnego żalu. Uratował chłopaka, robił, co mógł, nie udało się... Wszystkie te myśli przebiegły przez głowę Dorona, gdy pędził przed siebie, zadyszany, półosłepły od zalewającego oczy potu, obolały. Wahał się. Nie miał czasu na zastanawianie się, a jednak się wahał.

- Puść mnie - powiedział cicho Magwer. - Nie uciekniesz ze mną.

Przez ciało Dorona przebiegło drżenie. Głos chłopaka sprawił, że Liść odzyskał pełną jasność myślenia. Nie po to strawił tyle czasu na uwolnienie Magwera, by teraz się wycofać. To myśl pierwsza. Ten chłopak jest mi potrzebny. To myśl druga. I trzecia, najważniejsza. Nie o to wcale chodzi. Rzecz nie w tym, że mnóstwo swego czasu poświęcił chłopcu, który nie wiadomo do czego może się przydać. Wszak Magwer, choć młody i naiwny, stał się przez ostatnie tygodnie nie tylko sługą czy użytecznym narzędziem. To towarzysz wędrówki, walki, to druh...

Doron zapomniał nagle, gdzie jest, co robi, co mu grozi. Myśl, która objęła w posiadanie jego umysł, poraziła swą jasnością i pięknem. Ten chłopak stał mu się bliski, ważny w taki sposób, jak nikt inny przedtem. Olgomar to brat, zabity podstępnie, którego śmierć trzeba pomścić i oddać dla tej zemsty życie. To brat, z którym połączyła

go wola świętych drzew. A ten tu - zwykły chłopak, jakich setki kręciły się po Daborze w czasie turnieju. Jednak właśnie teraz Doron poczuł, że łączy go z Magwerem coś więcej niż wspólna sprawa do załatwienia. Przyjaźń.

Zapomniał o ciężarze, który dźwiga, nogi jakby raźniej odmierzały kroki, zniknęła kolka, oddech uspokoił się. Doron, wciąż pochylony, przyciskając do pleców ciało Magwera, biegł, jakby zyskał nowe siły.

Szerszenie pędzili ku Daborze uciekających, niczym pasterze owce do zagrody. Sjeni po prawej, oltomarczycy po lewej, jak psy nie pozwalali odłączyć się od stada pojedynczym sztukom. Na drodze tego wielotysięcznego pochodu stał ban z trzema setkami wojowników, a wśród nich siedemdziesięcioma Szerszeniami i setką Przybocznych. Lecz nawet tacy żołnierze nie zatrzymają tysięcy przerażonych, lecz rozognionych wcześniejszą walką ludzi. Uciekający powstańcy znieśli banową eskortę, tak jak rzeka po wiosennych roztopach rozwała leśne mosty.

Ogień pojawił się na zachodnim krańcu Daborcy. Nie wiadomo, czy zaproszył go szabrownik chcący ukryć rabunek, czy najeźdźcy, czy może powstańcy, licząc, że pożar da im czas na ucieczkę. Słomiane dachy domów rozgorzały szybkimi, jasnymi płomieniami, a rozbudzona chciwość ognia nie miała umiaru. Wiatr przenosił płonące żagwie na sąsiednie budynki i w krótkim czasie kolejne kwartały stawały w płomieniach. Wiejący od rzeki wiatr roznosił pożar na całe miasto. Daborcy płonęła.

Potknął się i przewrócił. Ciało Magwera upadło na ziemię, chłopak cicho jęknął i legł w bezruchu. Liść powstał od razu, rozejrzał się.

Ze wzgórza schodzili ku Daborze najeźdźcy, niczym naganiacze napędzający zwierzynę na myśliwców. Szerszenie na nowo porządkowali szyki. Toszi bała się widocznie, że rozochoczone pościgiem grupki wojowników mogą zostać schwytane w pułapki. Tak więc, choć prawe skrzydło armii Toszi oparło się już o rzekę, a lewe otaczało Daborę od zachodu, czoło wojska jeszcze nie dotarło do granicy

miasta. *To* zaś dało uciekającym trochę czasu. Gdzieś dowódcy zdołali zebrać wokół siebie nieco ludzi. Kto wie, gdyby nie pożar, może udałoby się zorganizować w mieście nową linię obrony. Lecz ciągnący z północy ogień wszystko pomieszał. Porozdzielał poszczególne oddziały, tak powstańców, jak i zaczynających plądrować obrzeża miasta oltomarczyków. Gdzieś, pomiędzy ścierającymi się wojownikami a ogniem, znajdował się też ban z niewielką grupą żołnierzy.

Tego wszystkiego nie mógł jednak wiedzieć Doron, gdy stał nad ciałem Magwera. Widział zbliżających się żółto--czarnych wojowników, wciąż przebiegających obok niego powstańców, młodego chłopaka u swoich nóg.

Musi spróbować! Tu. Teraz. W tym pośpiechu, w tym strachu, w tym szumie. Musi!

Pochylił się nad Magwerem, gwałtownym ruchem zdarł z jego bioder przepaskę. Położył go na brzuchu, rozłożył Magwerowi szeroko ręce i nogi. Kucnął przy jego głowie, przytknął chłopakowi dłonie do włosów, przycisnął twarz do ziemi. Zamknął oczy. Musiał odegnąć myśli, odpędzić uczucia, zapomnieć o tym, co dziś widział. I zrobił to.

Ziemi, matko ludzi i drzew, twą kością kamień, co z ludzkiej kości powstaje. Twoim ciałem żyzna gleba, co z ciał drzew pochodzi. Tyś Matką i ludzi, i drzew, a ja przecież jestem Liściem, wybrańcem. Pomóż mi, Matko, pomóż uratować tego chłopaka, wróć mu siły, wróć mu wzrok i słuch, daj jego ramionom siłę. Potrzebuję go, Matko, do pomsty, do wróżdy sprawiedliwej na zdrajcy, na mordercy mego brata. Pomóż mi, Matko, pomóż!

Teraz i Doron drżał. Gorąco oblało jego ciało, na jeden krótki moment ujrzał wspaniałą wizję - mieszaninę barw znanych i niepostrzeganych ludzkim okiem, płataninę kształtów rozumiałych i obcych, dźwięki nigdy jeszcze nie słyszane, dotyk dziwny i poruszający każdy nerw ciała. Wizja zniknęła równie nagle, jak się pojawiła. Doron otworzył oczy, oderwał ręce od głowy Magwera. Zamarł na moment w zdumieniu. Jego dłonie zostawiły na płowej czuprynie chłopaka ślady - jakby liść umazał palce w sadzy albo w błocie. Lecz to włosy Magwera szerniały



w miejscach, w których dotykały ich dłonie Liścia. Doron podniósł wzrok wyżej. Szerszenie byli nie dalej, jak na pięćdziesiąt kroków. Z tej odległości mógł już rozróżnić malunki na maskach zakrywających ich twarze.

- Liściu! - Magwer patrzył na niego przytomnym wzrokiem.

- Szybko! - Doron poderwał się z ziemi, pociągnął Magwera za sobą. Popędzili ku domom Daborcy ile sił w nogach, czekając, kiedy strzały o żółto-czarnych lotkach przebiją ich plecy. Czy to jednak gwardyjscy łucznicy już nie mieli pocisków, czy też zdumiał ich widok uciekającego gołego mężczyzny, czy też poczuli, że niezwykle człowiek przed nimi umyka - dość, że żadna strzała nie poleciała ku biegnącym.

Zatrzymali się dopiero między domami.

- Czyżbyś wystraszył ich swoim białym tyłkiem? - wy-dyszał Doron, uśmiechając się.

- Znowu ratujesz mi życie, Liściu - Magwer zaczął poważnie, nie zważając na to, że jest zupełnie nagi.

- Niech będzie - przerwał mu Doron. - Ściągnij lepiej portki z jakiegoś trupa.

Ruszyli ku Gorczem.

## 23. Krew i kamień

Niewiele ptaków krążyło jeszcze nad polem bitwy. Większość czarnych padlinożerców dawno rozpoczęła ucztę na zasłanej trupami, zdeptanej ziemi. Ptasie oczy widziały bitwę inaczej niż ludzkie.

Najpierw obszar brązowej ziemi na wschodzie - to pola należące do bana, z których zebrano zboże jeszcze przed turniejem. Bardziej na zachód wąski, żółty pas żyta, ciągnący się od rzeki aż do otaczających Daborę lasów. Potem zaś zdeptana ziemia. Zwały trupów tam, gdzie zwały się obie armie. Bystre ptasie źrenice nawet spod chmur odróżnić mogły martwych żołnierzy - barwne stroje rodowych, jednolite najemników i piechoty dymowej, nieliczne żółto-czarne trupy Szerszeni. Płynący na powietrznych prądach ptak ujrzałby dalej wzgórze, z którego nie tak dawno Biały Pazur dowodził wielotysięczną armią. Teraz zalegały je trupy czerwońców. Żaden z wojowników nie przeżył swego dowódcy, ci, którzy nie padli w walce, woleli popełnić samobójstwo niż pójść w niewolę.

Pas wydeptanej ziemi ciągnął się od wzgórza aż do granicy miasta. Tu leżało znacznie mniej trupów, za to poniewierała się cała masa broni.

Potem ciepłe powietrze uderzyłoby od spodu w skrzydła ptaka, podniosło go wznoszącym prądem. Ptak zawisłby nad płonącym miastem. I gdyby nie przeraził się dymu i żaru, huku walących się

domów i wrzasków ludzi, zobaczyłby małych ludzików walczących o życie. Pojedyncze sylwetki przemykające ulicami. To najbardziej przera-

żeni uciekinierzy, nie myślący o niczym innym jak o wydostaniu się z koszmaru tego dnia. Albo złodzieje szukający okazji do rabunku właśnie teraz, gdy nikt już nie dbał o miasto. Podniebny szybownik ujrzałby też kilkunastoosobowe grupki najeźdźców i obrońców ścigające się po uliczkach i zaułkach podgrodzia. Ścierające się ze sobą na placykach i skwerach. Także i te walki często przemieniały się w polowania na zaszczytych, samotnych ludzi, przenosiły do wnętrza domów, urywały nagle, gdy ogień lub dym ogarniał wojowników.

Gdyby ptaki interesowały się sprawami ludzi, potrafiły odróżnić ich twarze, szarże i godności, może dostrzegłyby oddział bana. Władca Leśnych Gór i jego skąpa, licząca kilkunastu przybocznych świta przedzierali się przez środkową część podgrodzia - tam, gdzie najgęściej stawiano domy, gdzie płonął wielki ogień i kłębiła się cała masa wojska. Oddziałek ten starannie unikał wałki. Umykał na widok większych grup, sam nie zaczepiał mniejszych. I choć często przez to trzeba było nadrabiać drogi, omijać nie tylko pojedyncze domy, ale i całe ulice, to kierunek marszu nie zmieniał się. Ban i jego ludzie parli do Gorczem.

Być może instynkt podpowiedziałby ptakowi, gdzie skierować wzrok, by ujrzyć coś ciekawego. Bo oto w panującym na ziemi chaosie dostrzec można było jeszcze dwa punkty, poruszające się po ustalonej wcześniej, a nie przypadkowej trasie. Może to właśnie przyciągnęłyby ptasie oczy, a może bijąca od jednego z tych ludzi moc zwróciłaby uwagę pierzastych lotników.

Doron i Magwer bez chwili wytchnienia pędzili ku Gorczem. Liść rozumował prosto: jeśli ban zdołał już wrócić do twierdzy, to i tak jest za późno. Być może jednak wraz z resztkami swego rozbitego oddziału płacze się po mieście, umykając przed ludźmi i ogniem. Jeśli tak, to trzeba go wyprzedzić i przeciąć mu drogę. Potem spróbować go odnaleźć pośród domów i zgliszczy, pośród konających i walczących, zwycięzców i pokonanych. Dopaść niespodziewanie i zabić. I umrzeć.

Ptak widziałby, jak obie grupy wędrują ku Gorczem. Ale dwóch wojowników szybciej może przemykać przez

miasto, łatwiej unikać spotkań z wrogiem, przeciskać się węższymi przejściami. Liść i Magwer dogonili bana.

Doron dostrzegł kilkanaście ludzkich sylwetek znikających za zakrętem. Nikt inny pewnie by nie rozpoznał bana, ale umysł Liścia od dawna wypełniała tylko jedna myśl - dopaść Penge Afrę. Więc kiedy ujrzał przed sobą tych ludzi, od razu poczuł, kim są. Liść spojrzał pytająco na Magwera. Chłopak kiwnął głową, ale widać było, że jest u kresu sił.

Ptaki, czarni padlinożercy, poczułyby, że zbliża się kolejna uczta.

Wiał północny wiatr przyduszający dym do ziemi.

Sylwetki wojowników bana pojawiały się i znikwały za słupami ognia. Mały oddziałek kluczył nie tylko po to, by uniknąć spotkania z powstańcami, ale także by ominąć płonące przeszkody terenowe, w jakie zmieniły się wszystkie budynki tej części miasta.

Doron nie potrafił policzyć, ilu ludzi zostało banowi. Teraz jednak, gdy wreszcie odnalazł trop, gdy poczuł, że może dopełnić zemsty, przestał się bać i zastanawiać. Biegł, nie zwracając wcale uwagi na dym i płomienie. Nie słyszał trzasku walących się krokwi, krzyków płonących i zarąbywanych ludzi. W jego uszach brzmiały tylko słowa Piastunki Drzew:

*Póki ty żył będziesz, żywym pozostanie ten, co Daborą włada, choć nie włada Kręgiem. Lecz gdy umrzesz, Liściu, krwią zraszając kamień, śmierć go w cień zabierze, kładąc kres potędze.*

Więc to już. Może zaraz. Teraz. Kolec Czarnej Róży przebije skórę, skosztuje krwi, a potem odbierze życie. Lecz wróżda się dopełni.

Równocześnie, gdzieś w głębi umysłu, a może głębiej nawet, na samym dnie możliwego pojmowania, rodził się niepokój podobny temu w płonącej puszczy. Przekonanie o obecności siły obcej, wrogiej, służącej żywiołowi niszczącemu teraz Daborę - ogniowi.

Magwer biegł z trudem, ciężko łapał oddech. I tak jed-

nak dziwiło go, że w ogóle może się poruszać. Po tym, co przeżył w ciągu ostatnich dni... Czuł jednak, że nadchodzi wreszcie ta chwila, w której zdoła się wywdzięgnąć Doro-nowi za wszystko - za ratunek, za opiekę, za przyjaźń. Lecz równocześnie wzrastało w nim przerażenie. Bo cóż to będzie za wywdzięka? Wziąć zamach, szeroki, mocny, a potem ciąć toporem, rozedrzeć kaftan i skórę, pozwolić, by kamienne ostrze strzaskało kark i przebiło serce. Zabić Liścia. Cóż to za wywdzięka...

- Są! - syknął Liść, zatrzymując się raptownie.

- Są! - powtórzył Magwer, jakby dopiero to potwierdzenie mogło przywrócić go do rzeczywistości.

Bana i jego syna otaczało kilkunastu przybocznych. Stali pośrodku otoczonego domami placu. Budynki płonęły, ogień huczał, a czarne płaty sadzy opadały na głowy żołnierzy. Nikt nie przecisnąłby się między ścianami domów. Nie mogli też zawrócić ścieżką, którą przyszli. Duży oddział Białych odciął im drogę odwrotu. Powstańcy nie zaatakowali od razu. Może nie potrafili przełamać strachu przed banem albo rozważali, czy nie przyłączyć się do władcy, licząc na przyszłą nagrodę. Lecz najpewniej po prostu zaskoczyło ich to spotkanie z władcą ciał i dusz wszystkich daborczyków. Dusz, które przez ostatnie dni czuły się wolne.

Ziajany Doron przycupnął za cembrowiną studni, obok kucnął Magwer. Różnie mogły się potoczyć dalsze wydarzenia - decydować miało pierwsze słowo, ruch, gest.

Padły pierwsze słowa.

- Krew! Krew! -jakiś głos, młody, lecz pewny, dumny. Buntownicy ruszyli na przybocznych.

Szli bezładną kupą, wypełniając przestrzeń między płonącymi budynkami, zasłaniając Doronowi ludzi bana. Liść dostrzegł jeszcze, że przyboczni przegrupowują się pospiesznie. Dwie opiekunki towarzyszące małemu Bald Mrze odprowadziły chłopca na bok. Następca tronu odwrócił się tyłem do walczących, pokazując skrępowane na plecach ręce. Jego ten bój nie dotyczył, nie obchodziła go nienawiść, jaką daborczycy żywili do jego ojca. Żaden z czynów rodziciela nie jest przypisany Bald Afrze, który

pozostanie czysty do chwili, gdy sam obejmie władzę. Mały czarnowłosy chłopiec o skrępowanych rękach stał pomiędzy piastunkami na tle ognia trawiącego jego dziedzictwo.

Dorośli już się zwarli. Wykrzykując rodowe zawołania, miotając obelgi, skowycząc z bólu. Maczugi uderzały o tarcze, topory cięły gardła, młoty rozłupywały czaszki. Brakowało miejsca w tym płonącym kotle, by Biali mogli w pełni wykorzystać przewagę liczebną. Bijący od ognia żar, nie mniej niż zmęczenie, wyciskał pot ze skóry wojowników.

Buntowników było więcej, do starcia pchała ich nienawiść, chęć zemsty i żądza sławy. Bo przecież niejedna opowieść powstanie o tej bitwie, a w każdej z nich wiele strof poświęcą pieśniarze na opis ostatniej walki bana.

Przyboczni, choć w mniejszości, przeciwstawić mogli wrogom kunszt żołnierski, zaciętość i dumę. Gdyby mieli dość miejsca, gdyby mogli stanąć zwartym szykiem, gdyby nie musieli uważać na liżące ich plecy płomienie, pewnie odparliby bezładny atak. A tak, mordowali, ale sami też ginęli.

Liść nie widział bana zasłoniętego plecami wojowników. Czy Penge Afra bił się czy tylko wspomagał swych ludzi mocą magii? Doron spojrział na Magwera. Chłopak chłonał tę walkę każdym zmysłem.

Liczba nacierających zaczęła przeważać nad kunsztem obrońców.

Większość przybocznych leżała już martwa, kilku biło się jeszcze, kryjąc za ciałami padłych towarzyszy. Parło na nich kilkunastu teraz już pewnych zwycięstwa buntowników. Liść po raz pierwszy dojrzał bana. Władca stał nieruchomo, z tyłu za swymi ludźmi, niemal wsparty o ścianę domu. Jakby nie przeszkadzały mu płomienie. Głowę miał pochyloną, ręce wyciągnięte wzdłuż ciała, z rozcapierzonymi dłońmi zwróconymi ku ogniewi.

Padło dwóch następnych przybocznych. Niańki przysunęły się bliżej Bald Afry. Lecz na chłopca nikt nie zwracał uwagi. Władztwo małego dopiero nadejdzie. Teraz czas zabić tyrana i zdrajcę, co ciemnił swój lud, a potem stanął przeciw niemu wraz z Szerszeniami.

Następny przyboczny zachwiał się, by chwilę potem upaść na ziemię.

- Oni go zabiją - szepnął Magwer. - Musisz go uratować, by móc go zabić samemu.

- I by samemu przy tym zginąć. Magwer kiwnął głową, zaciskając wargi.

- Z twojej ręki, chłopcze. Znów kiwnięcie.

- Wiesz, co masz robić?

- Tak.

Doron tłumaczył mu wszystko kilka razy. Trzeba ogłuszyć bana. Liść pochylił się nad nim, przystawiając ostrze karoggi do gardła. Wtedy Magwer strzaska toporem kark Liścia. Doron, padając, poderżnie gardło Penge Afry. Umrze, zanim zginie władca Dabory - przepowiednia zostanie spełniona. Ostrze trzymanej w jego dłoniach broni stanie się kolcem Czarnej Róży - wróżda się dokona. Tak być musi. Tak musi być. Tak musi. Tego widać chciała Ziemia Rodzicielka.

Jeszcze dwóch przybocznych odbijało ciosy przeciwników. Białych też już niewiele zostało - ośmiu. Dość jednak, by zabić wojowników władcy. Dość, by zabić bana i przeszkodzić w dopełnieniu wróżdy. A i wyznaczyć czas życia jego - Liścia. Bo przecież umrzeć musi przed ba-nem. Więc każdy krok, jaki buntownicy robili ku banowi, każdy sztych wymierzony w jego serce zbliżał Dorona do śmierci.

Magwer, choć myślał o tym wielokrotnie, choć nieraz zdawało mu się, że już pojął złożoność sytuacji, znów poczuł, że tak naprawdę niewiele rozumie. Ban nie umrze, póki Liść żyje. Więc jeśli Doron ukryje się tutaj, to tamci nie zabiją Penge Afry. Może wezmą go do niewoli albo tylko zranią, albo w ostatniej chwili nadejdzie pomoc. Magwer wciąż nie mógł pojąć, że to, co uczyni Liść, wpłynie na decyzje tamtych ludzi. Lecz ich wybory decydują z kolei o życiu Liścia. Świat jest jedną całością, każdy ruch człowieka zmienia ten świat, wpływa na losy innych ludzi niczym echo, niczym poblask światła na tafli jeziora. Gdy oni postanowią zabić bana, to Liść skona tutaj, wsparty

o cembrowinę studni. Zabije go nagłą niemoc. Albo wiatr pchnie ku niemu wiecheć ognia, który ogarnie i spopieli ciało Dorona. Albo zbłąkana strzała przebije mu brzuch. Wiele śmierci spotkać może Liścia, gdy tamci postanowią zabić Penge Afrę.

To wszystko wyczytać można było ze słów Świętego Lasu. A może i wiele innych rzeczy, których zwykły śmiertelnik nie zdoła ogarnąć rozumem. Więc nie ma znaczenia, czy Liść tu zostanie, czy nie. Los musi się dopełnić. A wróżda nie. I dlatego trzeba zrobić wszystko, by jej dokonać.

Ban wciąż trwał w niemym skupieniu. Nawet nie patrzył na walkę. Kosmyki ognia strzelały zza jego pleców, zdawały się sięgać szat i włosów władcy, ale on nie zwracał uwagi na gorąco. Potężny, siwowłosy mężczyzna w zbroi szytej przez najlepszych daborskich joparzy. Nie sięgnął po wiszący u pasa wielki topór, o dębowym trzonie i gładkim ostrzu szlifowanym z żółtego krzemienia. Nawet nie drgnął, gdy padł ostatni żołnierz oddzielający go od pozostałych przy życiu powstańców.

Doron zrzucił z pleców płaszcz, mocno ujął rękojeść ka-roggi. Magwer czuł, że jest słaby i zmęczony, lecz stanął obok Liścia ze sztyletami w obu dłoniach.

Nagle ban podniósł głowę. Otworzył oczy, wyrzucił ramiona w górę, łącząc dłonie.

Magwer zobaczył, że jego oczy są żółte, jakby odbijał się w nich blask płomieni. Lub jakby same płonęły.

Buntownicy z wrzaskiem skoczyli ku Penge Afrze.

Głos bana wzbił się ponad ich krzyk. Magwer słyszał już ten dźwięk. Nie wiedział gdzie, ale słyszał.

Zza pleców bana wystrzeliły strugi ognia. Przez chwilę Magwerowi wydawało się, że to wiatr pchnął płomienie, że ogarną one zaraz Penge Afrę, spalą na popiół. Lecz po chwili zdał sobie sprawę, że to właśnie ban kieruje ogniem, rządzi nim tak, jak myśliwy swym psem.

Powstańcy zapłonęli niemal równocześnie. Ich ciała rozgorzały jak wielkie pochodnie, ogień przebił się przez skórę, w jednej chwili ogarnął wszystkich. Płomienie buchające zza pleców Penge Afry wyciągnęły się niczym dwa

rozpalone ramiona. Ban stał w środku ognistego pierścienia, którego okiem było siedem wijących się w straszliwej męczarni ludzkich postaci.

Potem ogień cofnął się, a zwęglone trupy spoczęły na ziemi. Ban patrzył na nie oczami, w których już wygasły płomienie, oczami przypominającymi dwie bryłki mlecznego szkła. Lecz kiedy Doron zrobił ku niemu pierwszy krok, zaraz oprzytomniał.

- Nie boję się twojej mocy - powiedział Liść. - Przyszedłem cię zabić, morderco mego brata.

- Ty nie możesz mnie zabić, Sługo Drzew - szepnął ban, sięgając po swój topór. Blask ognia zatańczył na gładkim, lśniącym ostrzu. Krzemień jarzył się niczym szkło, rżnięte przez mistrzów z Uwegny.

- Znam przepowiednię - mówił dalej ban, idąc ku Liściowi. - Rozejdźmy się więc. Nic mi nie możesz zrobić. A i ja nie pragnę twojej śmierci.

Liść nie odpowiedział mu, zakreślił tylko karogga. Czuł jej ciepło, pulsowanie, jakby trzymał w dłoniach nie martwe drzewo, a coś żywego, prężnego... Czuł też siłę i moc wypełniające jego ciało.

- Sądzisz, że nie myślałem o naszym losie? - mówił dalej ban. Teraz krążyli wokół siebie na środku placu. Bald Afra i jego opiekunki wciąż trwali w bezruchu. Magwer zrozumiał wszystko. Moc bana wystarczyła, by zabić zwykłych ludzi. Nie potrafiłaby jednak złamać Liścia.

- Wiem, na co liczysz, nie przyszedłeś tu sam. Wiele nocy spędziłem rozważając to, co i ty. Wiem, że

możesz dopełnić wróżdy. Lecz i ty o czymś zapomniałeś.

Doron wciąż milczał.

Magwer poderwał się z ziemi i już zrobił pierwszy krok ku walczącym, gdy nagle kolana ugięły się pod nim. Upadł i nie zdołał już wstać. Wróciła słabość. Czy to nadwerężone ciało, teraz, w tak ważnej chwili odmówiło posłuszeństwa? Czy głód, cierpienie i męka na krzyżu teraz dopiero dały znać o sobie? Chciał krzyczeć, lecz nie potrafił wydobyć głosu. Bezradny i słaby leżał na ziemi, jeszcze próbując pełznąć ku walczącym. Lecz wkrótce i na to nie starczyło Magwerowi sił. Wtedy zrozumiał, że to nie jego ciało zawiniło. To moc Penge Afry, moc tajemna i strasz-

na, tak go osłabiła. Pojął, że nigdy nie zdoła zbliżyć się do bana, by pomóc Liściowi. Nigdy...

Więc Doron umrze. Umrze...

Topór i karogga minęły się o włos. Ban ciął po raz drugi, od dołu, lecz Liść odskoczył, zbijając uderzenie.

- Pięknie, wojowniku - odezwał się ban. - O co walczysz, powiedz. Musisz umrzeć, chyba że uciekniesz - Penge Afra uśmiechnął się. - Lecz wiem, że tego nie zrobisz, Liściu.

Zaatakował zaraz po wypowiedzeniu ostatniego słowa. Lśniące ostrze zawisło w powietrzu. Opadło. Liść zablokował cios, pchnął karogga, wychylając się do przodu. Ban przerzucił topór w dłoniach, końcem trzonka trafił w ramię Liścia. Doron syknął, cofnął się nieco.

- Dawno nie walczyłeś, Mistrzu - powiedział Penge Afra. - A ja ćwiczyłem codziennie. Może czekałem na ten pojedynek? Ty zaś złożyłeś przysięgę...

Magwer znów ruszył do przodu, zbierając całe siły, naprężając mięśnie. Przesunął się może o pół dłoni. Opad! na ziemię, dysząc ciężko. Przed oczami pojawiły mu się czarne plamy.

Jak płatki sadzy - pomyślał.

Teraz zaatakował Liść. Zawinął karogga, markując uderzenie z góry, a gdy ban chciał przyjąć cios, płynnie ominął ostrze topora i ciął Penge Afrę przez pierś. Ostrze rozdarło jopę bana. Penge Afra zaklął, odbił następne uderzenie. Źle stanął, zachwiał się. Kolejny cios karoggi sięgnął jego ramienia. Ban cofnął się.

O, Ziemi - myślał Magwer. - Przecież on nie może zabić bana, nie może...

Liść śmignął pod opadającym toporem. Barkiem uderzył Penge Afrę w brzuch. Ban jęknął, wypuszczając broń. Chwytał Dorona, razem poturlali się po ziemi.

W dłoni Liścia błysnął krzemienisty nóż. Ostrze przejechało po policzku bana, znacząc jego twarz

krwistą smugą. Doron kopnął go w brzuch, potem zdzielił pięścią w twarz. Ban zatoczył się, ale uniknął następnego uderzenia, ręka Liścia tylko śmignęła mu nad głową.

- Nie możesz mnie zabić! - z gardła bana wydobył się

śmiech. Krew z rozciętego policzka spływała po jego brodzie.

Nie możesz! Nie możesz! - Magwer jęknął cicho. - Chyba, że ja wstanę... - znów spróbował się podnieść.

O, Ziemi! Spraw, by to się skończyło! Już!

- Mylisz się, Penge Afra - Liść odezwał się po raz pierwszy. - Jesteś głupi, tak jak ja byłem głupi do tej pory. Lecz przejrzałem właśnie teraz. Przed chwilą. - Magwer nie widział twarzy Dorona, lecz w głosie Liścia rozpoznał rozbawienie.

- Mogę cię zabić, Penge Afra. Właśnie ciebie. Wiem. Twarz bana stężała. Wykrzywił ją grymas strachu, pomieszanego z niewiarą i nienawiścią.

- Więc mnie zabij! - skoczył ku wypuszczonemu z ręki toporowi.

Co on mówi!? Co ty mówisz, Liściu! Dlaczego go oszukałeś? Czy może nagle, w tej strasznej chwili, znalazłeś jakąś prawdę dotąd ukrytą, jakiś ślad, do tej pory zatarty dla twych oczu? Co mówisz?

Teraz już nie było w tej walce ani krzty spokoju i chłodu, ni szczypty oczekiwania na słowa. Jakby ludzka myśl uciekła z ich rozumów, by nie zatracić się w kipiącej tam okrutnej nienawiści. Zwierzęcy instynkt zapanował nad duszami i ciałami, nad każdym poruszeniem mięśnia, drgnieniem dłoni, każdym sztychem i zasłoną.

Jak to możliwe?

Bald Afra i jego piastunki ruszyli wreszcie ze swego kąta. Zbliżyli się do walczących po to chyba, by móc lepiej oglądać starcie. Lecz chłopięca twarz nie drgnęła nawet. Tylko niebieskie oczy poruszały się, śledząc przebieg pojedynku. Następca nie zwrócił uwagi na leżącego bezwładnie Magwera.

O czym myśli ten chłopiec, gdy patrzy na swego ojca, spiętego w śmiertelnym boju? Boi się? Modli o jego życie? Życzy śmierci? Wszak gdy umrze Penge Afra, on, Bald Afra, zostanie władcą Daboru.

Magwer poczuł, że nowa myśl pojawia się w jego głowie, zrazu daleko, na samej granicy pojmowania - delikatna, niepewna, spłoszona. A potem w jednym błysku ogarnia cały umysł. Już wiedział.

Patrzył na walczącego bana i syna jego, dziedzica, co zawsze ze związanymi rękoma stawał przed tłumem, następcę, który po śmierci ojca zostanie banem.



Penge Afra dyszał ciężko, topór w jego rękach przecinał powietrze nie tak szybko, jak na początku walki. Liść zdawał się nie czuć zmęczenia. Doron napierał na swego przeciwnika coraz mocniej, zepchnął go już na płonącą ścianę domu. Ogień dogasał, lecz pożerał suche belki z dostateczną siłą, by zagrozić drogę człowiekowi. W końcu Penge Afra nie miał już gdzie się cofnąć. A zaraz potem Liść potężnym uderzeniem wybił topór z jego dłoni. Ostrze karoggi zawisło tuż przy szyi bana.

- Dlaczego go zabiłeś? - spytał Doron. - Dlaczego kazałeś zamordować mojego brata?

- Nie chciałem go zabić - Penge Afra mówił głosem zmęczonym, ale spokojnym. - Mieli go do mnie przyprowadzić. Zawiedli, głupcy.

- Po co?

- Potrzebowałem Liścia, tak jak i ciebie potrzebuję.

- Mnie? - Doron zdziwił się.

- Pozwól, że wszystko ci wytłumaczę, wyjaśnię...

- Co mi po twoich łgarstwach... - czubek karoggi napiął skórę na gardle Penge Afry.

- Nie, nie! Czeka! - wychrypiął ban. - Pozwól mi powiedzieć, a potem zdecydujesz. Potem!

O czym oni mówią? - Magwer znów przestawał rozumieć. A jeszcze przed chwilą wszystko wydawało się takie proste. Przepowiednia mówiła, że po śmierci Liścia zginie ten, co Daborą władał nieprzerwanie. To ban. Lecz nie chodzi o Penge Afrę, pojedynczego człowieka. W chwili, w której Penge Afra umrze, dokładnie w tym momencie, banem Daborę zostanie jego syn, Bald Afra. Tak jak Penge został władcą Leśnych Gór w chwili śmierci swego ojca, Aid Afry. Daborą nieprzerwanie włada nie jeden człowiek, ale ród, w którym prawem dziedzictwa syn zastępuje ojca, przybierając tytuł bana. Więc Doron może zabić Penge Afrę - człowieka. Bo przepowiednia mówi o tym, że po krwawej śmierci Liścia szejnie nie Penge Afra, a władza i godność, której on jest tylko depozytariuszem. Władza banów.

- Wiem, co chcesz mi powiedzieć - mówił Doron. - Ostry służył tobie.

- Takiś mądry, a nic nie rozumiesz - ban uśmiechnął się. - Oni wszyscy mi służyli.

Kłamiesz! - chciał krzyknąć Magwer, ale tylko jęk wydobył się z jego gardła. - Przecież oni wszyscy...

- Kłamiesz! - To Doron. - Chcieli cię zabić.

- Popełniłem błąd, dopuściłem do buntu. Ty nic nie rozumiesz, Liściu, choć ponoć nosisz w sobie pradawną mądrość. Miasto Os zawładnęło tą ziemią przed wiekami. Ugięliśmy karki. Afrowie stali

się rabami oddającymi hołd Czarnej Pani. Lecz dzięki temu Gniazdo nie narzuciło nam swoich namiestników. Gniazdo zabierało spyżę i krzemień, lecz pozostawiało w spokoju myśli. To my, Afrowie, staliśmy w las Szepczących, to na nasz rozkaz uczyli oni ludzi, dawali im wiarę i nadzieję. I my też wysyłaliśmy żołnierzy na zbuntowane wsie. Chwytailiśmy występujących przeciw władzy Gniazda banitów i karaliśmy ich przykładnie. Tak trzeba było... przedwczesny bunt mógł zaszkodzić sprawie, a przy okazji lud zyskiwał nowych męczenników. Musieliśmy czekać i czekaliśmy. Od pokoleń. Miej pewność, że nasza władza była wiele-kroć łagodniejsza niż ta, jaką narzuciliby słudzy Matek. Bunt wybuchnął za wcześnie. Za wcześnie...

Więc zdecyduj teraz, Liściu. Tak, to mnie służył Ostry, tak, moim rabem był Biały Pazur. Tak, Liściu, wszyscy przeciwnicy władcy, tak naprawdę temuż władcy służyli. Czy myślisz, że w innym wypadku zdołaliby tak długo umykać żołnierzom? Czy wiesz, ilu donosicielei zabiłem, gdy za kilka lnianek gotowi byli zdradzić Szepczących? Decyduj, Liściu. Zostaniesz ze mną w tym trudzie, w tym wiecznym rozdarciu między powinnością a chęcią?

- Kłamiesz. Nie wiem, czy myślisz, że cię nie zabiję, czy walczysz o każdą chwilę swego życia, czy liczysz, że nadejdzie pomoc... Wiem, że kłamiesz.

- Nie bądź głupi, wiesz, że mówię prawdę.

- Zabiłeś mego brata...

- To pomyłka, błąd. Mieli go wziąć żywcem. Taki wydałem rozkaz.

- Więc umrzesz, banie. Chcieliście władzy, więc służy-

liście Gniazdu, nie zważając na swoją hańbę. A choćby nawet było tak, jak powiedziałaś, że twoi przodkowie przyjęli służbę u Matek, by wyczekać sposobnej chwili i przepędzić Szerszeni... Cóż z tego? Wszak torturowałeś niewinnych, zabijałeś, by przypodobać się najeźdźcom, a gdy nastał czas próby, opuściłeś swój lud.

- Człowieku, trwaliśmy dla dobra...

- Może i dobre były te plany, może się kiedyś spełnią. Lecz krew jest na twoich rękach, krew zlepiła twoje włosy, krew lśni w twych oczach. I nic tego nie zmieni. Chyba że krew twoja...

Penge Afra skoczył. Runął w bok, ku toporowi. Liczył pewnie, że zamyślony i rozgadany Doron da mu dość czasu. Nie dał. Ostrze karoggi wbiło się w gardło mężczyzny. Jasna krew buchnęła z rany, fala pośmiertnych drgawek wstrząsnęła ciałem Penge Afry.

Magwer poczuł, że wracają mu siły. Podnosił się powoli, patrząc, jak Liść przyklęka nad Penge Afrą, macza palce w jego krwi i maże sobie czerwone smugi na czole, powiekach, nosie, ustach. Potem wstaje i spluwa na ciało wroga.

Obyczajowi stało się zadość. Wróżda została spełniona.

Bald Afra nie drgnął nawet. Patrzył na śmierć ojca tak samo, jak przedtem na walkę, jak gdyby jego myśli pochłaniało zupełnie coś innego.

Teraz dopiero Magwer zdał sobie sprawę, że w Daborze wciąż walczą. Huk ognia głuszył wszelkie krzyki. Dym przesłaniał niebo.

Ban nie żył. Dabora płonęła, a Szerszenie mordowali powstańców. Świat już nigdy nie będzie taki jak przedtem. Tego jednego Magwer był pewien. Nagle ogarnęła go tęsknota za domem. Do jego wsi nie dotarły jeszcze pewnie oddziały Miasta, ale kto wie, za trzy, cztery dni...

Doron stanął naprzeciw Magwera, położył mu dłoń na ramieniu. Krew zlepiła w strąki brodę i włosy Liścia, twarz miał brudną i osmaloną. Tylko oczy błyszczały tak jak zawsze. Magwer dostrzegł, że na ich zielonych tęczęwkach pojawiły się czerwone cętki. Miały taką barwę jak krew na policzkach Dorona.

- Chodźmy - powiedział Liść. - Wracamy do lasu.

## Spis rozdziałów

Prolog.....	5
1. Musisz mnie zabić .....	7
2. Wojsko nadchodzi.....	<i>n</i>
3. Próby.....	20
4. Krew na wargach.....	27
5. Wiewiórcze ogony.....	35
6. Turniej.....	48
7. Liść.....	57
8. Wezwanie.....	61
9. Zdrajca.....	71
10. List.....	83

11. Bagna .....	93
12. Mężczyzna i chłopiec.....	105
13. Egzekucja.....	127
14. Pierwszy szturm.....	135
15. Obóz wojskowy .....	145
16. Spalenie.....	154
17. Żywioły.....	\Q2
18. Sokolnik.....	167
19. Gorada.....	176
20. Gołąb na wodzie.....	186
21. Ranek .....	207
22. Bitwa.....	217
23. Krew i kamień.....	246